

KONANIE ZYGMUNTA AUGUSTA
Tajemnica śmierci ostatniego Jagiellona na tronie polskim

KRÓLESTWO TERRORU
Jak Polacy zastraszali Rosjan zamachami terrorystycznymi

FORTECA KRYM
Fortel, którym Sowieci wyrzucili Niemców z półwyspu

NR 6(125)/2023 CZERWIEC 2023

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

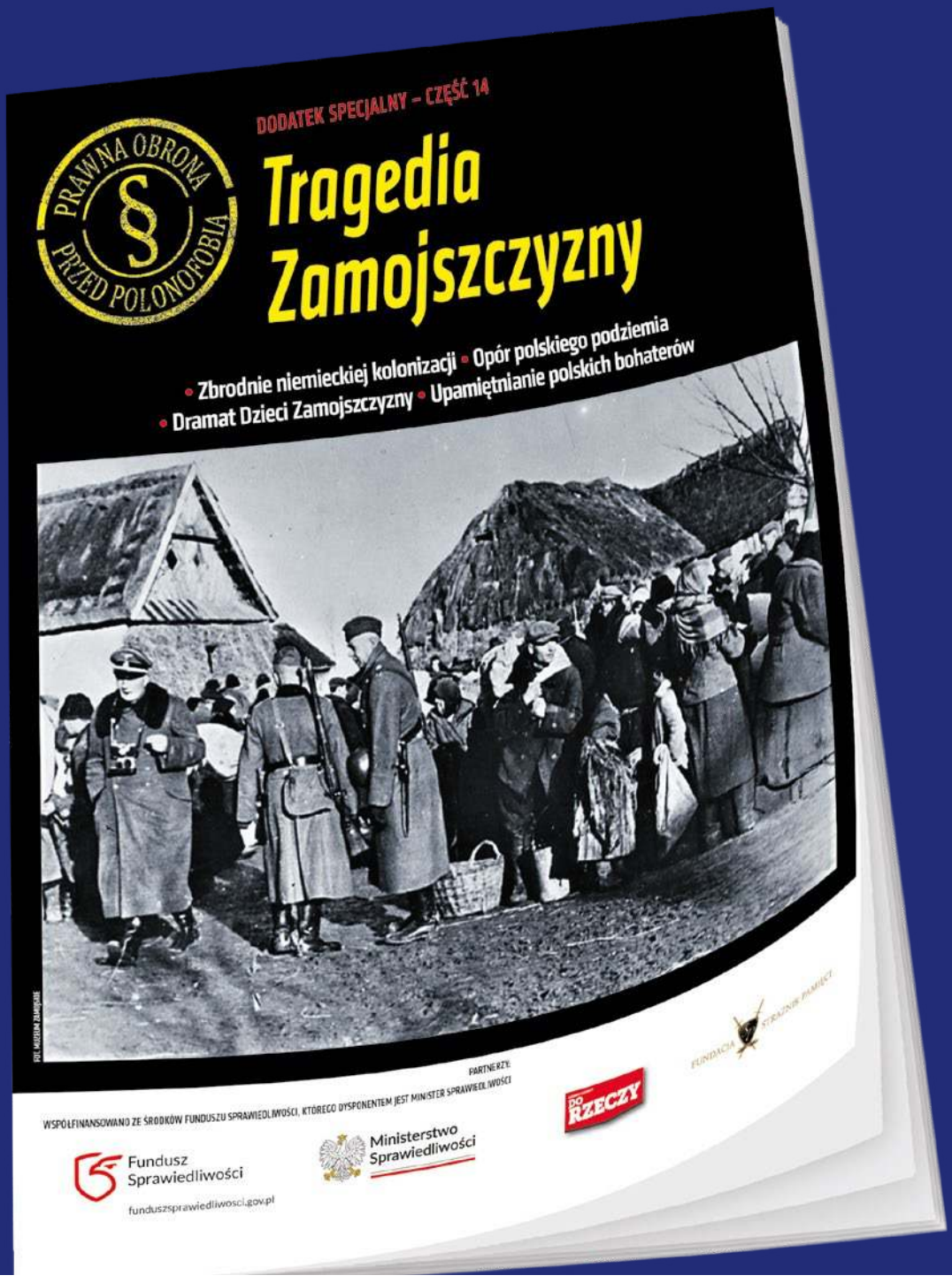
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031

Wódka od Lenina do Putina

IMPERIUM PATOLOGII

Już 5 czerwca w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl 1924b09a80

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
p.o. redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 1 czerwca 1933 r.

Odsłonięcie w Sejmie popiersia Tadeusza Hołówki, publicysty i polityka zabitego przez ukraińskich nacjonalistów



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Imperium zła i barachła

Wiele miejsca poświęcaliśmy do tej pory na łamach naszego miesięcznika ludobójczej polityce Związku Sowieckiego i zniewalaniu narodów, które miały nieszczęście sąsiadować z imperium zła. Komunistyczne „porządki" miały jednak jeszcze inne oblicze: wszechogarniający bardak, bylejakość, złodziejstwo, ogólna beznadzieja i... wódka. Całe morze wódki, które przelewało się z jednego końca czerwonego imperium na drugie.

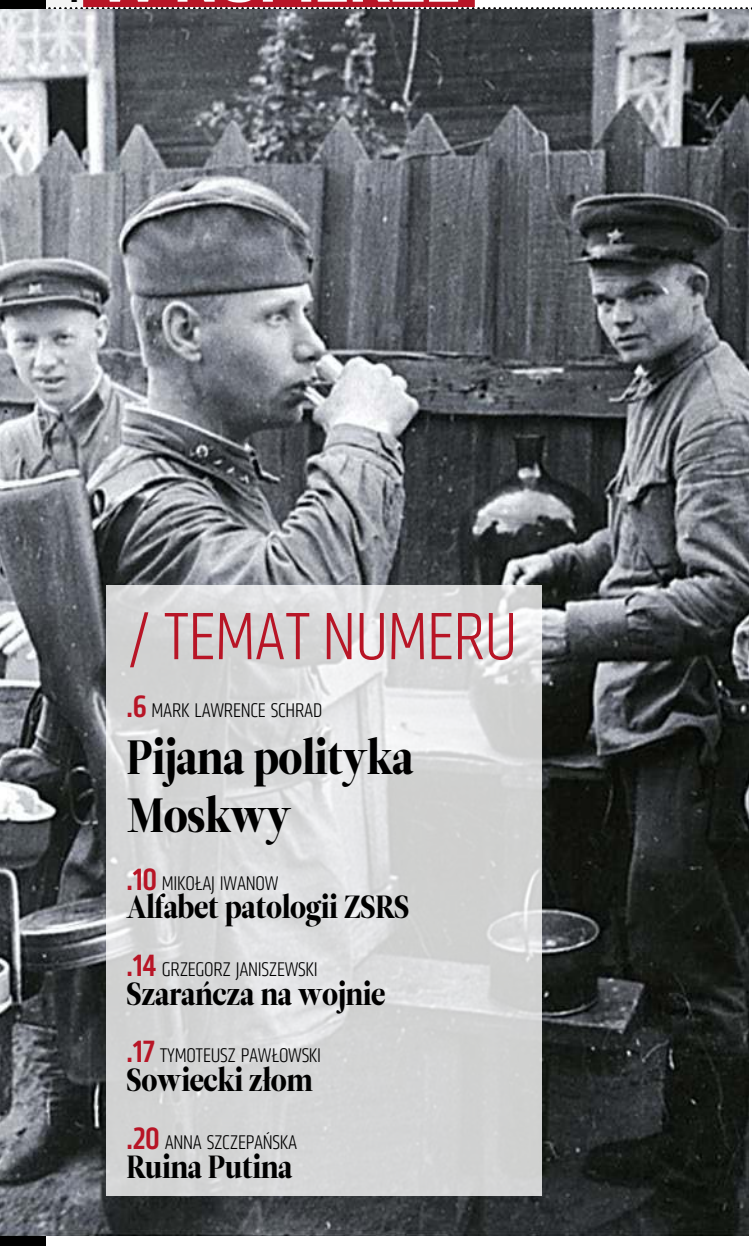
Jak tłumaczy prof. Mark Lawrence Schrad w wywiadzie otwierającym temat numeru, nie był to przypadek. Alkoholizm nie jest bowiem plagą, która wynika z jakiegoś defektu DNA u Rosjan. Od wieków był – i pozostaje – po prostu narzędziem w rękach władców imperium. Kreml świadomie rozpijał społeczeństwo, by zarabiać na alkoholu. I o ile w dawnych czasach inne państwa również upatrywały w mocnych trunkach źródła finansowania, o tyle w XX w. Związek Sowiecki był pod tym względem ewenementem.

Ta wódczana polityka miała oczywiście swoje tragiczne konsekwencje w tak wielu dziedzinach życia. Najbardziej widocznym efektem plagi alkoholizmu była katastrofalnie niska przeciętna długość życia sowieckich mężczyzn, która bardziej przypominała biedne państwo afrykańskie niż mocarstwo ścigające się ze Stanami Zjednoczonymi o prymat nad światem.

System sowiecki, przez swoją bylejakość i zwykłe dziadostwo, nie był w stanie przetrwać. Ale czy nowa Rosja rzeczywiście jest pod względem systemowych patologii innym państwem? Wojna na Ukrainie dobitnie pokazuje, że choć zmienił się państwowy szyld, to stare, dobrze zakorzenione sowieckie patologie wychodzą w Federacji Rosyjskiej niemal na każdym kroku.

To jest prawdziwe dziedzictwo komunizmu w Rosji: niezliczone groby, zdewastowana kultura, upadek moralności, a także najzwyklejsze postsowieckie dziadostwo, które dziś jest największym sojusznikiem Ukraińców. ©℗

eprasa.pl 1924b09a80



/ TEMAT NUMERU

.6 MARK LAWRENCE SCHRAD
Pijana polityka Moskwy

.10 MIKOŁAJ IWANOW
Alfabet patologii ZSRS

.14 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Szarańcza na wojnie

.17 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Sowiecki złom

.20 ANNA SZCZEPAŃSKA
Ruina Putina

/ CZASY I LUDZIE

.22 LESZEK LUBICKI
Konanie Zygmunta Augusta

.28 RAFAŁ ŁATKA
Niezłomna za kratami

.31 JAKUB OSTROMĘCKI
Bicz Boży z Florencji

.34 KRZYSZTOF JABŁONKA
Największe zwycięstwo Ukraińców

.37 TOMASZ STAŃCZYK
Oberszpicel i sutenerzy

.40 WOJCIECH LADA
Sterroryzować Rosjan

.43 SŁAWOMIR KOPER
Koniec polskiej Kurlandii

.46 ROBERT FORCZYK
Forteca Sewastopol

50 PIOTR SEMKA
Cesarscy lokaje Hitlera

.53 MAREK GAŁĘZOWSKI
Pisarz prawdomówny



.56 PIOTR KOSMALA
Groźna Lady Di

/ CO CZYTAĆ

.60 KRZYSZTOF MASŁOŃ
I znów tupot nóg sołdackich

.64 RECENZJE

/ FELIETONY

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Czapki z głów

.69 PIOTR SEMKA
Nihil novi na Węgrzech

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK
Sojusznicy z Krymu

eprasa.pl 1924b09a80

/ BATALIE I WODZOWIE



.74 ARKADIUSZ KARBOWIAK

Brytyjska klęska na Leros

.78 MICHAŁ MACKIEWICZ

Arsenał średniowiecznych Chińczyków

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ

Generał Franco a Polska

/ KOMIKS



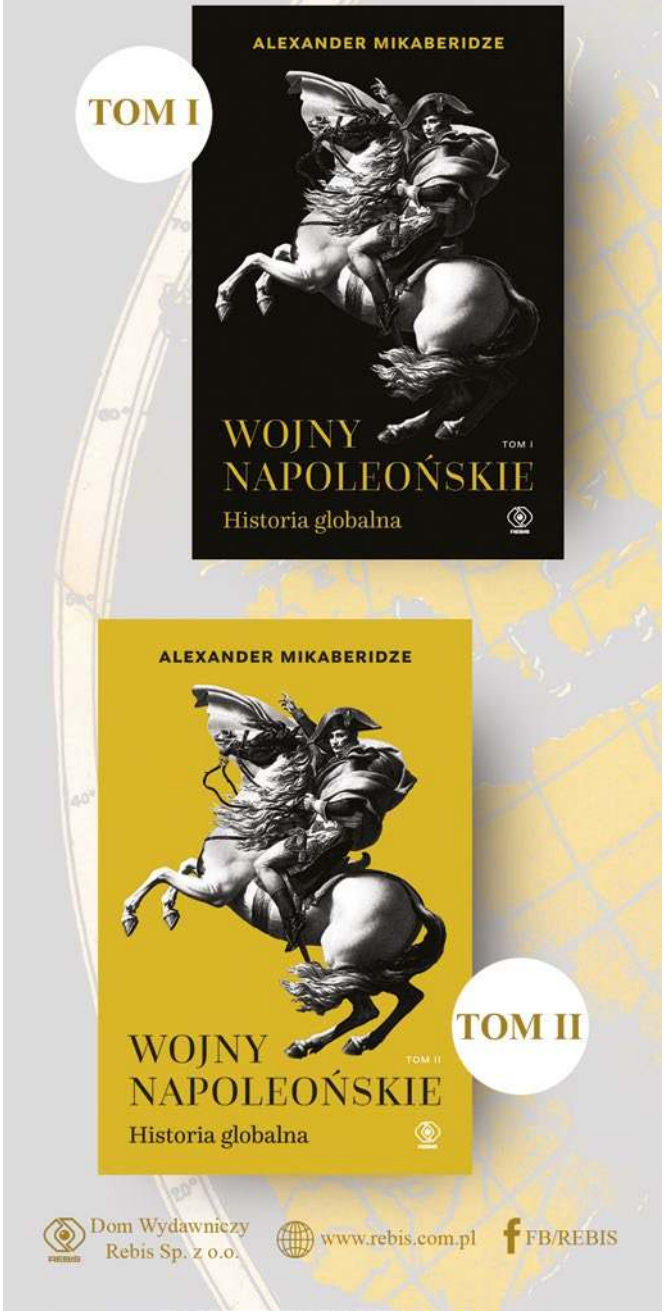
.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI

Korczak z Pomorza

REKLAMA

REBIS

IMPONUJĄCE ROZMACHEM
DZIEŁO OPISUJĄCE HISTORIĘ
WOJEN NAPOLEOŃSKICH



eprasa.pl 1924b09a80



Sto gramów wódki dla sowieckiego żołnierza

FOT. DOMENA PUBLICZNA

1917–2023 / Z prof. Markiem Lawrence'em Schradem, autorem książki „Imperium wódki"

rozmawia Piotr Włoczyk

Pijana polityka Moskwy

Wódka była dla Moskwy produktem o znaczeniu strategicznym. Stalin osobiście pilnował, by sprzedaż alkoholu biła kolejne rekordy

PIOTR WŁOCZYK: W 1928 r. sowieckie władze utworzyły Towarzystwo Walki z Alkoholizmem (OBSA). Czyżby Stalin chciał wyplenić plagę alkoholizmu?

PROF. MARK LAWRENCE SCHRAD: Nic z tych rzeczy. Gdyby sowieckie społeczeństwo przestało pić wódkę, to byłaby to katastrofa dla Stalina. Urzędnikom z OBSA nigdy nie chodziło o to, żeby ludzie przestali pić.

Jak to? Czy promowanie abstynencji nie jest najważniejszym celem takich organizacji?

Generalnie tak, ale nie w przypadku Związku Sowieckiego.

Dlaczego w takim razie powstało OBSA? Przecież w „Izwiestii" czy w „Prawdzie" drukowano apele o trzeźwość. Mało tego, OBSA miało nawet swój własny organ prasowy – „Triezwost' i Kultura".

OBSA wzywało raczej do umiarkowanego picia zamiast upijania się do nieprzytomności. Chodziło tu głównie o dobry PR, żeby pokazać, że państwo komunistyczne troszczy się o społeczeństwo. Ograniczenie spożycia wódki groziło bowiem zapaścią dochodów państwa. OBSA działało dwa lata i w 1930 r. towarzystwo właściwie zamarło, a „Triezwost' i Kultura" zamieniło się w „Kulturę i Byt". W Związku Sowieckim przestano mówić o alkoholizmie.

Dlaczego?

Ponieważ Stalin potrzebował pieniędzy, by rozwinąć swoje imperium. Sowieci nie byli wówczas w stanie zrobić tego, co robiły państwa kapitalistyczne – pożyczyć pieniędzy na rynkach zagranicznych. Jeszcze nie tak dawno robił to car, biorąc pożyczki m.in. we francuskich i w brytyjskich bankach. Stalin nie miał takiej możliwości. Musiał znaleźć pieniądze w Związku Sowieckim. Bolszewicy mieli tu jednak doskonale przetartą drogę i wiedzieli, że państwo rosyjskie niemal od zawsze finansowało swoje

eprasa.pl 1924b09a80

potrzeby, sprzedając wódkę własnym obywatelom. Stalin nie odkrył więc tu żadnej „Ameryki".

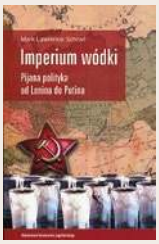
W swojej książce podaje pan zastanawiające liczby – w latach 1927–1928 ok. 12 proc. dochodów budżetowych ZSRS pochodziło ze sprzedaży alkoholu...

A to i tak nie był rekordowy wynik. W czasach carskich zdarzało się bowiem, że budżet państwowy w jednej trzeciej opierał się na sprzedaży alkoholu! Później też wyglądało to ciekawie. W latach 70. i 80. XX w. nawet jedna czwarta wpływów do sowieckiego budżetu pochodziła z monopolu alkoholowego! Krótko mówiąc, Stalin uzależniał własnych obywateli, by zarobić na tym. I dlatego w jego państwie nie było miejsca dla ludzi, którzy na serio chcieliby wyleczyć społeczeństwo z choroby alkoholowej.

W książce cytuje pan ciekawy list, który Stalin wysłał w 1930 r. do Wiaczesława Mołotowa, wówczas pierwszego sekretarza partii komunistycznej w Moskwie: „Sądzę, że produkcję wódki należy rozszerzyć. Musimy pozbyć się fałszywego poczucia wstydu i wprost, otwarcie sprzyjać największemu możliwie poszerzeniu produkcji wódki ze względu na rzeczywistą, poważną obronę naszego kraju. [...] Poważny rozwój lotnictwa cywilnego również będzie wymagał mnóstwa pieniędzy i w tym celu musimy znów uciec się do wódki".

I niestety niewiele się zmieniło w Rosji, jeżeli chodzi o to, jak władza patrzy na wódkę. Nie dalej jak w 2010 r. Aleksiej Kudrin, ówczesny minister finansów, powiedział coś bardzo podobnego. Kudrin wyraził chęć, by Rosjanie palili i pili więcej, ponieważ w ten sposób budżet będzie w lepszym stanie... Wspólnym mianownikiem obu ostatnich wcieleń Rosji jest zrozumienie relacji między państwem a społeczeństwem. Poświęcam temu dużo uwagi w moich pracach. Na Zachodzie panuje przekonanie, że to państwo ma służyć obywatelom. Tymczasem w Związku Sowieckim i w Rosji po 1991 r. jest odwrotnie: to obywatele mają służyć państwu. Rosjanie mają poświęcać swoje zdrowie dla potęgi państwa, które musi mieć pieniądze – m.in. ze sprzedaży wódki – na swoje wielkie projekty.

A przecież miało być zupełnie inaczej. Początkowo bolszewicy chcieli zrobić coś kompletnie odwrotnego w kwestii wódki...



MARK LAWRENCE SCHRAD „IMPERIUM WÓDKI. PIJANA POLITYKA OD LENINA DO PUTINA"
WYDAWNICTWO UJ

Tak. W czasach carskich rewolucjoniści uważali, że monopol wódczany jest narzędziem wzbogacania elit i ubożenia całej reszty społeczeństwa. W ich odczuciu ten monopol napędzał imperium, które należało zniszczyć. Bolszewicy, szczególnie Lenin i Trocki, przed dojściem do władzy pisali bardzo dużo na temat imperialnego monopolu wódczanego i opowiadali się za propagowaniem trzeźwości. Abstynencja miała odróżniać nowe porządki od starych.

To, co pan mówi, niezbyt pasuje do powszechnego wyobrażenia o bolszewikach...

Ale mówimy tu o teorii i o początkach Związku Sowieckiego. Lenin i Trocki sami dawali zresztą przykład i odmawiali picia wódki. Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, car Mikołaj II zaskoczył rewolucjonistów i wprowadził prohibicję. Oczywiście nie chodziło o uzdrowienie społeczeństwa, lecz o skuteczniejsze prowadzenie wojny. Prohibicja utrzymana została jednak dłużej, niż trwał tamten konflikt. Przedłużył ją rząd tymczasowy, ale trzymali się jej także bolszewicy. Lenin był bardzo przywiązany do prohibicji, uważał ją za bardzo ważny element jego polityki i ostro sprzeciwiał się pomysłom przywrócenia starego porządku w kwestii alkoholu.

Lenin naprawdę chciał wyeliminować problemy wiążące się z alkoholizmem czy miał tu jakiś inny ukryty cel?

Wydaje się, że jego intencje były tu całkiem szczere. Uważał wódkę za kapitalistyczną plagę.

To ciekawe, bo przecież bolszewicy po dojściu do władzy robili wszystko, by „uwolnić" społeczeństwo, czego symbolem jest choćby zachęta do niczym nieskrępowanego uprawiania seksu. Wydaje się, że pijaństwo bardzo pomogłoby w rewolucjonizowaniu życia społecznego...

Tak mogłoby się wydawać, ale początkowo bolszewicy gorliwie starali się stworzyć „nowego" człowieka, który byłby wolny od wszelkich wad, które widoczne były w systemie kapitalistycznym. A jedną z największych wad, zdaniem choćby Lenina, była właśnie słabość do alkoholu, która sprawiała, że bogaci nabijali sobie kieszenie kosztem ubogich. Bolszewicy mieli ambicję zmiany natury człowieka, więcej – chcieli przebudować całą ludzkość. Z tej perspektywy można zrozumieć, że alkohol nie pasował do ich prób stworzenia ciężko pracującego, świetnie wykształconego człowieka, który z pogardą patrzy na patologie kapitalizmu.

Jak skuteczna była ta czerwona prohibicja? Czy Leninowi wyszło to lepiej niż Mikołajowi II?

Państwo nie sprzedawało alkoholu i nie zarabiało na nim, ale przecież wsie w całym imperium dosłownie tonęły w samogonie. Szczególnie było to widoczne w okresach, gdy komuniści rekwirowali ziarno. Bo jak najłatwiej ukryć przed władzą plony, na które tak ciężko się pracowało? Oczywiście przerabiając zboże na samogon. Na początku lat 20., w czasach Nowej Polityki Ekonomicznej, bolszewickie kierownictwo dostawało mnóstwo sygnałów z całego kraju: „Prohibicja nie działa, ludzie sami produkują alkohol. Może powinniśmy zalegalizować obrót alkoholem, zmonopolizować go i zarabiać w ten sposób pieniądze, które dziś zgarniają bimbrownicy?".

Lenin ani myślał zmieniać kurs?

Był gotów na pewne ustępstwa, jeżeli chodzi o ściganie wieśniaków produkujących alkohol, ale zdecydowanie wykluczał powrót do państwowego monopolu. Stwierdził, że taki krok cofnąłby nowe państwo do kapitalizmu. Bolszewicy, mimo potęgi swojej tajnej policji, nie byli w stanie uporać się z bimbrownikami. To była walka z wiatrakami, szczególnie jeżeli weźmiemy pod uwagę wielkość tego kraju. Tę bezradność widać zresztą w raportach sił antyalkoholowych, które były wysyłane na prowincję. Im więcej alkoholu zajmowano, tym więcej – zdawało się – pojawiało się go na rynku. Na pewno też nie pomagała korupcja, bo przecież większość funkcjonariuszy wysłana do wykrywania wódki wcale nie robiła tego z pobudek ideologicznych. Łapówki – często w naturze – sprawiały, że stróże trzeźwości przymykali oczy na składy pełne samogonu...

eprasa.pl 1924b09a80



Nikita Chruszczow nie gardził alkoholem podczas wizyty w Austrii w 1960 r.

FOT. DPA/PAP

Lenin rozstał się z tym światem dosyć szybko. Jak bolszewicy patrzyli na wódkę po 1924 r., gdy zabrakło tego promotora trzeźwości?

Trocki wiernie kontynuował jego kurs, ale wkrótce Stalin skutecznie zmarginalizował swojego konkurenta. Widać tu ciekawą prawidłowość: w miarę umacniania pozycji Stalina legalizowano coraz to cięższe alkohole. Zaczęło się od piwa, potem przyszła kolej na wino, ale w końcu bolszewicy przywrócili też monopol wódczany.

Nie da się jednak nie zauważyć, że w czasach industrializacji ZSRS Moskwa prowadziła – przynajmniej na plakatach – kampanie propagujące umiarkowanie w kwestii picia. Skąd ta zmiana?

W latach 30. kampanie trzeźwościowe polegały na poprawie bezpieczeństwa w pracy. Tylko o to chodziło. Za dużo było urwanych rąk i nóg, zniszczonych maszyn, przerw w pracy. Celem było sprawienie, by pracownicy stawiali się w pracy możliwie trzeźwi i nie pili w jej trakcie. A co robili w wolnym czasie – to już była ich sprawa.

Zatrzymajmy się na chwilę przy samy Stalinie. Jak powszechnie wiadomo, sowiecki dyktator sam nie wylewał za kołnierz...

Stalin był Gruzinem i pił więcej wina niż wódki. Na słynnych popijawach, które organizował dla swoich najbliższych współpracowników, picie zaczynało się o godz. 19, a kończyło się rano. Stalin sączył wino, ale innych zmuszał do picia wódki. Był więc zwykle nieco bardziej trzeźwy od reszty i mógł im jej dobrze przyglądać... Ciekawie wyglądają w tym kontekście wspomnienia niemieckich oficjeli, którzy pojawili się w Moskwie, by podpisać pakt Ribbentrop-Mołotow. Niemcy byli przerażeni ilością alkoholu, jaki trzeba było w siebie wlać podczas rozmów z Sowietami.

Z pańskiej książki wynika, że w czasie wojny sowieckie gorzelnie był traktowane przez Kreml niemal tak priorytetowo jak fabryki produkujące czołgi czy amunicję...

Sowieckie gorzelnie miały priorytet i pracowały dzień i noc, by na froncie nie zabrakło wódki. Sowieccy żołnierze byli nierzadko bardziej obładowani alkoholem niż bronią i amunicją, przez co ich ataki tak często kończyły się lekkomyślną brawurą. Zasada przyjęta na początku wojny była prosta: jeden żołnierz = 100 gramów wódki. To jednak była tradycja jeszcze z czasów carskich. Podkreślmy przy tym, że 100 gramów wódki to było minimum... Przy czym specjalny status przemysłu alkoholowego w czasie wojny nie wynikał jedynie z konieczności dostarczania wódki na front. Produkowano tam przecież również alkohol przemysłowy. Niemcy brali takie zakłady na cel. Kilkukrotnie bombardowali moskiewską gorzelnię Kristall, która produkowała słynną wódkę Stolicznaja. Sowieci jednak przezwyciężali wszelkie trudności i w heroiczny sposób dostarczali wódkę na front.

Prosta matematyka wskazuje, że rocznie przypadało minimum 15 litrów czystego alkoholu na jednego żołnierza. Jakie to miało przełożenie na sytuację po wojnie

Przez cztery lata wielomilionowa masa żołnierzy była każdego dnia rozpijana. Nawet ludzie, którzy przed założeniem kamaszy nie palili i nie pili, w niedługim czasie zachowywali się jak ich koledzy z szeregów. Socjalizacja to potężna siła. Bardzo trudno być w armii indywidualistą – w tym przypadku człowiekiem niepijącym. Przeciętny sowiecki żołnierz wracał więc do domu z frontu co najmniej jako człowiek mocno pijący, a w większości przypadków po prostu jako alkoholik. Wódka przecież łatwo uzależnia i bardzo ciężko wygrać z mózgiem, który domaga się kolejnej dawki płynu powodującego uwolnienie dopaminy.

Czy Stalin w którymkolwiek momencie stwierdził, że jego wódczana polityka poszła jednak za daleko?

Nawet jeżeli tak pomyślał, to nie został po tym żaden ślad. Stalinowi rozpijanie narodu było przecież na rękę. Nie tylko pod kątem finansowym. Ludzie, którzy skupiają się głównie na tym, skąd wziąć kolejną porcję wódki, nie będą się raczej zastanawiali nad wyrwaniem się z totalitarnego reżimu. Chruszczow w swoim wspomnieniach pisał, że problem alkoholowy był coraz bardziej widoczny, ale nikt nie wspominał o tym Stalinowi, ponieważ każdy wiedział, że władca Kremla nie chce o tym słyszeć.

Dziś szacuje się, że w Rosji 20 mln ludzi (na 140 mln) to alkoholicy. Co wiadomo na temat podobnych statystyk z czasów sowieckich?

Po wojnie spożycie alkoholu pnie się w górę. Czasy Breżniewa to apogeum pijaństwa. Budżet zarabia, ale rosną też koszty utrzymywania porządku społecznego, opieki zdrowotnej, dochodzi do coraz większe liczby „pijanych" przestępstw. Alkoholizm uderza w gospodarkę i niszczy społeczeństwo. Niestety, bardzo ciężko podać tu konkretne liczby. Przez długi czas sowieckie roczniki statystyczne podawały sprzedaż alkoholu. Jednak gdy liczby te urosły do



eprasa.pl 1924b09a80



„Bój przeciw pijaństwu!". Plakat sowiecki

FOT. DOMENA PUBLICZNA

tak gigantycznych rozmiarów, że stało się to problemem wizerunkowym, władze sowieckie pozbyły się tej kategorii i wódka trafiła do katalogu „inne produkty spożywcze". Tak źle to wyglądało, że od czasów Stalina aż do Gorbaczowa sprzedaż alkoholu była czymś na kształt tajemnicy państwowej.

Wygląda na to, że w latach 80. Moskwa postanowiła wreszcie ukrócić to szaleństwo. Jak wyglądały efekty tej polityki?

Jurij Andropow rozpoczął kampanię trzeźwości w pracy, ponieważ efektywność w gospodarce sięgnęła dna. Z tamtych czasów mamy ciekawe książki pokazujące, jak całe brygady robotnicze zajmowały się głównie piciem i oczekiwaniem na powrót do domu. Andropow jednak szybko zmarł i zastąpił go Konstantin Czernienko, który sam miał duży problem z alkoholem i nie za bardzo zależało mu na ukróceniu tej plagi. W 1985 r., już za Gorbaczowa, widzimy kolejną odsłonę kampanii antyalkoholowej. Zazwyczaj Gorbaczow kojarzy się z pierestrojką i głasnostią, ale jego pierwszą większą reformą była właśnie kampania antyalkoholowa. I tym razem nie chodziło o uleczenie społeczeństwa, lecz o przywrócenie produktywności gospodarki. Kampania Gorbaczowa przeprowadzona była w stylu sowieckim: uznano, że biurokracja będzie w stanie opanować kryzys. Alkohol znacznie podrożał i ograniczono dostęp do niego – zarówno pod względem miejsc, gdzie można było go kupić, jak i godzin otwarcia takich punktów. Symbolem tamtej kampanii były wielkie kolejki po wódkę. Nawiasem mówiąc, powstał wtedy świetny dowcip, który zresztą opowiadał sam Gorbaczow.

Zamieniam się w słuch.

Przed sklepem z alkoholem stoi kilometrowa kolejka. W końcu jeden z mężczyzn ma dość czekania i krzyczy: „Koniec! Idę zabić Gorbaczowa!". Po godzinie ten facet wraca na koniec kolejki. Ludzie pytają go: „No i co, zabiłeś Gorbaczowa?". A on na to: „Nie, nie udało się. Tamta kolejka jest jeszcze dłuższa". To chyba dobrze oddaje klimat połowy lat 80. w ZSRS.

Przy czym pierwsze dwa lata kampanii były sukcesem pod kątem demograficznym. Długość życia mężczyzn wzrosła przez ten czas o trzy–cztery lata! Ale potem ludzie zaczęli kombinować, przestawili się na pędzenie własnego alkoholu albo picie niebezpiecznych „zamienników", jak denaturat, płyn hamulcowy czy nafta, i średnia długość życia znów zanurkowała. Kampania antyalkoholowa sprawiła, że popularność Gorbaczowa bardzo ucierpiała. Stratny był też budżet państwa – przypomnę, że przed kampanią jedna czwarta wpływów ZSRS pochodziła ze sprzedaży alkoholu. A w tym samym czasie doszło do bardzo kosztownej katastrofy w Czarnobylu, a jakby tego było mało, to jeszcze spadły ceny ropy naftowej...



Kampania antyalkoholowa była więc jednym z gwoździ do trumny ZSRS?

Tak. Gorbaczow, wobec braku pieniędzy, zrobił to samo, co Mikołaj II – zaczął drukować więcej bezwartościowych rubli. Oczywiście pojawiła się inflacja, która tylko napędziła spiralę problemów gospodarczych.

To ciekawe, że za każdym razem, gdy Moskwa walczy z alkoholem, imperium upada...

Dlatego Putin ani myśli walczyć z wódką.

Jakie miejsce zajął alkohol w Rosji po 1991 r.?

Wraz z upadkiem ZSRS zniknął państwowy monopol i otworzyły się prywatne firmy produkujące wódkę. Co ciekawe, regionalni gubernatorzy, odcięci od pieniędzy z centrali, przejmowali państwowe do niedawna gorzelnie i sami zaczęli produkować wódkę, by wiązać jakoś koniec z końcem. Pojawiały się też parszywe produkty wódkopodobne i wystrzeliła liczba śmiertelnych zatruć. Lata 90. były alkoholową zapaścią. Średnia długość życia rosyjskiego mężczyzny spadła wówczas do katastrofalnych 58 lat!

Jaką politykę prowadzi Putin względem wódki?

Nie ma tu żadnej polityki. Gdy w pierwszych latach putinizmu rosyjska gospodarka nieźle się rozwijała, pojawiły się głosy, że bogacenie się społeczeństwa z biegiem czasu wyeliminuje problem alkoholizmu. Ale nic takiego się nie działo. Alkohol to wciąż plaga niszcząca rosyjskie społeczeństwo. Różnica między Stalinem a Putinem jest taka, że ten pierwszy wykorzystywał wódkę do budowy potęgi swojego państwa, a ten drugi sam korzysta z tragedii milionów Rosjan. Nie jest bowiem tajemnicą, że prezydent Rosji posiada znaczące udziały w rosyjskim przemyśle wódczanym. Alkoholizm nie jest więc jakąś naturalną plagą, której nie da się w Rosji uniknąć. Wódka jest tam od wieków narzędziem, za pomocą którego autorytarna – czasem totalitarna – władza realizuje swoje interesy, prowadząc jednocześnie ku przepaści miliony Rosjan.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Mark Lawrence Schrad jest wykładowcą Villanova University, znawcą dziejów polityki alkoholowej w Rosji. W Polsce, nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, ukazała się jego książka pt. „Imperium wódki. Pijana polityka od Lenina do Putina".

eprasa.pl 1924b09a80



Świadek sowieckich czasów / Życie w zniewoleniu

Alfabet patologii ZSRS

W Moskwie odbywał się XXII Zjazd Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, na którym Nikita Chruszczow uroczyście ogłosił, że partia postanowiła w ciągu niespełna 20 lat ostatecznie zbudować w kraju komunizm. – Dzisiejsze pokolenie ludzi sowieckich – powiedział – będzie żyć w komunizmie

Mimo że od tamtych wydarzeń minęły 62 lata, to jednak zostawiły one w mojej pamięci wyraźny ślad. Słowami Chruszczowa byłem wprost przerażony, ponieważ w 1961 r. kraj borykał się jeszcze z następstwami wojny i biedę widać było wszędzie. W Mińsku mieszkaliśmy w bardzo skromnych warunkach – w drewnianym baraku, który był zbudowany na szybko przez jeńców niemieckich. W tamtym okresie nierzadko stałem od godz. 5 w długiej kolejce po biały chleb, który był rarytasem. Mięso pozwalaliśmy sobie jeść mniej więcej raz w tygodniu, a podstawą naszego menu były ryba, ziemniaki i – o dziwo – śmietana. Pamiętam również, że prawie zawsze brakowało pieniędzy do kolejnej wypłaty rodziców. Tak żyła przeciętna inteligencka rodzina nienależąca do nomenklatury, a tu raptem Chruszczow ogłasza, że powszechne szczęście jest tak blisko, że już w wieku 30 lat będę korzystał ze wszystkich niewiarygodnych osiągnięć komunizmu.



Mikołaj Iwanow

W 1961 r. miałem 12 lat, mieszkałem z rodzicami w Mińsku, uczęszczałem do V klasy szkoły podstawowej i byłem niczym niewyróżniającym się sowieckim nastolatkiem. To, co wydarzyło się w październiku tamtego roku, pamiętam jednak do dziś

eprasa.pl 1924b09a80



„Jedność robotników z partią – niewzruszona". Plakat z Leninem FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Tymczasem w roku 1980 zamiast do komunizmu trafiłem – całkowicie pozbawiony już iluzji 12-latka – do Polski. Kraju, który dla człowieka sowieckiego kojarzył się z Zachodem. Pamiętam, jak wpatrywałem się w witryny polskich sklepów... Za Bugiem wszystko pozostało natomiast po staremu: ten sam powszechny deficyt towarów, zakłamanie i poniżenie godności ludzkiej.

Dziś, po ponad 30 latach od upadku komunizmu, redakcja „Historii Do Rzeczy" zwróciła się do mnie z prośbą o stworzenie komunistycznego alfabetu według Mikołaja Iwanowa. Tekst ten odzwierciedla odczucia i wspomnienia zwykłego sowieckiego człowieka, którym oczywiście byłem od urodzenia. Od pozostałości tej sowieckości nie mogę się zresztą uwolnić do dziś. Będzie to więc subiektywna, oparta na własnych wspomnieniach lista zjawisk, które najbardziej zapadły mi w pamięci.

A – Ateizm. Wychowałem się w rodzinie ateistycznej. Zarówno ojciec, jak i matka zmuszeni byli jeszcze w dzieciństwie porzucić wiarę w Boga. Było to zupełnie naturalne w społeczeństwie sowieckim. W roku 1932 Stalin podpisał dekret o przeprowadzeniu tzw. pięciolatki bezbożnictwa, według której do 1 maja 1937 r. imię Boga miało zostać wykreślone z życia codziennego w ZSRS. Przeprowadzić tę „pięciolatkę" miał Związek Wojujących Bezbożników, który liczył ponad 3 mln członków. W czasie tej kampanii zniszczono 90 proc. parafii prawosławnych. Paradoksalnie religię w Związku Sowieckim od ostatecznego unicestwienia uratował Hitler. Kiedy niemiecki blitzkrieg doprowadził do niemal całkowitego załamania ZSRS, Stalin zrozumiał, że Cerkiew prawosławna i inne religie są jego najwierniejszymi sojusznikami. Ateizm odłożono na „lepsze" czasy, patriarchę i licznych księży nagrodzono orderami, a żołnierzom pozwolono iść do boju z wiarą zarówno w Stalina, jak i w Boga. Związek Wojujących Bezbożników rozwiązano. Religia stała się zjawiskiem niepożądanym, ale tolerowanym przez władze. I tak już zostało do końca. W moim życiu osobistym ateizm odegrał bardzo ważną rolę. W wieku 17 lat zostałem głęboko wierzącym człowiekiem. Gdy po raz pierwszy wszedłem do Cerkwi, już nigdy z niej nie wyszedłem. Był to swoisty protest przeciwko zakłamaniu codziennego życia.

B – Błat. To rosyjskie słowo można w przybliżeniu przetłumaczyć na język polski jako „kombinowanie" lub „znajomości". Błat był zjawiskiem powszechnym, które ogarniało swym zasięgiem wszystkie warstwy sowieckiego społeczeństwa: od partyjnej nomenklatury aż do nizin społecznych. Błat dotarł nawet do Armii Czerwonej i samego NKWD (KGB), czyli organu, który w założeniu miał to zjawisko zwalczać. Była to namiastka cywilizacyjnej normalności w społeczeństwie sowieckim i powoli, ale nieuchronnie powodowała ona korozję podstaw ideologicznych, na których oparty był sowiecki system. Za pomocą błatu można było dostać wiele deficytowych towarów. Błat pomagał w załatwieniu lżejszych wyroków w sowieckich sądach. Dzięki niemu można było wstąpić do partii i tym samym zagwarantować sobie lepszą pracę, załatwić własnym dzieciom miejsca na uczelniach wyższych, uniknąć powołania do wojska, a także wysłania na daleką Północ do ciężkiej pracy. No i najważniejsze – można było uniknąć głodu, który w latach międzywojennych i w pierwszych latach po wojnie był zjawiskiem prawie powszechnym na wsi, a czasem i w miastach. Zjawisko błatu było na tyle powszechne, że władze były wobec niego prawie bezradne. Pojawiły nawet się słowa pochodne od błatu, jak choćby błatmejster (człowiek, który osiągnął w tej dziedzinie mistrzostwo).



Okładka pisma „Bezbożnik" FOT. DOMENA PUBLICZNA

C – Cenzura. W Polsce w powszechnym mniemaniu uważa się, że w państwie „zwycięskiego socjalizmu" cenzurowano prawie wszystko. W rzeczywistości panowała tam bezgranicznie tzw. autocenzura. Lata okrutnych prześladowań nauczyły ludzi sowieckich dyscypliny umysłowej. Wiadomo było, że inaczej się po prostu nie da. Jedynie najbardziej odważni pozwalali sobie wątpić w partyjne „prawdy". Pamiętam, że w szkole zostałem wyznaczony na stanowisko redaktora gazetki ściennej. Nie było żadnej cenzury. Ani mnie, ani nikomu z kolegów nie przyszło do głowy napisać do gazetki coś, co nie do końca odpowiadałoby polityce partii. Reguły gry między partią a narodem były jasne i wyraźne: partia zapewnia byt na

eprasa.pl 1924b09a80

nieco wyższym poziomie niż w okresie stalinizmu, a naród oddaje partii sferę duchową.

D – Dzierżyński. Feliks Edmundowicz Dzierżyński (tak nazywano go w szkole) był uznawany za ikonę bolszewizmu. Nazywano go „niezłomnym rycerzem rewolucji". W licznych szkolnych książeczkach pisano o nim jako o człowieku niezwykle skromnym, wielkim przyjacielu Lenina, który był bezlitosny wobec wrogów, a jednocześnie wielkim przyjacielem dzieci. Pamiętam, że czytałem o tym, iż to jemu właśnie Lenin powierzył zadanie opieki na sierotami. Co ciekawe, o polskości Dzierżyńskiego dowiedziałem się dopiero w wieku dorosłym, partia ukrywała bowiem jego narodowość. Czyżby był to przejaw tradycyjnej wrogości wobec wszystkiego, co polskie, zakorzenionej w czasach caratu i odziedziczonej przez państwo stalinowskie?

F – Finanse. Pieniądze dla różnych kategorii ludzi miały zupełnie inną wartość. O ile moja matka musiała kupować sobie zimowe buty na czarnym rynku prawie za równowartość jej miesięcznej pensji, o tyle żona partyjnego bossa miała możliwość kupienia tych samych butów w specjalnym sklepie trzy, cztery razy taniej.

G – Generalny sekretarz. W kraju, gdzie teoretycznie byli premier i prezydent (przewodniczący Rady Najwyższej), niczym nieograniczoną władzę posiadał sekretarz generalny partii komunistycznej. Był on władcą absolutnym, namiastką cara. Za Lenina w partii tolerowano jeszcze poglądy odmienne od generalnej linii partii. Stalin drastycznie to ukrócił. Rozprawił się opozycją wewnątrz partii, zabijając jej liderów, i zaczął rządzić za pomocą powszechnego terroru. Powszechny strach ogarnął całe społeczeństwo sowieckie. Mówienie prawdy za Stalina groziło wyrokiem, a czasem śmiercią. Wszyscy się go bali, niektórzy uwielbiali, większość nienawidziła. Po śmierci Stalina zaczął się powolny upadek autorytetu sekretarza generalnego. Chruszczowa jeszcze się trochę bali, ale już z Breżniewa prawie cały naród po prostu kpił. Opowiadano o nim w kraju tysiące kawałów. Na przykład o tym, że Biuro Polityczne KC KPZS postanowiło przeprowadzić operację poszerzenia piersi Breżniewowi w celu umieszczenia tam wszystkich orderów i odznaczeń. Strach powoli odchodził w niepamięć. Gorbaczow nie miał już praktycznie żadnego autorytetu. Kpienie z niego w rozmowach prywatnych było na porządku dziennym.

H – Historia. Jako nauka w Związku Sowieckim praktycznie nie istniała. Zamieniono ją w propagandę. Zawód historyka oznaczał nie prowadzenie obiektywnych badań naukowych, lecz znajdowanie argumentów historycznych dla potwierdzenia postulatów partii komunistycznej. Nie od razu to zrozumiałem, ale kiedy doszło to do mnie, uświadomiłem sobie bezsens walki z tą bezduszną machiną propagandową. Ta bezsilność zaprowadziła mnie do Polski, gdzie sytuacja była zupełnie inna. Tu oprócz szkoły historycznej sowieckiego typu istniała niezależna myśl historyczna. Obecny był tu ogromny „drugi obieg", o wiele skuteczniejszy od propagandy komunistycznej w walce o dusze Polaków.

I – Ideologia. Nie wszyscy w Polsce wiedzą, że początkowo bolszewicy próbowali realizować swoje utopijne cele. Przykładowo pieniądz zlikwidowali już w 1918 r. Uważali go za burżuazyjne narzędzie eksploatacji klasy robotniczej i biednych chłopów. Jednak życie bez pieniędzy trwało zaledwie kilka miesięcy i doprowadziło do takiego chaosu gospodarczego, że trzeba było wrócić do starego systemu. Początkowo hasła propagandowe o „świetlanej komunistycznej przyszłości" rzeczywiście porwały ze sobą znaczną część narodu rosyjskiego i innych narodów imperium, ale prawda bardzo szybko wyszła na jaw. Zamiast „komunistycznego raju" czerwoni zafundowali narodom ZSRS powszechny terror, głód, potworne zniewolenie umysłów i upokorzenie. Powoli, ale nieuchronnie ideologia komunistyczna zaczęła korodować, aż w latach 80. ubiegłego stulecia zbankrutowała kompletnie. Przynależność do partii komunistycznej stała się wręcz czymś nieprzyzwoitym. Borys Jelcyn nosił się nawet z zamiarem urządzenia w Moskwie wielkiego procesu partii komunistycznej, czegoś na kształt „nowej Norymbergi". Szybko jednak zrozumiał, że sam musiałby usiąść na ławie oskarżonych, i zrezygnował z tego pomysłu. Dziś Putin na różne sposoby, nawet drogą agresywnej wojny na Ukrainie, próbuje zamienić ideologię komunistyczną na ideologię „ruskiego miru". Czy mu się to uda?

K – Kosmos. „Do gwiazd" – śpiewaliśmy w szkole piosenkę o podboju kosmosu. Miał on w Związku Sowieckim znaczenie przede wszystkim polityczne, a nie naukowe. Trzeba było pokazać tym „amerykańskim kapitalistom", że jesteśmy pierwsi, że system komunistyczny góruje nad kapitalistycznym. Niestety, propaganda kosmiczna była skuteczna. Naiwnie wierzyliśmy, że jest to nasze wspólne zwycięstwo, zwycięstwo ludzi sowieckich. Nikt za Bugiem się nie zastanawiał, jakim kosztem osiągnięto sukcesy w tej dziedzinie. Tymczasem kosztem prowadzenia programu kosmicznego było obniżenie poziomu życia ludzi sowieckich...

L – Lenin. Jego życie i dokonania stanowiły w ZSRS świętość. Dzięki wysiłkom propagandy powstała legenda Lenina, przedstawiająca przywódcę bolszewików jako bóstwo. Im bliżej końca komunizmu, tym bardziej dobry wujaszek Lenin był przeciwstawiany złemu Stalinowi. Muszę się przyznać, że kiedy w latach studenckich zacząłem myśleć samodzielnie i powoli pojmowałem istotę sowieckiego totalitaryzmu, razem z kilkoma przyjaciółmi założyliśmy grupę dyskusyjną, która stała na pozycjach „neoleninizmu". Komunizm – tak, wypaczenia – nie. Tak myśleliśmy. Błędnie uważaliśmy, że powrót do myśli Lenina może uratować kraj, który ugrzązł w kłamstwie, bezprawiu, pogardzie dla godności ludzkiej i innych chorobach systemu. Dopiero upadek komunizmu i ujawnienie całej prawdy o Leninie wyleczyły nas z tej ignorancji. W rzeczywistości bowiem Lenin był duchowym ojcem Stalina.

WWW.DORZECZY.PL

eprasa.pl 1924b09a80



Kosmonauta Jurij Gagarin na muralu, w sowieckim wówczas, dziś ukraińskim mieście Prypeć FOT. OMAR DAVID SANDOVAL SIDA/WIKIPEDIA/CC-BY-SA-4.0

M – motoryzacja. Dla mnie motoryzację symbolizuje pojawienie się w powojennym Związku Sowieckim wielu zdobycznych samochodów niemieckich, które żołnierze (oczywiści oficerowie i generałowie) Armii Czerwonej przywieźli jako trofea z podbitej Europy, głównie z Niemiec. W przekazach rodzinnych była mowa o motocyklu, który moja matka kupiła za grosze czy też dostała od jakiegoś sowieckiego pułkownika. Natomiast prawdziwa motoryzacja w ZSRS rozpoczęła się mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Gierek sprowadził do Polski „maluchy". Fiat 124, nazwany w ZSRS Żiguli, produkowany był w mieście Togliatti, nazwanym na cześć sekretarza generalnego włoskiej Partii Komunistycznej Palmiro Togliattiego. Rocznie wytwarzano tam ponad 300 tys. samochodów. Wariant eksportowy nazwano zaś Ładą. Miał on nieco lepsze wyposażenie i był budowany częściowo z oryginalnych włoskich podzespołów. Marzeniem każdego człowieka sowieckiego było właśnie kupienie łady, ale możliwość taką miała jedynie nomenklatura.

N – Nomenklatura. Michał Wosleński, autor słynnej książki pt. „Nomenklatura", pisze, że była to najwyższa kasta partii komunistycznej, która po latach rozmaitych eksperymentów socjalnych po prostu przywłaszczyła sobie państwo. Dla zwykłego człowieka sowieckiego nomenklatura była jakby osobnym państwem. Wejście do tej partyjnej kasty było bardzo trudne, wręcz niemożliwe. Uważa się, że za czasów Breżniewa należało do niej maksymalnie 300 tys. osób. Ludzie nomenklatury żyli własnym życiem, które nie miało prawie nic wspólnego z życiem szeregowego człowieka sowieckiego. Ich dzieci studiowały na najlepszych uniwersytetach, zawierały małżeństwa przeważnie między sobą, przyjaźniły się prawie wyłącznie we własnym kręgu. Państwo nomenklatury był dla nas czymś niepojętym, dalekim. Czasem nawet był to przedmiot marzeń zwykłego zjadacza chleba.

P – Polskość. Urodziłem się i pierwsze lata życia spędziłem w Brześciu, mieście na samej granicy z Polską. Miasto dopiero od kilku lat znajdowało się w granicach ZSRS. Polskość była w Brześciu obecna prawie wszędzie; słuchano polskiego radia, oglądano polską telewizję, rozmawiano językiem miejscowym z użyciem wielu polskich słów. W czasie odwilży chruszczowowskiej po roku 1959 nieco otworzyła się granica i można było odwiedzać krewnych w PRL. Bo prawie każdy miał część rodziny w Polsce. Ale w tym sowieckim traktowaniu polskości był jeden bardzo znamienny szczegół. Polskość dla nas wszystkich istniała jedynie tam po drugiej stronie Bugu. Istnienie polskości w Brześciu było zaś tajemnicą poliszynela. Wszyscy o tym wiedzieli, ale nie wolno było tym głośno mówić. Zmieniły to dopiero pieriestrojka i upadek komunizmu. Polskość wyszła z podziemia, ale niestety dziś Polacy na Białorusi znów przeżywają trudne czasy.

R – Rekrut. Do Armii Czerwonej trafiłem z poboru i służyłem w niej jako szeregowy. Jaka to była armia, nie muszę tego prawdopodobnie tłumaczyć. Służbę traktowałem jako czas porównywalny z pobytem w więzieniu. Ileż mam z tego okresu wspomnień... Jednego wieczoru do naszych koszar przyszła informacja, że przywieźli marchew. Rzeczywiście przyjechała wielka ciężarówka i wywaliła przed kantyną kilkaset kilogramów surowej, brudnej marchwi. Następnego dnia marchew powinna znaleźć się w magazynach. Rano jednak – ku ogromnemu zdziwieniu dowódcy naszego batalionu – ta ogromna kupa marchwi zniknęła. „Zażarli swołoczy" – gniewnie krzyczał dowódca. I rzeczywiście, tej nocy w batalionie prawie nikt nie spał, bo wszyscy rzucili się na marchew. Nie, nie byliśmy głodni. Po prostu szalenie brakowało nam witamin.

W – Wódka. W ZSRS pito dużo, niektórzy twierdzą, że za dużo. W Rosji od wieków jednak alkohol był produktem pierwszej potrzeby. Mocno pijącymi byli niektórzy z carów. Jak świadczą dokumenty historyczne i wspomnienia, alkoholikiem był najsłynniejszy z carów – Piotr I.

Prawdziwa plaga alkoholizmu była związana z drugą wojną światową. Od 1942 r. w wojsku wprowadzono zasadę wydawania żołnierzom z pierwszej linii setki wódki na dzień. Miało to poprawić ich morale, ale skutkiem było powszechne pijaństwo. Armia ponosiła ogromne straty, a wódkę przydzielano według pierwotnych stanów osobowych. W rezultacie na każdego ocalałego żołnierza przypadało już nie 100 g wódki, lecz 200, a czasem i więcej. Stres i strach towarzyszący działaniom wojennym przekształciły Armię Czerwoną w armię pijaków, która po zakończeniu wojny wróciła do cywila i przyniosła tam ze sobą swoje wojenne nawyki. W dzisiejszej Rosji panuje przekonanie, że każda próba ostrej walki z wódką może doprowadzić do katastrofy. Z początkiem pierwszej wojny światowej car wprowadził prohibicję. Doprowadziło to do rewolucji bolszewickiej i krachu imperium. W latach 80. z wódką próbował ostro walczyć Gorbaczow, wprowadzając liczne ograniczenia jej sprzedaży. Spowodowało to rozpad imperium. Dziś w czasie wojny na Ukrainie nikt w Rosji o jakichkolwiek wódczanych ograniczeniach nawet nie wspomina...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1924b09a80



„Bij bolszewika!". Plakat propagandowy z czasów wojny z Rosją bolszewicką w 1920 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

XVI–XXI w. / Mongolskie wzorce rosyjskiej armii

Szarańcza na wojnie



Grzegorz Janiszewski

W kręgu kultury europejskiej postęp cywilizacyjny zwykle oznaczał też postęp w prowadzeniu działań wojennych. Wydaje się jednak, że nie dotyczy to Rosji. Pomimo małpowania europejskich wzorców, tocząc wojny, tkwi ona zazwyczaj głęboko w średniowiecznej Azji

Państwo, z którego wywodzi się współczesna Rosja, czyli tzw. Ruś Moskiewska, długo zajęte było zmaganiami z tatarskimi ordami. Pierwszym militarnym zetknięciem z Zachodem były wojny toczone przez Iwana Groźnego w latach 1558–1583 z Konfederacją Inflancką, Szwecją, Danią i Polską na terenach dzisiejszej Estonii i Litwy. Rosyjsko-tatarskie oddziały bezkarnie buszowały po kraju, mordując bezbronną ludność, paląc wsie i miasta. Okrucieństwa rosyjskich wojsk były tak wielkie, że wieści o nich dotarły do Europy Zachodniej. W 1561 r. w Hamburgu ukazał się druk ulotny opisujący rosyjskie prześladowania inflanckich chrześcijan. Opatrzono go ilustracją przedstawiającą Rosjan strzelających z łuków do powieszonych na gałęziach drzewa kobiet. Pod nimi leżą dzieci z rozprutymi brzuchami. Ich serca zwisają z gałęzi obok matek. Rosjanie do dzisiaj traktują to jako pierwszy przejaw propagandowej wojny, który wytoczył im Zachód. Stefan Batory potrafił wtedy doskonale wykorzystać siłę takiej propagandy. Z polskimi oddziałami ciągnęła polowa drukarnia, na bieżąco wydająca druki opisujące polsko-litewskie zwycięstwa i rosyjskie okrucieństwa.

Złem dobro zwyciężaj

Późniejsze wojny moskiewskiego państwa wyglądały różnie. Zwykle zależało to od nastawienia głównego lokatora Kremla. Czy to cara, czy bolszewika, czy „demokratycznie" wybranego przywódcy. Dużo zależało też od samego przeciwnika. Rosja zwykle pozowała na potęgę walczącą ze złem i z zepsuciem, zwykle jednak sama okazywała się złem większym niż to, z którym walczyła. Powodów było wiele. Od azjatyckich obyczajów, przyswojonych przez lata tatarskiej podległości, przez zacofanie, niski poziom edukacji i zwykłą biedę większości żołnierzy, aż do korupcji i pogardy dla życia u wyższych dowódców. Niepoślednią rolę odgrywał też zawsze alkohol.

eprasa.pl 1924b09a80



Rosyjskie okrucieństwo na ziemiach dzisiejszej Łotwy. Grafika z XVI w.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Podczas pościgu za Napoleonem w latach 1813–1814 na rozkaz pozującego na liberała cara Aleksandra I zaostrzono dyscyplinę, zwłaszcza wśród Kozaków, i surowo karano za gwałty, rabunki i morderstwa. Dwumiesięczną rosyjską okupację Paryża wiosną 1814 r. mieszkańcy stolicy wspominali z rozrzewnieniem. Rosjanie nie kradli i nie niszczyli, płacili za jedzenie i furaż, a wieczorami przy ogniskach śpiewali rzewne pieśni. Wszystko to jednak miało jeden cel. Przedstawić ich jako kulturalny, europejski naród i ułatwić carowi zaprowadzenie nowych porządków w Europie.

W czasie powstania listopadowego na podstawie ukazu cara Mikołaja I rosyjscy urzędnicy zaczęli porywać dzieci powstańców, polskich emigrantów politycznych, sieroty i biedaków z ulic. Chłopcy w wieku od 7 do 16 lat byli następnie wcielani do specjalnych batalionów szkolnych w celu wychowania na wzorowych rosyjskich żołnierzy. Byli wtedy na zawsze odrywani od rodzin, wielu zmarło z niedożywienia i wyczerpania po drodze na Syberię.

Jedną z największych klęsk w historii Rosja poniosła w wojnie krymskiej. Toczony w latach 1853–1856 konflikt przyniósł jej przegraną na skrawku własnej, dobrze ufortyfikowanej i przygotowanej ziemi. W dodatku z rąk o ponad połowę mniejszych sił ekspedycyjnych. Wynik zaskakujący, ale można się go było spodziewać. W rosyjskiej armii panowały powszechne korupcja i nędza. Żołnierze mieszkali w ziemiankach, dowódcy wynajmowali ich do prac polowych, zamiast szkolić. Wiejscy analfabeci, którzy stanowili większość, nadawali się tylko do prostych czynności. Podczas ćwiczeń strzelano tańszymi od ołowianych glinianymi kulami, które szybko niszczyły lufy karabinów. Umundurowanie i wyposażenie kupowane przez skorumpowanych kwatermistrzów i dowódców były marnej jakości. Rosyjskie gładkolufowe muszkiety strzelały co najwyżej na odległość 300 m, podczas gdy gwintowane brytyjskie i francuskie na ponad kilometr. Polski oficer służący w carskim wojsku kpt. Robert Chodasiewicz pisał później w liście, że Rosjanie przegrali pierwszą bitwę nad Almą, bo żołnierze nie dali rady walczyć bez przydziałowej wódki. Pieniądze na nią do własnej kieszeni zabrał dowódca pułku, uznając, że i tak połowa żołnierzy zginie. Pijany gen. Wasilij Kiriakow najpierw zapowiedział głównodowodzącemu księciu Mienszykowowi, że „zakryje przeciwnika czapkami", a potem kazał strzelać do własnych huzarów, biorąc ich za Francuzów.

W pierwszej wojnie światowej Rosjanie zwykle nie zachowywali się gorzej niż Niemcy, w 1914 r. masowo mordujący cywilów w Belgii czy bez powodu równający z ziemią Kalisz. Wpływ miała na to też pewnie ogłoszona przez Mikołaja II wraz z przystąpieniem do wojny prohibicja, która ostatecznie okazała się jednym z większych gwoździ do trumny chylącego się ku upadkowi imperium.

Wpływ Azji

Wszystko zmieniło się wraz z rosyjskimi rewolucjami. Masy żołnierzy, pochodzących często z ubogich i zacofanych części Rosji, wyrwały się spod kurateli lepiej wykształconych i przygotowanych do utrzymywania dyscypliny oficerów. Zresztą jeden z pierwszych rozkazów wydanych przez Trockiego jako dowódcę Armii Czerwonej dotyczył utworzenia punktów filtracyjnych na trasie Kolei Transsyberyjskiej, na których czerwonoarmiści wyłapywali białych oficerów, żeby ich rozstrzelać.

Nowe kadry nie były ani wykształcone, ani przygotowane do wykonywania swoich obowiązków. Przyzwyczajonych do przelewania krwi weteranów wielkiej wojny wystarczyło spuścić ze smyczy, nabijając głowy bolszewickimi ideałami. Na krwawe efekty nie trzeba było długo czekać.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej doszło do orgii, zabójstw i gwałtów na opanowanych polskich ziemiach. Pierwsze ofiarą padały ziemiańskie dworki, bezlitośnie palone i plądrowane przez sowiecką dzicz. W Płocku żołnierze chodzili grupami od domu do domu, szukając kobiet i krzycząc: „Gdzie ku.wy?!". Izabela Lutosławska w swojej książce „Bolszewicy w polskim dworze" tak wspominała nadejście bolszewickich oddziałów do Drozdowic pod Łomżą: „Ani jeden nie miał butów, niejednemu gołe ciało wyglądało spod łachmanów i byli w stanie jeść absolutnie wszystko i ciągle, […] dom był pełen tłuszczy – kilku stało na fortepianach, śpiewali, tłukli coś, bo był wciąż brzęk szkła – na podłodze książki, obrazki, papiery, bibeloty. Powietrze cuchnące".

Bolszewicy nie przestrzegali żadnych zasad prawa wojennego. Nad polskimi jeńcami masowo się znęcano, w czym celowali kozacy, siekący ich szablami albo obdzierający ze skóry. Urządzali „żywe" czy też „ruchome" groby. Grzebano w nich żywcem żołnierzy i pomagającą im ludność cywilną. Wciąż poruszające się ręce wystawały z kopców ziemi...

Zbrodni tych nie można złożyć jedynie na karb rewolucyjnego rozprężenia. Następne 20 lat budowania profesjonalnej sowieckiej armii niewiele dało. We wrześniu 1939 r. bestialstwo się powtórzyło. Kilkunastoletnich obrońców Grodna przywiązywano do pancerzy czołgów jako żywe tarcze. Po walkach rozstrzelano bez sądu ok. 300 obrońców, w tym nastoletnich uczniów. Złapanych polskich oficerów często na miejscu rozstrzeliwano. Przynajmniej dwukrotnie zdarzyły się przypadki rozstrzeliwania jeńców ustawionych w rzędzie strzałami z armaty. W Mokranach na Polesiu zamordowano ok. 20 wziętych do niewoli oficerów i podoficerów Flotylli Pińskiej. Oficerowie, którzy we Włodzimierzu Wołyńskim i Lwowie wynegocjowali z Sowietami honorowe warunki kapitulacji i zwolnienie, zostali następnie uwięzieni i przewiezieni do obozów w Kozielsku i Starobielsku. Sowieci zachęcali też do mordów Ukraińców i Białorusinów. „Bronią, kosą, widłami i siekierami bij odwiecznych swoich wrogów – polskich panów" – głosiło hasło na ulotce podpisanej przez komandarma I rangi Siemiona Timoszenkę. W wielu polskich relacjach z tamtego okresu przewija się wspomnienie dojmującego smrodu

eprasa.pl 1924b09a80



Rosyjski żołnierz nad grobem pomordowanych cywili w Czeczenii, 2000 r.
FOT. NATALIA MEDVEDEVA/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

nieprzetrawionego alkoholu i brudnych żołnierskich ciał, nieustannie towarzyszącego przemarszom sowieckich żołnierzy.

Dziesięciolecia budowy nowego państwa i człowieka w Kraju Rad zmieniły niewiele w jego obyczajach. W Afganistanie Rosjanie niemający pojęcia o tamtejszych zwyczajach, bezlitośnie atakowani przez mało widocznego przeciwnika, często głodni i okradani przez swoich oficerów, reagowali z bezmyślnym okrucieństwem. Bombardowano całe wioski podejrzewane o pomoc mudżahedinom. Sowieci w ogóle nie uznawali takich działań za zbrodnie wojenne. Częste były wyprawy odwetowe. 22 lutego 1983 r. por. Aleksander Wowk – oficer polityczny 103. Gwardyjskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej, został zastrzelony w okolicy „Zielonego Targu" w Kabulu. Wkrótce potem grupa oficerów z 357. pułku dywizji z zastępcą dowódcy pułku mjr. Witalijem Zababurinem na czele przybyła na rynek zaczęła strzelać do ludzi i wrzucać granaty do domów. Zginęły dziesiątki Afgańczyków. W takich masakrach ginęły całe wioski, nierzadko setki ludzi, w tym kobiety i dzieci. We wrześniu 1982 r. w wiosce Pedkwabe Szana spalono żywcem ponad 100 mieszkańców, oblewając ich benzyną i obkładając materiałami wybuchowymi. Podobny los spotkał ludzi ze wsi Kaszam Kala.

Sowieccy żołnierze na punktach kontrolnych okradali Afgańczyków z pieniędzy i potrzebnych im rzeczy. Jak wspominał Aleksander Naumienko ze 180. pułku Armii Czerwonej, ludzie z biednego kraju okradali jeszcze biedniejszych. Zdarzały się przypadki, że grupy bojowe – nawet z udziałem śmigłowców – zamiast tropić mudżahedinów, polowały na karawany Afgańczyków jadące autobusami i okradały ich z wartościowych rzeczy. Grabiono nawet wieśniaków z owoców, warzyw i gospodarskich zwierząt, kompensując sobie ubogą żołnierską dietę. Nie lepsze były stosunki w armii. Naumienko wspominał, że pewnego razu pijany kapitan z jego batalionu pobił go pięściami po twarzy, wyrzucając mu, że gdy on siedział na tyłach, mudżahedini zabili jego najlepszego przyjaciela. Weterani nie cieszyli się żadnym szacunkiem w społeczeństwie. Kiedy został zwolniony do cywila, Naumienko musiał dołączyć do kilkunastoosobowej grupy słowiańskich rezerwistów, żeby nie zostać pobitym i obrabowanym podczas podróży przez azjatyckie republiki ZSRS.

Pierwsza wojna w Czeczenii przypominała jedną wielką masakrę rosyjskich żołnierzy, zwłaszcza poborowych. Wojnę w grudniu 1994 r. rozpoczęło bombardowanie z powietrza stolicy republiki, Groznego, w którym mogło zginąć nawet 10 tys. ludności cywilnej. Rosjanie stosowali taktykę znaną z Afganistanu, bombardując z powietrza i ostrzeliwując całe czeczeńskie wioski, podejrzane o sprzyjanie bojownikom. W kwietniu 1995 r. Rosjanie okrążyli wieś Samaszki i mimo poddania jej przez starszyznę pijani żołnierze wyciągali z domów mężczyzn, rozstrzeliwując ich na miejscu. W ten sposób zginęło ok. 250 osób. Domy ograbiono i podpalono. Taki los spotkał wiele innych czeczeńskich wsi.

Koszmar powraca

W drugiej wojnie czeczeńskiej, która rozpoczęła się we wrześniu 1999 r., Rosjanie starali się unikać „błędów" z pierwszej. Zamiast poborowych do walki wysyłali tzw. kontraktników, służących na dobrych warunkach finansowych. Częściowo byli to żołnierze mający doświadczenie bojowe z poprzednich konfliktów, często z elitarnych jednostek. Nierzadko jednak byli to zwykli kryminaliści, alkoholicy i narkomani. Czeczeńskie miasta i wsie znowu były niszczone z powietrza, w tym zakazanymi w takich wypadkach przez prawo międzynarodowe pociskami zapalającymi.

Niewielki kraj przemierzały grupy specjalne, poszukujące „terrorystów" i dokonujące tzw. zaczistek, czyli wywożenia Czeczenów podejrzewanych o udział w działaniach zbrojnych do „punktów filtracyjnych". Tworzono je zwykle w miejscach oddalonych od miast i wsi – w opuszczonych budynkach, namiotach, pojawiły się nawet mobilne na samochodach. Czeczeńcy byli tam torturowani i mordowani. Ofiary były rażone prądem, cięte nożami, duszone plastikowymi workami zakładanymi na głowę, wlewano im naftę do gardła. W 2000 r. na terenie Czeczeni było ok. 30 takich punktów, w których przetrzymywano od 10 do 20 tys. osób. Rosjanie wykorzystali też przedwojenny sposób, który zapożyczyli od czeczeńskich przestępców. Pozorowali porwania dla okupu, częste wówczas w Czeczenii, jednak ich ofiary przepadały bez wieści. Żeby zatrzeć ślady, zaczęli wysadzać ludzi w powietrze przy pomocy materiałów wybuchowych. Taki los spotkał 21 mieszkańców wioski Mesken Jurt. Sposób ten bardzo utrudniał późniejszą identyfikację i określenie liczby ofiar.

Dzisiaj, podczas wojny na Ukrainie, powtarza się scenariusz znany z przeszłości. „Druga armia świata", nie mogąc uzyskać przewagi nad słabszym przeciwnikiem, ucieka się do znanych od lat sposobów. Bombardowane są miasta i wsie, atakowana i terroryzowana ludność cywilna. Jeńcy są torturowani, dochodzi do masowych zbrodni na cywilach, jak w Irpieniu i Buczy. Ukraińskie dzieci są porywane i wywożone do adopcji w głąb Rosji. Do walki kierowani są kryminaliści, a rosyjska Cerkiew prawosławna wspiera agresję.

Były dowódca amerykańskich wojsk w Afganistanie i dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej gen. David Petraeus wkrótce po rozpoczęciu wojny na Ukrainie w wywiadzie dla „Der Standard" stwierdził, że armia rosyjska stworzyła „kulturę" walki, charakteryzującą się częstymi i powtarzającymi się zbrodniami wojennymi. „Zabijanie i gwałcenie niewinnych cywilów, zabijanie i maltretowanie jeńców wojennych i więźniów, niszczenie infrastruktury cywilnej. Takie działania są barbarzyństwem, wydają się regułą, a nie wyjątkiem" – powiedział Petraeus. Nie odkrył przy tym Ameryki. Narody, które od stuleci walczą z Rosjanami, jak Polacy, od dawna doskonale o tym wiedzą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1924b09a80



Trofim Łysenko, naukowy szalbierz

FOT. SOVFOTO/UIG/EAST NEWS

XX w. / Komunistyczna „myśl" techniczna

Sowiecki złom



Tymoteusz Pawłowski

Dowcipy na temat sowieckich wyrobów przemysłowych nie wzięły się znikąd. Dysfunkcyjny system tworzył złom, który tylko w moskiewskiej propagandzie doganiał, a nawet przeganiał zachodnią konkurencję

Wbrew pozorom – i na przekór polskim doświadczeniom – Rosja jest państwem dość młodym: państwo o tej nazwie pojawiło się dopiero w końcu XV w., a na europejskie salony wkroczyło po wielkiej wojnie północnej zakończonej pokojem w Nystad zawartym w 1721 r. Jeszcze później zaczęła się rozwijać rosyjska nauka: co prawda, pierwsze dwa uniwersytety powstały w połowie XVIII w., ale dopiero rozbiory Rzeczypospolitej – i wielka grabież poczyniona w polskich bibliotekach – sprowadziły do państwa carów zachodnią literaturę fachową.

Nic więc dziwnego, że w kolejnych latach Rosja, starająca się naprawić opóźnienie techniczne wobec Zachodu, czyniła to w sposób mocno chaotyczny. Charakterystycznym przykładem są pancerniki typu Nowgorod. Budowano je w latach 70. XIX w., a charakteryzowały się idealnie okrągłym kształtem kadłuba, mającym zagwarantować wysoką manewrowość i dużą odporność. W praktyce okazało się, że miały niską dzielność morską i poruszały się bardzo powoli – nie nadawały się więc do działań ofensywnych. Do defensywy też się słabo nadawały – po każdym strzale siła inercji zaczynała obracać cały okręt. Wszystkie jednostki zezłomowano po niespełna 10 latach służby.

Gdy w początkach XX w. forma państwa rosyjskiego zmieniła się z imperium carów na Związek Sowiecki, chaos jedynie się pogłębił. Przykładem oryginalnej myśli naukowej tamtych lat są prace Iwana Miczurina i Trofima Łysenki. Pierwszy z nich negował istnienie genów i zakładał, że człowiek może wpływać na kształt oraz funkcje roślin, dobierając odpowiednie cechy, np. szczepiąc pomarańcze na korzeniu buraka, otrzymywać można było „pomaraka" dającego słodkie owoce i odpornego na mróz (podobnie stworzyć można było „nasturmidora" albo „kalaciejkę"). Drugi z nich twórczo rozwinął tę teorię, twierdząc, że rośliny można przyzwyczaić do warunków terenowych i pomarańcze można przyzwyczaić do warunków panujących na mroźnej Syberii...

Oryginalna myśl naukowa i techniczna Rosji nie sprawdzała się najlepiej, ale problematyczne były również wynalazki importowane z Zachodu. Rzadko który

eprasa.pl 1924b09a80

udało się wdrożyć do produkcji o czasie, a gdy już to uczyniono, produkowano je przez całe dziesięciolecia. Najlepiej widać to na przykładach samochodów: Moskwicz 400, którego produkcję rozpoczęto w 1957 r., był Oplem Kadetem z 1938 r. Sprawniej poszło z Fiatem 124, pochodzącym z 1966 r., gdyż jego produkcję w ZSRS rozpoczęto w 1970 r., a kontynuowano do roku 2012. O ile samochody marki Łada produkowano na podstawie zakupionej licencji, o tyle często „zapominano" o formalnościach, z reguły z fatalnymi skutkami. Zarówno naddźwiękowy samolot pasażerski Tu-144, jak i wahadłowiec kosmiczny Buran – będące mieszanką pomysłów własnych oraz obcych – zostały bardzo szybko wycofane z użycia: Buran wykonał tylko jeden lot.

Kosmiczne zabytki

Rosyjski program kosmiczny rozpoczął się w 1945 r., gdy w ręce Armii Czerwonej wpadli niemieccy naukowcy, którzy skonstruowali rakietę V-2.

Z niemiecką pomocą udało się Rosjanom skonstruować podobną rakietę – to słynne Scudy, używane gdzieniegdzie do dziś – ale Stalin chciał własnej, zdolnej do przeniesienia głowicy nuklearnej aż do Stanów Zjednoczonych. Zadanie zrealizowano już po jego śmierci – tak powstała rakieta R-7. Miała ona jedną, ale za to dyskwalifikującą wadę: nie nadawała się na wojnę. Była tak duża, że mogła startować tylko z jednego kosmodromu, jej tankowanie trwało ponad dobę, a jej celność była fatalna. W dodatku nie zdołano skonstruować głowicy dla niej przeznaczonej.

Gdy konstruktor Siergiej Korolow zdał sobie sprawę, że nie do końca zrealizował stalinowskie zadanie, przeraził się, że – znów! – trafi do więzienia, i postanowił znaleźć dla niej jakieś awaryjne zastosowanie. Pośpiesznie zamontował nadajnik radiowy wewnątrz metalowej sfery i całość wystrzelił w kosmos. W ten sposób 4 października 1957 r. Rosjanie umieścili na orbicie ziemskiej pierwszego sztucznego satelitę. Po kilku latach odnieśli jeszcze jeden sukces: 12 kwietnia 1961 r. w Kosmos poleciał Jurij Gagarin.



Żarówka Łodygina. Jednak to Edison wprowadził żarówki do masowej produkcji

FOT. ALLESMÜLLER/WIKIPEDIA/ CC-BY-SA-3.0

Jego lot nie świadczył jednak o przewadze Związku Sowieckiego w kosmicznym wyścigu, tylko o technologicznym zapóźnieniu. Waszyngton wykorzystywał satelity do zadań rozpoznawczych, to samo chciała zrobić Moskwa. Amerykanie dysponowali jednak technologią pozwalającą kontrolować sprzęt szpiegowski z Ziemi, technologią, której Rosjanie w tamtym czasie nie opanowali. Satelity rozpoznawcze musiały być kierowane ręcznie – dlatego właśnie Gagarin poleciał w Kosmos.

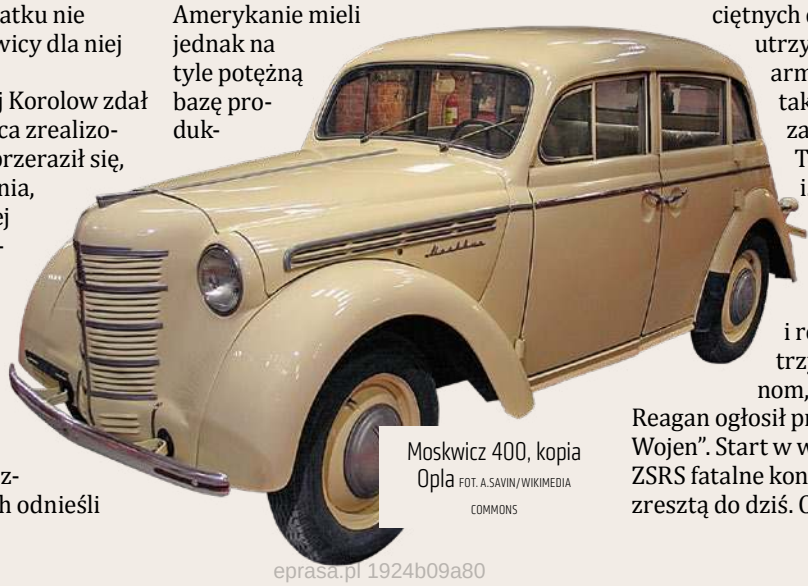
Ostatecznie jednak Rosjanie przegrali kosmiczny wyścig i na metę – za którą wszyscy uznawali Księżyc – nie zdołali dotrzeć. Wygrali Amerykanie, którzy ze spokojem przyglądali się sowieckim staraniom. Ich rodak – Robert Goddard – opracował w latach 30. teorię ruchu i budowy rakiet i chociaż również wykorzystywali niemieckich naukowców, to dość szybko uznali, że ich rozwiązania nie są perspektywiczne. Niewiele brakowało, aby Werner von Braun – twórca V-2 sprowadzony do USA – trafił na bezrobocie. Amerykanie mieli jednak na tyle potężną bazę produkcyjną, że mogli produkować zarówno zaawansowane rakiety wojskowe, jak i prostsze – choć potężne – rakiety, które poleciały na Księżyc. Konstruował je von Braun.

Rosjanie mieli natomiast bardzo ograniczone zasoby, musieli więc opracowywać rakiety „uniwersalne" i nie zdołali stworzyć we właściwym czasie ani odpowiedniej rakiety „cywilnej" ani „wojskowej". Statki kosmiczne Sojuz, które do dziś zaopatrują Międzynarodową Stację Kosmiczną, są jedynie nieco ulepszonymi rakietami R-7, czyli 65-letnimi zabytkami.

Złudna potęga

Moskiewskie problemy z technologią i produkcją są spowodowane przede wszystkim tym, że potęga Rosji jest dość złudna. Olbrzymia powierzchnia Rosji każe nam wierzyć, że duża jest również liczba ludności, a bogactwa są niezmierzone. Tymczasem jej ludność to nieco ponad 140 mln, a więc różnica pomiędzy Polską a Rosją jest mniej więcej taka sama, jak pomiędzy Polską a Szwecją, Czechami czy Belgią. Z kolei PKB na głowę mieszkańca jest w Polsce o 50 proc. wyższe niż w Rosji, więc różnica potencjału gospodarczego co prawda jest, ale nie tak wielka. Rosja to państwo o gospodarce nieco słabszej niż Korea Południowa i nieco silniejszej niż Iran. I dziesięciokrotnie słabszej niż gospodarka państw Unii Europejskiej.

Oznacza to, że kraj o dość przeciętnych dochodach nie tylko utrzymywał olbrzymią armię konwencjonalną, lecz także starał się prowadzić zaawansowane zbrojenia. To nie mogło się udać i... nie się udało. Związek Sowiecki przegrał zimną wojnę z powodu swojej słabości gospodarczej: zbankrutował i rozpadł się, próbując dotrzymać kroku Amerykanom, gdy prezydent Ronald Reagan ogłosił program „Gwiezdnych Wojen". Start w wyścigu zbrojeń miał dla ZSRS fatalne konsekwencje, odczuwane zresztą do dziś. Cierpi przede wszystkim



Moskwicz 400, kopia Opla FOT. A.SAVIN/WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 1924b09a80

społeczeństwo, zubożone moskiewską polityką zbrojeń za wszelką cenę.

Nie jest to zresztą pierwszy – i najprawdopodobniej nie ostatni – przypadek, gdy poddani moskiewscy odczuwają niedolę z powodu nadmiernych zbrojeń prowadzonych w czasach pokoju. W latach 30. XX w. Armia Czerwona była potężną siłą uderzeniową, dysponującą ponad 20 tys. czołgów. Było to dwa razy więcej, niż miały wszystkie inne państwa świata razem liczone, łącznie z „szykującymi się do podboju Europy" niemieckimi siłami zbrojnymi. Tę potęgę osiągnięto kosztem zniszczenia wsi i sprowadzenia na nią wielkiego głodu, w czasie którego zmarły miliony ludzi.

Ta potęga nie przydała się Moskwie na wiele. Gdy w 1941 r. doszło do wojny rosyjsko-niemieckiej, niemal całe to bogactwo zostało zdobyte przez wroga. Stało się tak przede wszystkim dlatego, że produkując czołgi, zapomniano o infrastrukturze potrzebnej do ich utrzymania: warsztatach, drogach, ośrodkach szkoleniowych. Najważniejsza była bowiem wysoka liczba czołgów, świadcząca o potędze Rosji, a ciągniki ewakuacyjne, wozy warsztatowe i cysterny nie były istotne. Większość sowieckich czołgów w 1941 r. nie zdołała nawet dojechać na front.

O infrastrukturalnej słabości sowieckiej armii (i przemysłu) doskonale zdawano sobie sprawę, ale nie zwracano na to uwagi. Rosja ma niewielkie szanse na to, aby była racjonalnie zarządzana. W państwie demokratycznym ludzie rozliczani są według swojej skuteczności. W państwie, w którym panuje samodzierżawie na zmianę z totalitaryzmem, ludzie rozliczani są według wierności wodzowi i partii. Siergiej Korolow nie był najlepszym z rosyjskich konstruktorów rakiet – ci zginęli w czasach wielkiej czystki. Nie był nawet najlepszy spośród tych, którzy przeżyli, był natomiast wierny i posłusznie donosił na swoich kolegów, walnie przyczyniając się do śmierci wielu z nich.

Likwidacja najzdolniejszych inżynierów wynika z cech państwa rosyjskiego. Niestety (dla Rosjan) Napoleon nie zdołał w 1812 r. podbić państwa carów. Nie zdołał więc zaszczepić tam najważniejszej idei rewolucji francuskiej: prawa do wolności i prawa do własności. Dorobek życia może zostać w każdej chwili przejęty na własność państwa. Jeśli ktoś jest zbyt bogaty, to pozbawia się go bogactwa; jeśli ktoś jest zbyt mądry, to pozbawia się go mądrości; jeśli ktoś jest zbyt swobodny, to pozbawia się go wolności. Niegdyś najbogatszy człowiek Rosji – Michaił Chodorkowski – stracił wolność i majątek. Co by się stało w Rosji z wolnością i majątkiem Elona Muska?

Dziadek „T"

Francuskie czołgi mają podobno sześć biegów: jeden do przodu, pięć do tyłu. To żart – w dodatku niezbyt smaczny, ponieważ nie wypada śmiać się z innych narodów – ale jedną z przyczyn klęski Francuzów w 1940 r. były nie najlepsze walory ich czołgów. Pomimo to Niemcy używali w regularnych formacjach kilkuset zdobycznych czołgów pochodzących z Francji. Niemcy zdobyli również tysiące czołgów sowieckich, jednak nie wcielili ich do służby. A przecież rosyjskie maszyny – szczególnie T-34 – uchodzą za najlepsze.

Najlepsze jednak nie są. Nie są nawet dobre. T-34 był przestarzałą konstrukcją, ze słabym pancerzem i z fatalnym silnikiem. O ile jednak inne nacje skarżyły się na swoje wozy bojowe, o tyle we wspomnieniach żołnierzy Armii Czerwonej nie ma ani jednego złego słowa na temat T-34. Nie dlatego, że je ceniono, ale dlatego, że krytyka sprzętu była – i znowu jest! – karana 10-letnim pobytem w łagrze.



Sowiecka rakieta R-7. Nie nadawała się na wojnę FOT. DOMENA PUBLICZNA

Gdy nie ma się sukcesów technicznych, wówczas pomagają cenzura i propaganda. Cenzura – a Rosja jest jedynym krajem z naszego kręgu kulturowego, w którym nie istnieje pojęcie „wolność słowa" – zamyka usta wszelkim krytykom. Propaganda służy natomiast do przekonania innych, że wady są tak naprawdę zaletami. „Współczesne" rosyjskie czołgi są tak naprawdę wersjami rozwojowymi czołgu powstałego niemal 80 lat temu – nazwanego T-44. Sowieccy konstruktorzy nie dysponowali – i nadal nie dysponują – odpowiednimi silnikami do napędzania ciężkich maszyn. T-44 (oraz jego wersje: T-54, T-64, T-72 etc.) są małe, ciasne, słabo opancerzone, ale – według rosyjskiej propagandy – to nie jest wada, to jest zaleta, ponieważ rosyjscy konstruktorzy stworzyli czołg lżejszy niż na Zachodzie.

Praktycznie jedynym rosyjskim towarem eksportowym jest uzbrojenie. Naczelnym hasłem reklamowym tych produktów jest „нет аналогов в мире": „na świecie nie ma niczego podobnego". Faktycznie: nie ma. Ale nie dlatego, że Rosja wyprzedza resztę świata w rozwoju technicznym, tylko dlatego, że świat wyprzedził Rosję. Rosjanie – na miarę swoich możliwości – starają się, jak mogą, ale nie są w stanie dorównać Zachodowi. Starają się więc przekonać, że ich sprzęt jest zupełnie innej klasy. Od czasów drugiej wojny światowej eksportowali swoje uzbrojenie do wielu państw, ale z reguły kraje te przegrywały z państwami uzbrojonymi przez Zachód. W takim przypadku zawsze winę zrzucano na źle wyszkolonych tubylczych żołnierzy. Gdy jednak Rosja znów jest zaangażowana w pełnoskalową wojnę, wyraźnie widać, że porażki nie są winą użytkowników, tylko sprzętu.

Rosyjskie problemy z techniką nie wynikają z przyczyn indywidualnych, tylko ze zbiorowych. Niewydolny jest cały system: począwszy od edukacji, poprzez wynagrodzenia za osiągnięcia, a skończywszy na infrastrukturze. I trzeba dokładać wszelkich starań, żeby system ten nie został zaimplementowany w innych krajach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1924b09a80



Przemysł zamienił Norylsk w jedno z najbardziej zatrutych miast na świecie FOT. ADOBE STOCK

1991–2023 / Rosja bez przełomu

Ruina Putina



Anna Szczepańska

Kiedy w 1991 r. upadł komunizm, ZSRS przestał istnieć i w Rosji do władzy doszli nowi ludzie, którzy rozpoczęli zupełnie nowy rozdział w historii tego kraju. Czy aby na pewno? Czy musiało zmienić się wszystko, aby nie zmieniło się niemal nic?

Według danych Międzynarodowego Funduszu Walutowego ponad 20 mln Rosjan żyje poniżej granicy ubóstwa. Przepaść pomiędzy najbogatszymi a najbiedniejszymi wciąż się pogłębia. Świadczy o tym to, że średni poziom życia w Rosji jest niemal taki sam lub niższy jak w byłych sowieckich republikach, np. w Kazachstanie czy Turkmenistanie. Jednym z bardziej wyrazistych dowodów na katastrofalny poziom życia rosyjskich rodzin jest brak... sanitariatów.

Według rosyjskiej agencji Rosstat aż 35 mln Rosjan nie ma w domu toalety, 47 mln nie ma ciepłej wody, a 29 mln w ogóle nie ma wody. Ponadto ok. 1,5 mln Rosjan nie ma w domu elektryczności, natomiast aż 40 mln nie posiada centralnego ogrzewania. Przypomnijmy, że to wszystko dzieje się w kraju, który jest jednym z największych na świecie producentów ropy naftowej i największym producentem gazu.

Niskie zarobki, złe warunki życia, wielkie odległości, brak perspektyw i życie w izolacji są w konsekwencji przyczyną nałogów. Rosja od lat zmaga się z plagą alkoholizmu, choć władze mówią o tym bardzo niechętnie. Co roku w wyniku choroby alkoholowej umiera w Rosji ponad 100 tys. ludzi. Jeszcze bardziej zatrważająco statystyki te wyglądają na Dalekim Wschodzie wśród Rosjan pochodzenia azjatyckiego. Aż 70 proc. tamtejszych mężczyzn, którzy nie dożywają 35. roku życia, umiera z powodu alkoholizmu. Przyczyną śmierci jest również picie nielegalnego alkoholu. Szacuje się, że aż 35 proc. wypijanej w Rosji wódki pochodzi z nieoficjalnych źródeł.

To wszystko powoduje, że średnia długość życia mężczyzn w Rosji to zaledwie 64 lata. Dla porównania:

eprasa.pl 1924b09a80

w Polsce średnia ta wynosi 75 lat. Tymczasem Rosja, udając, że nie dostrzega problemu, ogłosiła niedawno podniesienie wieku emerytalnego. W 2028 r. mężczyźni w Rosji mają pracować do 65. roku życia, czyli statystyczny rosyjski mężczyzna będzie się cieszył swoją ciężko wypracowaną emeryturą dokładnie… minus jeden rok. W tej chwili liczba kobiet przewyższa w Rosji liczbę mężczyzn o ponad 10 mln. Wojna na Ukrainie tylko tę lukę pogłębi.

Najgorzej przewidywana długość życia wygląda w najbardziej zanieczyszczonych miastach przemysłowych w Rosji, a takich nie brak. Przykładem może być choćby Asbiest na Uralu, który z osady zamienił się w miasto w czasach industrializacji prowadzonej w ZSRS pod dyktando Stalina. Do dziś jest to rosyjskie centrum wydobycia i przetwórstwa silnie rakotwórczego azbestu. Nawet jednak rosyjska „stolica" azbestu w kategorii zagrożenia dla zdrowia i życia mieszkańców nie jest w stanie pobić Norylska leżącego na dalekiej północy. Szczęśliwie miasto to usytuowane jest daleko poza szlakami turystycznymi – dostać się tam można jedynie statkiem lub samolotem. Norylsk to bowiem jedno z najbardziej zatrutych miejsc na naszej planecie. Jedynie zakłady należące do Norylskiego Niklu emitują każdego roku ok. 2 mln ton dwutlenku siarki. Dla porównania – takie ilości tej trucizny wytwarza w ciągu roku cały francuski przemysł…

Klęski z korupcji

Atak Rosji na Ukrainę sprawił, że światowe media dopiero teraz na dobre „odkryły" miliardowe majątki ludzi z najbliższego otoczenia Władimira Putina. Skąd w Rosji wzięli się oligarchowie?

Większość z nich to ludzie, którzy dorobili się w czasach „transformacji" na przełomie lat 80. i 90. XX w. Na początku lat 90. właściwie cała Rosja została wystawiona na sprzedaż. Tylko w latach 1992–1995 sprywatyzowano ok. 15 tys. firm. Państwo rosyjskie emitowało bony, za które kupowano udziały w poszczególnych firmach. W ten sposób gromadzono pierwsze fortuny. Biznesmeni oligarchami stali się jednak dopiero w drugiej połowie lat 90., gdy rząd zaczął zaciągać u najbogatszych Rosjan pożyczki w zamian za udziały w największych przedsiębiorstwach państwowych. Umowa zakładała, że w przypadku braku spłaty kredytu akcje firmy będą wystawione na aukcje. W ten sposób prywatne osoby wchodziły w posiadanie strategicznych przedsiębiorstw wartych miliardy dolarów. Od czasu dojścia do władzy Putina niepisana umowa pomiędzy nim a oligarchami mówi, że on pozwala zachować im majątki, a oni nie mieszają się do polityki. Chociaż oligarchowie to ułamek ułamka rosyjskiego społeczeństwa, to ich majątki stanowiły przed 2022 r. 21 proc. PKB Rosji.

Korupcja to bolączka trawiąca Rosję od wieków. Już w czasach wojny krymskiej (1853–1856), a później wojny z Japonią (1904–1905) skorumpowani wojskowi i urzędnicy prowadzili własną armię do klęsk. Mundury i żywność lepiej było przehandlować niż wysłać na front.

System komunistyczny sam w sobie jest wybitnie korupcjogenny. Aby godnie żyć, a czasami aby w ogóle przeżyć, trzeba kombinować, mieć znajomości i umieć wszystko załatwić. „Załatwianie" polega zaś najczęściej na dawaniu łapówek. To przykre skojarzenie – jeśli cokolwiek da się załatwić, to „pod stołem" lub „na boku" – pokutuje zresztą do dziś w dużej części byłego bloku wschodniego. Najtrudniej z sideł korupcji jest się jednak wyzwolić Rosji, gdzie przekupstwo ma niemal status państwowy. Korupcja nie tylko nabija kieszenie najbogatszym, lecz także może prowadzić do wielu tragedii. Według doniesień mediów to właśnie przez łapówki doszło do zamachu terrorystycznego na lotnisku Domodiewo w 2011 r. Służby pilnujące bezpieczeństwa miały być bowiem tak pochłonięte sprawdzaniem „nieprawidłowości" w dokumentach niektórych podróżnych, że nie zauważyły podejrzanych osób przygotowujących zamach. Do podobnych sytuacji miało dojść też wcześniej, w czasie zamachu na szkołę w Biesłanie (2004) i teatr w Moskwie (2003). Niezwykle obfitym w „nietypowe" transakcje okresem było również przygotowywanie przez Rosję igrzysk olimpijskich w Soczi. Szacuje się, że z 50 mld dol. przeznaczonych na organizację tego wydarzenia nawet połowa środków mogła trafić na konta biznesmenów, polityków i samego Putina.

Koszmar karny

Z najnowszych danych wynika, że w Rosji funkcjonuje 626 kolonii karnych. Przebywa w nich łącznie ponad pół miliona ludzi. System kolonii karnych to spadek po sowieckich łagrach. Różnią się nazwą, ale nie sposobem działania. Kolonia karna to obecnie typowe więzienie w Rosji. Skazańcy zobowiązani są do pracy na rzecz państwa. W zależności od rodzaju przestępstwa i chęci współpracy z władzami więźniowie mają wyższy lub niższy status. Wielu z nich jest torturowanych i gwałconych. Spośród najbardziej usłużnych więźniów werbuje się tych, którzy dręczą innych. Zdarza się też, że sami funkcjonariusze gwałcą skazańców.

Mimo upadku systemu komunistycznego Moskwa nie odeszła zupełnie od wykorzystywania psychiatrii w walce z dysydentami. Jednym z głośniejszych przypadków była sprawa Nadii Sawczenko, ukraińskiej nawigatorki, którą w 2014 r. Rosjanie pojmali w Donbasie i oskarżyli o współudział w zabiciu dwóch dziennikarzy. Moskiewski sąd zarządził obserwację psychiatryczną oskarżonej w niesławnym Instytucie Psychiatrii Społecznej i Sądowej im. Władimira Serbskiego, gdzie w czasach ZSRS dręczono dysydentów. Sprawa Sawczenko zrobiła się jednak zbyt głośna i rosyjski wymiar sprawiedliwości zrezygnował z „leczenia" Sawczenko, wytaczając jej zamiast tego „normalny" proces.

– Kiedyś wsadzanie do szpitali psychiatrycznych ludzi uznanych za wrogów ZSRS było powszechne. Dziś nie jest to już system walki z opozycją, ale niestety wciąż się zdarzają takie przypadki – komentował wówczas w rozmowie z „Do Rzeczy" słynny rosyjski dysydent Władimir Bukowski, który przyglądał się procesowi Sawczenko. – Wciąż czekam na dzień, kiedy te potworne metody walki z ludźmi inaczej myślącymi na dobre przejdą do historii i Rosja stanie się pod tym względem normalnym krajem. Ale właściwie czego innego można się spodziewać po tym państwie? Tam wszystko było i jest chore – mówił Bukowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1924b09a80

Historia ukryta w obrazie / Śmierć ostatniego Jagiellona

Konanie Zygmunta



Leszek Lubicki

Jan Matejko samotność króla w ostatnich chwilach życia oddał w sposób przejmujący i zgodny z relacjami współczesnych temu wydarzeniu. Według nich król umierał „otoczony tylko złowrogiemi sokołami”

eprasa.pl 1924b09a80

Augusta



Jan Matejko „Śmierć Zygmunta Augusta w Knyszynie" FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl 1924b09a80



Zygmunt August FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Widzimy monarchę w agonii, a po lewej stronie obrazu odbywającą się grabież królewskich kosztowności. Jeden z dworzan, Kasper Irzykowicz, podkomorzy mielnicki, poseł na Sejm w 1569 r., w liście pisanym 11 dni po śmierci Zygmunta Augusta donosił, że w skarbie królewskim znaleziono wówczas „jedno 1000 i 3 czerwonych złotych […], bo jedno kochankowie pobrali, pierzynki uwięzując z okna wyciskali, drugie się kurwom rozdało, jako się już Giżanka zna, że ma 1000 w zachowaniu czerwonych złotych przy sobie. Owo jako się pobożnie nabyło, tak sią też rozeszło" (Kraushar, 1894). Król zatem pozostawał w swym konaniu sam, „z dala od wiernych rad, od zacniejszych ludzi, otoczony tylko złowrogiemi sokołami i ich przyjaciółmi, czyhającymi na śmierć, aby rozerwać i pochwycić, co tylko przywłaszczyć się dało" (Kraszewski, 1888). „Sokołami" król nazywał swoje liczne kochanki.

Król obrabowany

Zapewne mistrz Jan znał także i inną relację mówiącą o śmierci króla. Napisał ją człowiek żyjący w czasach Zygmunta Augusta. Posłuchajmy więc. „Dworzanie powiadali, że po skonaniu króla taki okropny widok opuszczenia przedstawiał nieboszczyk, iż nie było czem przykryć nagi trup. Dopiero biskup krakowski kazał zrobić całun na ten użytek, a doktor Fogelweder włożył na ciało zmarłego złoty pierścień z kosztownym kamieniem i łańcuch złoty z krzyżem, nabyty niegdyś przezeń prawem spadku po Andrzeju Zebrzydowskim, biskupie krakowskim" (Orzelski, 1856). Wybitny historyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, a przy tym przyjaciel Matejki, z którym w czasie powstania styczniowego przebrani za węglarzy wozili broń do zaboru rosyjskiego, tak o tej chwili pisał: „Mikołaj i Jerzy Mniszchowie, dworzanie królewscy wraz z Barbarą Giżanką, jego faworytą, opanowali zupełnie dogorywającego króla, wykradli tajemne skrzynie z kosztownościami i pieniędzmi, wyłudzali podpisy nadań i przywilejów" (Szujski, 1862). Owym wspomnianym biskupem krakowskim był Franciszek Krasiński, osoba istotna dla powstania dzieła Matejki. Powiadano, że sakrę biskupią otrzymał za sprawą owej obrotnej Giżanki, awansując z pominięciem kliku szczebli kościelnej hierarchii.

Kim była ostatnia nałożnica królewska o takiej sile przebicia? Ród Gizów pochodził z Warszawy, a ich córka Barbara sprawiała od młodości wiele kłopotów, oddano ją zatem na wychowanie zakonnicom. Wydostał ją stamtąd dworzanin Mikołaj Mniszech i osadził na Zamku Królewskim. „Tylko cienka ściana drewniana oddzielała jej apartamenty od komnat zajmowanych przez Annę Jagiellonkę. We wrześniu 1571 r. Barbara powiła córkę. Nikt nie wierzył, że król jest jej ojcem, lecz dla Zygmunta Augusta narodziny dziecka stanowiły potwierdzenie wróżb. Pewien lekarz cudotwórca przepowiadał mu, […] że doczeka roku 1593, ponownego małżeństwa i potomka" (Jasienica, 1984). Bodaj dlatego Zygmunt II nawet chciał wziąć z nią ślub, byle tylko doczekać się spadkobiercy korony, gdyż wiedział, że Giżanka jest płodna. Możnowładcy, zarówno świeccy, jak i duchowni, obawiali się, że dojdzie do małżeństwa króla z ową mieszczką, i ponoć mieli zamiar ją porwać. „Prymas Uchański szukał lepszych kandydatur. Było już jednak za późno: za późno na rozpoczęcie nowego życia przez Zygmunta Augusta" (Nowak, 2019). Jednak król zapewne o tych zamiarach dowiedział się wcześniej od usłużnych mu ludzi i kazał ją wywieźć do Knyszyna. W tej miejscowości bowiem ostatni dwaj Jagiellonowie czasami pomieszkiwali, uczestnicząc w polowaniach. Zamieszkiwali we dworze darowanym im przez Mikołaja Radziwiłła, od XIX w. już nieistniejącym. Wobec panującej wówczas w Warszawie zarazy i pogarszającego się zdrowia król kazał się tam także zawieźć. Na postoju

eprasa.pl 1924b09a80



Barbara Radziwiłłówna, obraz z połowy XVI wieku, autor nieznany

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

w Wiźnie obdarzył Giżankę szlachectwem. Kilka dni wcześniej monarcha „nadał jej dożywotnio dwór w Baranowie oraz 5 wsi w powiecie wiskim" (Cynarski, 1988). Już w Knyszynie, choć bardzo osłabiony, król nie wierzył w nadchodzącą śmierć. Jednak „zakończył życie 7 lipca, mając lat wieku 52, a we 24 lata po śmierci swego ojca, Zygmunta I, w mieście Podlaskiem, z suchot spowodowanych trwającą gorączką, a przyśpieszonych, jak niektórzy powiadają, użyciem miłosnego napoju" (Orzelski, 1856). Śmierć króla spowodowaną gruźlicą i osłabieniem w wyniku innych dolegliwości potwierdzają również współcześni znawcy przedmiotu.

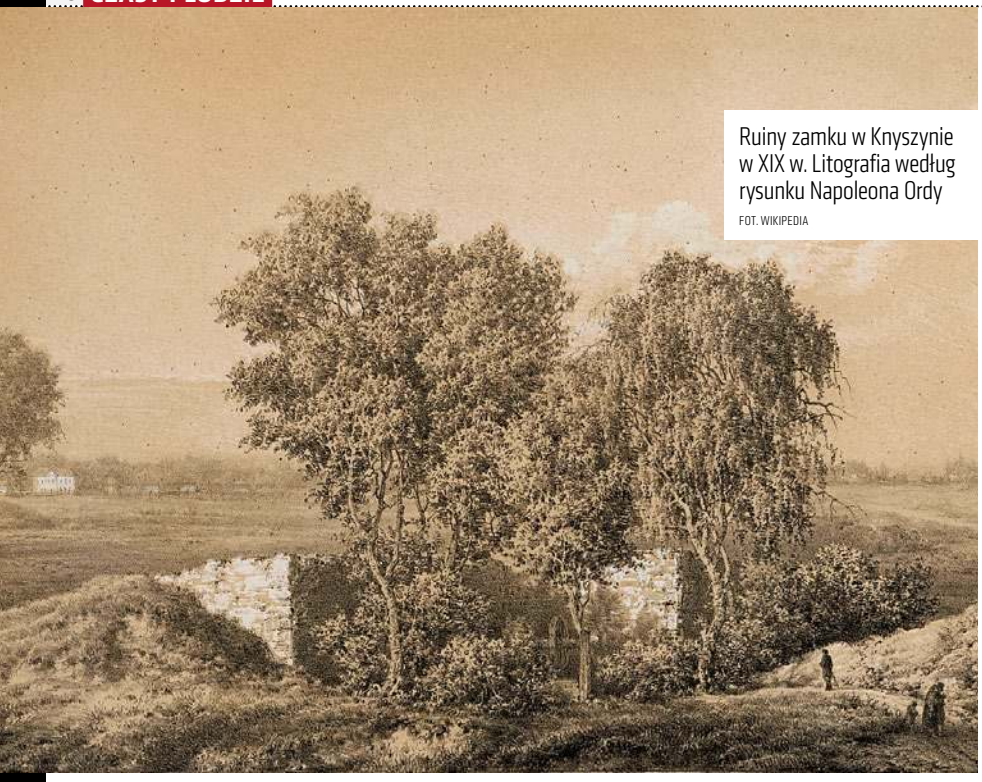
Gdy patrzymy na obraz i czytamy przedstawione wyżej relacje ze śmierci króla, dostępne wówczas artyście, widzimy, że mogło być dużo gorzej w chwili agonii Zygmunta II od tego, co przedstawił Jan Matejko. Kompozycję tę stworzył na zamówienie rodziny Krasińskich. Pragnęli oni, aby artysta na obrazie historycznym ukazał jakiegoś członka ich znakomitego rodu. „Matejko wybrał Franciszka, biskupa krakowskiego, powiernika i doradcę ostatniego z Jagiellonów, obecnego przy jego śmierci. Temat ten umożliwił też artyście ukazanie nieuczciwości i zachłanności Mniszcha, który w ostatnich latach panowania Zygmunta Augusta przywłaszczył sobie część królewskiego skarbu..." (Sroczyńska, 1991).

Mistrz Jan samotność króla w ostatnich chwilach życia oddał w sposób przejmujący i zgodny z relacjami, z wyjątkiem bodaj jego odzienia, skoro czytaliśmy, że „nie było czem przykryć nagi trup". Warto zwrócić uwagę na wiszący na ścianie portret największej miłości króla, Barbary Radziwiłłówny. A najbardziej na figury, które w ogóle nie zwracają uwagi na konającego monarchę. Każdy jest tam zajęty czym innym. Mimo że biskup Krasiński stoi z komunikantami, to jego wzrok pada nie na króla, tylko na osoby po lewej stronie obrazu, gdzie dzieje się szaleńczy rabunek królewskich kosztowności. Tam „siedzi przy stole patrzący w stronę króla dworzanin Jerzy Mniszech z dokumentami w ręku. Obok niego stoi faworyta królewska Barbara Giżanka; spoglądając na Mniszcha, chwyta szkatułę z klejnotami" (Sroczyńska, 1991). Co myśli patrzący na nich umierający Zygmunt August, tego możemy się tylko domyślać. Stojący za łożem i kotarą królewski lekarz łapie się za głowę, nie dowierzając temu, co widzi. Obraz przerażający. Ale czy faktycznie tak było?

Czy było aż tak okrutnie?

Obecnie historycy nie są już tak pewni owego opuszczenia króla i grabieży kosztowności, jak drzewiej pisano: „Zaledwie znaleźli się ludzie coby koło zwłok zmarłego króla mieli staranie, bo pozmykali najpoufalsi królewscy ulubieńcy, którzy pierwsze miejsce w łaskach jego trzymali" (Orzelski, 1856).

eprasa.pl 1924b09a80



Ruiny zamku w Knyszynie w XIX w. Litografia według rysunku Napoleona Ordy
FOT. WIKIPEDIA

Posłuchajmy, co na ten temat sądzi biograf Zygmunta Augusta. „W świetle najnowszych badań archiwalnych relacje Orzelskiego i Irzykowicza wydają się nie w pełni wiarygodne. W trakcie moich poszukiwań w archiwach watykańskich trafiłem na list Fogelwedera skierowany prawdopodobnie do wojewody krakowskiego Jana Firleja, w którym pisze on, że Zygmunt August był do końca przytomny. Obecni przy nim senatorowie opieczętowali komnaty, w których mieściły się rzeczy po królowej Barbarze […]. O żadnych kradzieżach Fogelweder nie wspomina, a przecież on był osobistym sekretarzem króla […]. Mimo oczywistych dowodów skandalicznego postępowania kamaryli dworskiej udało się Mniszchom wybronić […]. O wyrządzonych afrontach, skandalach i nadużyciach pamiętała głównie Anna Jagiellonka, która powiedziała: »Nie mogę im przebaczyć. Bóg przypomni kiedyś moje sieroctwo i pomści się za ciężką moją krzywdę«. Było w jej pretensjach wiele racji, bo jej staropanieństwo wynikało nie tyle z małej atrakcyjności fizycznej, co przede wszystkim z niechęci króla do odpowiedniego uposażenia siostry. Król bowiem liczył się z pieniędzmi, nie żałował ich jedynie dla »sokołów«" (Cynarski, 1988). Czyli jak by odczytywać te relacje, można przypuszczać, że było coś na rzeczy w zachowaniu otoczenia króla w chwili jego śmierci i wiele prawdy umieścił Jan Matejko na swoim obrazie. „Sokoły" były bezwzględne.

Zwłoki króla przez Tykocin przewieziono do Warszawy. Następnie orszak wyruszył do Krakowa, gdzie dotarł w lutym 1574 r. Pogrzeb Zygmunta Augusta odbył się w katedrze wawelskiej dopiero po 20 miesiącach od jego śmierci, już po przybyciu do Polski wybranego w wyniku wolnej elekcji jego następcy, Henryka Walezego. Ten zaś nawet nie zamierzał brać udziału w uroczystościach pogrzebowych swojego poprzednika. Jak napisał pięknie kronikarz: „Osoba pańska umiera, korona nie umiera" (Bielski, 1856). Korona królów polskich, owszem, odrodziła się, ale niestety w ostatniego Jagiellona nędznym następcy. Dlatego często się uważa, że wolna elekcja w takim wydaniu była początkiem końca Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Faktycznie tron polski był elekcyjny już od czasu śmierci Kazimierza Wielkiego, ostatniego Piasta. Co prawda, nie były to elekcje takie jak po roku 1572, lecz oligarchiczne, ale „dopiero z jego śmiercią [Zygmunta Augusta – przyp. red.] została Rzplita państwem ściśle elekcyjnym, o której rządy mógł byle kto się ubiegać, począwszy od szlachcica czeskiego i książątek włoskich aż po Iwana Groźnego i cesarzów Rzeszy" (Brückner, 1990). Pięknie pisał o tym inny nasz wybitny historyk: „Dopóki zresztą starczyło Jagiellonów, miała elekcja tylko formalne znaczenie; naród do dynastii swej przywiązany, przez nią jedynie z Litwą złączony, a unii litewskiej przede wszystkim strzegący, o innym wyborze nie myślał" (Bobrzyński, 1897).

Ostatni Jagiellon na polskim tronie spoczął w katedrze na Wawelu, w kaplicy Zygmuntowskiej, obok swojego ojca, Zygmunta I Starego. Jak celnie zauważył prof. Fałkowski: „Zygmunt August, pomimo że zmarł w lipcu 1572 r., to swoje panowanie zakończył dopiero w lutym roku 1574".

Obraz Jana Matejki „Śmierć Zygmunta Augusta w Knyszynie", o w miarę dużych wymiarach (112 x 146 cm), był malowany przez artystę w ciągu trzech ostatnich miesięcy roku 1886. Krasińscy posiadali go do 1893 r., a potem sprzedali Ludwikowi Norblinowi, który w 1916 r. podarował go Towarzystwu Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie. Czyżby ród ten uznał, że niezbyt chwalebną chwilę wybrał artysta, aby ukazać przodka ich rodziny? Po wybuchu drugiej wojny światowej zbiory TZSP zostały przeniesione do warszawskiego muzeum, skąd w 1944 r. dzieło to – jak wiele innych – zostało zrabowane przez Niemców. Odnalezione na Dolnym Śląsku przez Sowietów wywiezione zostało przez nich do ZSRS. Obraz rewindykowano w 1956 r. i powrócił do Muzeum Narodowego w Warszawie. Od 1957 r. znajduje się w Muzeum Okręgowym w Toruniu jako depozyt i tam możemy obecnie tę kompozycję oglądać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Literatura:

M. Bielski, „Kronika Polska", T. II, *Sanok, 1856;* ***M. Bobrzyński, „Dzieje Polski w zarysie",*** *Warszawa 1879;* ***A. Brückner, „Encyklopedia staropolska" (reprint), T. 1,*** *Warszawa 1990,* ***S. Cynarski, „Zygmunt August",*** *Wrocław 1988;* ***P. Jasienica, „Ostatnia z rodu",*** *Warszawa 1984;* ***J.I. Kraszewski, „Wizerunki królów i książąt polskich",*** *Warszawa 1888;* ***A. Kraushar, „Nieznana relacja o śmierci Zygmunta Augusta",*** *„Kwartalnik Historyczny", Lwów 1894;* ***A. Nowak, „Dzieje Polski", T. IV,*** *Kraków 2019.* ***Ś. Orzelski, „Bezkrólewia ksiąg ośmioro, czyli Dzieje Polski od zgonu Zygmunta Augusta r. 1572 aż do r. 1576",*** *Petersburg i Mohilew 1856;* ***K. Sroczyńska (red.), „Matejko. Obrazy olejne. Katalog",*** *Warszawa 1991;* ***J. Szujski, „Dzieje Polski", T. II,*** *Lwów 1862.*

eprasa.pl 1924b09a80

Już 19 czerwca w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

Ministerstwo Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 1924b09a80



Zdjęcie sygnalityczne s. Izabeli, Zofii Łuszczkiewicz FOT. IPN

1898–1957 / Izabela Maria Zofia Łuszczkiewicz

Niezłomna za kratami


Rafał Łatka

„Czyste sumienie droższe mi było i jest nad życie” – mówiła siostra Łuszczkiewicz, którą na celownik wziął sam Józef Różański, oskarżając ją o największe „zbrodnie” przeciw komunizmowi

Aresztowano ją za pomocą podstępu, wzywając pod fałszywym pretekstem, ponieważ komuniści obawiali się jawnego zatrzymania zakonnicy. Siostra Izabela Maria Zofia Łuszczkiewicz została aresztowana 27 sierpnia 1948 r. przez funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie. Osadzono ją w areszcie śledczym przy pl. Inwalidów w Krakowie, a potem przeniesiono ją do więzienia na Montelupich. Kilka dni później s. Łuszczkiewicz trafiła do Warszawy – najpierw do siedziby Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Koszykowej, a następnie na Rakowiecką do więzienia mokotowskiego, gdzie przetrzymywano najważniejszych więźniów politycznych.

Śledztwo w jej sprawie osobiście nadzorował Józef Różański – niesławny dyrektor Departamentu Śledczego MBP. Śledczy stosowali metody psychicznego niszczenia więźnia, przyznawania kar i nagród. „Nazajutrz znów zawezwał mnie [...] oficer i już bardzo grzecznie namawiał do złożenia podpisu w zamian za natychmiastowe wypuszczenie mnie na wolność, i zapewniał, że tak Zgromadzenie, jak i rodzina będą we wszystko opływać. Kategorycznie odmówiłam, gdyż czyste sumienie droższe mi było i jest nad życie. Wtedy to zaczęło się potworne śledztwo kierowane osobiście przez Różańskiego” – wspomniała niezłomna zakonnica.

Siostra Izabela była okrutnie torturowana i brutalnie przesłuchiwana przez cały okres śledztwa. Zostawiła na ten temat poruszające świadectwo: „W ciągu tych długich miesięcy, prawie dwóch lat, przeszłam okropne śledztwo i przebywałam w okropnych warunkach higienicznych, na betonie i sienniku, można powiedzieć o głodzie, bo odżywianie było bardzo nędzne, a śledztwo po parę godzin kilka razy w ciągu 24 godzin [...]. Oprócz bicia, przysiadów do dwóch tysięcy naraz miałam jeszcze tzw. stójki. Polegały one na tym, że w czasie zimnych dni i mroźnych stałam boso na betonie tylko w koszuli tyłem do okna i tuż pod oknem, z którego wyjmowano szyby. Na domiar wszystkiego jeszcze w nocy zlewano mnie konewkami zimnej wody. Po 14 dniach i nocach takiego stania (nawet do podawania jedzenia nie pozwalano mi usiąść), będąc już całkiem spuchnięta, straciłam przytomność i ocknęłam się w szpitalu więziennym. W szpitalu, urągającym nazwie szpitala, przyszłam, Bogu dzięki, do siebie, by zacząć znów śledztwo”. Dlaczego komuniści potraktowali zakonnicę w tak brutalny sposób, jakby była jednym z największych wrogów „władzy ludowej”?

Misja pomagania

Zofia Łuszczkiewicz urodziła się 23 kwietnia 1898 r. w Krakowie. Pochodziła z rodziny inteligenckiej i szlacheckiej. Oboje jej rodzice byli adwokatami, a Zofia była ich najstarszą córką (z pięciorga rodzeństwa). Od 1911 r. kształciła się w Prywatnym Gimnazjum Realnym Sióstr Urszulanek w Krakowie. Była zdolną i wybijającą się uczennicą osiągającą doskonałe wy-

eprasa.pl 1924b09a80

niki w nauce. Naukę kontynuowała na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie studiowała chemię i botanikę. Oprócz przedmiotów kierunkowych uczęszczała także, zgodnie ze swoją pasją, na przedmioty pedagogiczne i doskonaliła znajomość języków obcych (angielskiego, francuskiego, niemieckiego oraz łaciny). Zofia udzielała się także społecznie w Związku Dziewcząt Polskich, a następnie w ambulatorium przy Domu Prowincjalnym Sióstr Miłosierdzia w Krakowie. Ukończyła w czasie studiów kilka kursów sanitarnych, co przydało się następnie w czasie wojny polsko-bolszewickiej. W jej czasie jako ochotniczka dołączyła do służby pielęgniarskiej i przez ponad pół roku pracowała w szpitalach wojskowych.

To właśnie chęć świadczenia pomocy bliźnim była głównym powodem jej kolejnych wyborów życiowych. W styczniu 1923 r. wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo (nazywanych popularnie szarytkami). Okres zakonnego postulatu spędziła w Zakładzie św. Kazimierza we Lwowie. Kolejny etap formacji, czyli nowicjat, przeszła w Paryżu. Po obłóczynach pozostała we Francji, gdzie m.in. praktykowała pielęgniarstwo w jednym ze szpitalu w Bordeaux oraz skończyła w 1926 r. Wyższą Szkołę Pielęgniarską przy szpitalu pw. św. Józefa w Paryżu.

Do Polski Zofia powróciła w lipcu 1926 r., a więc już w nowych realiach politycznych po zamachu majowym Józefa Piłsudskiego. Rozpoczęła wówczas pracę jako pielęgniarka, a jednocześnie objęła funkcję dyrektora i wykładowcy szkoły pielęgniarskiej, która znajdowała się przy lwowskim szpitalu powszechnym. Przyjęła wówczas imię zakonne Izabela, którym posługiwała się do końca życia, 8 września 1928 r. złożyła zaś śluby zakonne. Siostra Izabela dbała o wysoki poziom powierzonej sobie placówki, z licznych obowiązków wywiązując się bardzo dobrze. Ponadto brała udział w wielu konferencjach i spotkaniach środowiska pielęgniarek na terenie Europy i Stanów Zjednoczonych. Dzięki temu znała i stosowała w praktyce najnowsze osiągnięcia medyczne w dziedzinie opieki nad pacjentami.

W 1939 r. przebywała w Stanach Zjednoczonych, gdzie poszerzała swoją wiedzę pielęgniarską, lecz na wieść o zbliżającej się wojnie powróciła do Polski 15 sierpnia 1939 r. Po zajęciu przez wojska sowieckie Lwowa musiała się ukrywać, gdyż była imiennie poszukiwana przez NKWD. Używając fałszywego nazwiska – Maria Szmid – i stroju świeckiego przedostała się na teren Generalnego Gubernatorstwa. Ukrywała się w Krakowie, a następnie w Zebrzydowicach. W tej drugiej miejscowości pracowała w ochronce, gdzie świadczyła pomoc dzieciom, opiekowała się także osobami ubogimi i starszymi. Do jej obowiązków należało również organizowanie zaopatrzenia żywnościowego. Informacje ze źródeł archiwalnych potwierdzają także zaangażowanie s. Izabeli na rzecz pomocy dla ukrywających się rodzin żydowskich (m.in. Hasów, Fiszcherów czy Aftergutów). Była nawet nazywana przez uratowanych „naszym aniołem".

Już w 1940 r. nawiązała kontakty z polskimi organizacjami konspiracyjnymi: Związkiem Walki Zbrojnej, przekształconym później w Armię Krajową, oraz z Batalionami Chłopskimi. Zaangażowała się głównie w opiekę nad rannymi partyzantami, choć prowadziła także nasłuch radiowy. Występowała również jako tłumaczka w kontaktach między miejscową ludnością a niemieckimi urzędnikami. W 1944 r. odgrywała rolę kuriera przekazującego informacje między małopolskim podziemiem a Śląskim Okręgiem AK. Pod koniec września 1944 r. udało się jej szczęśliwie uniknąć aresztowania. Wszechstronna działalność s. Izabeli w konspiracji została doceniona przez dowódców podziemia. 30 października 1944 r. otrzymała specjalne podziękowanie w rozkazie dziennym podpisanym przez gen. Brunona Olbrychta „Olzę".

Po wejściu Armii Czerwonej do Krakowa w styczniu 1945 r. s. Izabela została przeniesiona przez przełożoną do Rzeszowa. Rozpoczęła wówczas pracę w szpitalu przy ul. Chopina. Zaczęła wtedy używać imienia Maria (zapewne dla lepszej konspiracji). Szybko nawiązała kontakty z miejscową komórką Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, a we wrześniu 1945 r. ze Zrzeszeniem Wolność i Niezawisłość Okręgu Rzeszowskiego. Podobnie jak w czasie okupacji niemieckiej także w czasie komunistycznego zniewolenia jej aktywność w podziemiu była wszechstronna. Szczególnie istotne było przekazywanie leków partyzantom oraz ułatwianie ucieczek więźniom politycznym skierowanym do szpitala.

W sierpniu 1946 r. przeniosła się do Krakowa, a rok później władze zakonne skierowały ją do Zebrzydowic. W obydwu tych miejscach kontynuowała swoje zaangażowanie w działalność konspiracyjną, łącząc je z pracą na rzecz swojej wspólnoty zakonnej. W Zebrzydowicach była to praca w kancelarii przedszkola oraz opieka nad chorymi dziećmi. Z późniejszego śledztwa bezpieki wynikało, że w 1947 r. pośredniczyła w spotkaniu jednego z liderów środowisk narodowych Adama Doboszyńskiego z ks. Janem Piwowarczykiem. Z pewnością w tamtym okresie znalazła się pod lupą aparatu bezpieczeństwa, którego funkcjonariusze mieli świadomość, że siostra jest zaangażowana w działalność niepodległościową.



Zofia Łuszczkiewicz FOT. WYDAWNICTWO ZNAK

„Zamiar obalenia"

Śledztwo trwało w sumie pół roku, s. Izabelę oskarżono m.in. o przynależność do „reakcyjnych" AK i WiN,

eprasa.pl 1924b09a80

współpracę z „ośrodkiem szpiegowskim na rzecz Niemiec", kontakty z emigracją, pomoc w zabójstwie funkcjonariusza UB Ludwika Bojanowskiego czy też o „zamiar obalenia ustroju siłą". Na podstawie tak skonstruowanego aktu oskarżenia 4 sierpnia 1949 r. odbyła się pierwsza z kilku rozpraw s. Łuszczkiewicz. Siostra nie przyznała się do zarzutów i wykazała przy tym, że nie odczytano jej aktu oskarżenia. Komuniści nie przejmowali się jednak żadnymi sądowymi procedurami. Na kolejnej rozprawie, która miała miejsce 26 sierpnia, nie dopuszczono ani świadków obrony, ani adwokatów oskarżonej i zmieniono ławników na bardziej pewnych z punktu widzenia UB. Trzecie postępowanie sądowe miało miejsce 20 września 1949 r. i skazano wówczas s. Izabelę na 15 lat więzienia.

Borys Kośko, wiceprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej, wniósł o ponowne rozpatrzenie sprawy, uważając, że wyrok jest zbyt niski. Jego zastrzeżenia zostały uwzględnione i kolejna rozprawa s. Łuszczkiewicz odbyła się w dniach 10–13 marca 1950 r. przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie. 13 marca skazano ją na karę śmierci, przepadek mienia i utratę praw obywatelskich. Już po ogłoszeniu wyroku funkcjonariusze śledczy proponowali s. Izabeli podjęcie współpracy z UB w zamian za ocalenie życia. Próbowali także zmusić zakonnicę do przyznania się do spreparowanych zarzutów. „Na drugi dzień zawezwał mnie śledczy i zapytał, czy może teraz podpiszę protokół o szpiegostwie na rzecz Watykanu i Ojca Świętego. Gdy odmówiłam, zapewnił mnie, że zgniję w więzieniu" – wspominała s. Izabela. Kolejna represja, którą stosowano wobec siostry, miała charakter okrutnego psychicznego znęcania się. W więzieniu regularnie pozorowano prowadzenie s. Izabeli na egzekucję. Tak to wspominała w oświadczeniu dla władz zakonnych: „Czekając na wykonanie wyroku przez trzy miesiące, byłam ustawicznie wołana wieczorami celem zdeprymowania mnie, iż idę niby na wykonanie wyroku. Z początku ciężko to przechodziłam, ale wreszcie przyzwyczaiłam się do tego i starałam się być przygotowaną na śmierć".



Zofia Łuszczkiewicz jako uczennica urszulanek FOT. ZBIORY MICHAŁA ŁUSZCZKIEWICZA

22 marca 1950 r. adwokat siostry Łuszczkiewicz złożył skargę rewizyjną o zmianę wyroku. 10 maja Najwyższy Sąd Wojskowy zmienił jej karę na dożywocie. Od czerwca 1950 r. skazana przebywała w więzieniu w Fordonie, a w sierpniu 1952 r. została przewieziona do więzienia w Inowrocławiu, nazywanego „polskim Oświęcimiem". Pobyt w tym miejscu był dla siostry szczególnie uciążliwy, gdyż przez 13 miesięcy przetrzymywano ją w izolatce. Aż do 1952 r. była pozbawiona jakichkolwiek kontaktów z bliskimi i z członkami zakonu. Pozwolono jej jedynie otrzymać kilka paczek z lekami i witaminami. 22 czerwca 1955 r. s. Łuszczkiewicz została ponownie przeniesiona do Fordonu.



Kościół i klasztor św. Kazimierza we Lwowie. Tu Zofia Łuszczkiewicz odbywała nowicjat FOT. AEOU/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

Na wolności

Na fali odwilży 5 maja 1956 r. Wojskowy Sąd Garnizonowy po rozpatrzeniu skargi rewizyjnej złożonej przez s. Łuszczkiewicz zmienił jej wyrok dożywocia na 12 lat więzienia. Adwokat wniósł z kolei o przerwę w odbywaniu kary ze względów zdrowotnych. Siostra Izabela otrzymała zgodę na podleczenie się na okres od 15 czerwca do 15 grudnia 1956 r. Wróciła wówczas do Krakowa do domu szarytek przy ul. Warszawskiej. Później wyjechała do Wrocławia, gdzie odbywała kurację zdrowotną, prowadzoną przez znajomych lekarzy. Komunistyczny sąd mimo wniosków adwokatów nie zniósł całkowicie wyroku ciążącego na s. Izabeli. Zmniejszono jedynie orzeczoną karę więzienia do czterech lat pozbawienia wolności, ale nie uwolniono siostry od zarzutu działania zmierzającego do „obalenia ustroju". Po wyjściu z więzienia s. Izabela bardzo cierpiała, jej organizm był niezwykle wyczerpany po okrutnych torturach. Zakonnica zmagała się z chorobą nowotworową szczęki oraz ślinianek, wynikającą z wybicia zębów przez śledczych zwyrodnialców. Oprócz tego chorowała na gruźlicę kości nogi, zwyrodnienie mięśnia sercowego i stałe nadciśnienie. Na ostatnim etapie życia siostra zapisała: „Bogu się jednak oddałam, jak czyniłam to zawsze podczas ośmiu lat więzienia, i jestem spokojna". Izabela Zofia Maria Łuszczkiewicz zmarła 8 sierpnia 1957 r. i została pochowana na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, w grobowcu Sióstr Miłosierdzia. Dopiero w 1993 r. Sąd Wojewódzki w Krakowie unieważnił wszystkie wyroki skazujące s. Łuszczkiewicz oraz stwierdził, że niezłomna zakonnica walczyła o niepodległość państwa polskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1924b09a80

XV w. / Niezwykły kaznodzieja



Józef Łoskoczyński, „Savonarola przed sądem" FOT. WIKIPEDIA

Bicz Boży z Florencji



Jakub Ostromęcki

Savonarola zawładnął sercami i umysłami mieszkańców miasta i za pomocą bezwzględnych metod zaczął wprowadzać moralną rewolucję

Choć nie sprawował nigdy żadnej funkcji publicznej, przez siedem lat rządził duszami dumnych Florentczyków, aż spalono go na stosie ku uciesze papieża rozpustnika Aleksandra VI.

Współcześni Europejczycy nie mają dla niego krzty litości. Jak bowiem wątpiący, racjonalistyczny, laicki Euroatlantyda mógłby chwalić kogoś, kto organizował publiczne palenie książek i pięknych strojów, kobiety uwiecznione w aktach porównywał do prostytutek i w ogóle pałał nienawiścią do wszelkich doczesnych uciech? Kościół katolicki – niekoniecznie z przyczyn opisanych wyżej – wyraża się o nim pozytywne. Ewangelicy z kolei próbują podprowadzić Savonarolę Rzymowi, uważając go za wielkiego prekursora reformacji.

Precz z uciechami

Słynny kaznodzieja urodził się w 1452 r. w Ferrarze. Dziadek ukształtował młodego Girolamo niczym garncarz naczynie. Kazał klękać, gdy tylko wypowiadano imię Jezusa lub Maryi, piętnował romanse rycerskie i huczne imprezy. Nie był jednocześnie bezmyślnym i tępym bigotem, lecz uznanym w Italii lekarzem, biologiem i pisarzem znającym dzieła wielkiego Awicenny. Podczas gdy rówieśnicy Girolamo bili się w zaułkach lub drażnili grube przekupki, on siedział z nosem w książkach. Gdy oni podszczypywali dziewki, on znał już biegle łacinę i francuski. Pochodząca z potężnego rodu Laudomia Strozzi ze wzgardą odrzuciła zaloty tego odludka. Dowiedział się, że jest na nią zbyt biedny i zbyt brzydki – co zresztą było prawdą. Wątły, chudy, chorowity, niewysoki, z mięsistymi powiekami i wielkim nosem na pewno nie nadawał się na dworaka czy dyplomatę. Nic dziwnego, że wstręt do uciech i rozkoszy zawładnęły nim na dobre.

W 1475 r. zniknął nagle z domu. „Ponad wszystko kochałem dwie rzeczy: wolność i spokój. To one doprowadziły mnie do mego celu. Aby być wolnym, nie chciałem mieć żony, aby mieć spokój, uciekłem od świata i tak dotarłem do przystani religii" – pisał po latach. Mając 23 lata, Savonarola trafił do Bolonii, do dominikanów. Dał się poznać jako zdolny nauczyciel, ale na razie marny kaznodzieja. Prosty lud nie rozumiał jego kazań, śmiał się ze skrzekliwego głosu, gwałtownych gestów, pełnego fałszu śpiewu.

Savonarola przemierzał północne Włochy. W 1482 r. pierwszy raz zawitał

eprasa.pl 1924b09a80



Kościół i klasztor San Marco we Florencji FOT. WIKIEPDIA

do Florencji. Gdy wygłaszał kazania w kościele San Lorenzo, wierni uciekali w popłochu. Nieco lepiej szło mu w malowniczym mieście San Gimignano pełnym „średniowiecznych drapaczy chmur", jak nazywa się dziś miejskie siedziby feudałów. Savonarola mógł być odludkiem i ponurakiem, ale nie był ograniczonym samolubem. Cierpliwie uczył się na własnych błędach, pracował nad warsztatem, kształcił się. Był już innym mnichem. W 1490 r. osiadł we Florencji na stałe. Zamieszkał w klasztorze Dominikanów San Marco.

Florencja w owym czasie była miastem sybarytów, hedonistów, hazardzistów, dziewek, aktorów i wielkiego biznesu. Można było tu obejrzeć jesień życia zakutej w stal kopijniczej jazdy, która popisywała się już tylko na turniejach. Damy w czasie pokazów samczej sprawności kraśniały i wzdychały jak dawniej. Niejeden bogaty mieszczanin utrzymywał przy sobie gładkiego pacholika, który służył mu do gaszenia grzesznej chuci. „Umiłowani w Platonie" – miast „umiłowani w Chrystusie" – mawiał do słuchaczy humanistyczny filozof Marsilio Ficino. Savonarola niewątpliwie miał tu sporo do zrobienia.

„Papież gorszy od nierządnicy"

Inspiratorem obyczajowej swobody florenckich elit byli ród Medyceuszów i jego najsłynniejszy przedstawiciel Wawrzyniec Wspaniały. Oficjalnie obywatel miasta, faktycznie książę. To przeciwko jego postępowaniu Savonarola skierował swoje kazania. Piętnował zdzierstwo elit, pychę przejawiającą się ostentacyjnym mecenatem, cudzołóstwa, stawianie posągów pogańskim bogom. Przeszkadzało mu nawet małe zoo w pałacu Medyceuszów. „Dwory są schronieniem wszystkich zwierząt i monstrów naszej ziemi, przytułkiem łotrów i zbrodniarzy. Są na dworach źli doradcy, którzy ciągle wymyślają nowe ciężary i nadzwyczajne podatki, aby wyssać krew z ludu" – grzmiał Savonarola w kościele San Marco.

Jego plan był prosty i ambitny: odrodzenie moralne Florentczyków ma przywrócić Italię na ścieżkę czystości, a Italia z kolei stać się miała wzorem dla całego zachodniego chrześcijaństwa. Savonarola rozpoczął wojnę z zepsuciem nie tylko pałaców, lecz także całego miasta. Mawiał bez ogródek: „Życie wasze spędzacie w łóżku, na kłótniach, spacerach, orgiach i rozpuście. Wasze życie – to życie świń".

W jego kazaniach roiło się od apokaliptycznych motywów (zresztą Apokalipsa św. Jana była ulubioną księgą Savonaroli). „Staliśmy się, o Panie, hańbą narodów. Turcy są panami Konstantynopola, straciliśmy Grecję, staliśmy się hołdownikami niewiernych. Przyspiesz, o Panie, karę i gniew Twój [...], dziś nie pozostaje nic innego, jak żywić nadzieję, że miecz Pana zbliża się szybko ku ziemi".

Od 1492 r. w kazaniach Savonaroli pojawiły się proroctwa. Te przyciągały do niego tłumy, zwłaszcza że kilka z nich faktycznie się potwierdziło. We Florentczykach obudziło się poczucie winy. Popularność Savonaroli nie brała się jednak wyłącznie z kaznodziejskiego talentu i umiejętności wywołania zbiorowego uniesienia. Florentczykom, zawsze ceniącym niezależność, podobała się też antypapieska postawa mnicha.

Nie tylko świeccy tyrani byli bowiem celem kazań charyzmatycznego kaznodziei. Savonarola uderzał też w papieża Aleksandra VI. Ów rozpustnik, intrygant i tyran był ostatnim człowiekiem, który mógł zasługiwać na Tron Piotrowy. „Nie jest on prawdziwym papieżem", „Nierządnica bezczelna gorsza od zwierzęcia. Jesteś wstrętnym monstrum", „W pierwszych wiekach Kościoła kielichy były z drewna, a prałaci ze złota, a dziś Kościół ma kielichy ze złota, a prałatów z drzewa" – Savonarola nie przebierał w słowach, mówiąc o Aleksandrze.

W 1491 r. Girolamo był już przeorem klasztoru Dominikanów San Marco. Coraz częściej pojawiał się na kazaniach w katedrze Santa Maria del Fiore. Z klasztoru szedł zawsze pieszo, z daleka skromny, w pocerowanym habicie.

Wawrzyniec Wspaniały, zamiast pozbyć się niewygodnego kaznodziei, próbował go przeciągnąć na swoją stronę. Wszystko na nic. Kiedy Signor (Pan) Florencji zapisał klasztorowi San Marco pokaźną sumę, Savonarola wszystkie te pieniądze natychmiast rozdał biednym.



Girolamo Savonarola FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 1924b09a80

Wawrzyniec nie mógł również wygnać kapłana, gdyż był on już zbyt popularny wśród wiernych. Słynny filozof Pico della Mirandola, mający posłuch w Pałacu Medyceuszów, za każdym razem wstawiał się zresztą za nim. Papież Aleksander VI próbował go natomiast omotać kardynalską purpurą. To także się nie udało. Florencki kaznodzieja wolał zostać przy swojej prostej i niewyszukanej strawie oraz skromnej celi.

Wawrzyniec Wspaniały zmarł w 1492 r. Jego następcą został Piotr II. Nie był on dobrym politykiem, a akurat wtedy na Italię szły wojska króla Francji Karola VIII. Karol był człowiekiem niewysokich intelektualnych lotów, ale z jego artylerią – najlepszą wówczas w Europie – nie było żartów. Piotr musiał podpisać haniebny traktat, oddając Francuzom toskańskie twierdze i sporo gotówki. To wywołało wściekłość ludu florenckiego, który w 1494 r. wygnał swojego signora.

Florentczycy mieli już dosyć medycejskich zdzierstw, bezkarnych defraudacji publicznych pieniędzy i szpiegów czających się zaułkach. Przypomnieli sobie wtedy kazania i proroctwa nieprzekupnego ferraryjczyka. Savonarola triumfował. Mógł prowadzić Florentczyków ku zbawieniu.

„Gdzie pali się książki…"

Przez niemal cztery lata Savonarola kierował Florencją „z tylnego fotela". Jego autorytet był tak wielki, że po wygnaniu Medyceuszy elity florenckie udały się do klasztoru San Marco pytać go o najlepszą formę rządów dla miasta. Savonarola doradził: „Wzorujcie się na Wenecji". To pokazuje, że Savonarola nie był demokratą, jak sądzą niektórzy. Był republikaninem, zwolennikiem cenzusu majątkowego, ograniczającego prawa wyborcze do zaledwie 3 tys. obywateli z populacji liczącej ok. 100 tys. dusz. Jednocześnie to dzięki Savonaroli ograniczono we Florencji lichwę, wprowadzono zasiłki dla najbiedniejszych oraz – dość mocno chybiony – podatek od nieruchomości, który spowodował drożyznę w mieście.

Savonarola został nieformalnym doradcą rządzącej Florencją Signorii (grupy bogatych rodów). Przez kolejne miesiące członkowie rządu udawali się prywatnie do klasztoru San Marco, aby tam zasięgać rady posępnego mnicha. Dopiero później dopracowywali szczegóły w swoim gronie.

Przebudowa obyczaju i moralności

Savonaroli nie obchodziła jednak bieżąca polityka; można powiedzieć, że w tej dziedzinie był antytalentem. Jego zamiarem była przebudowa obyczaju i moralności. Dziś pewnie kogoś takiego nazwalibyśmy fanatykiem. „Każcie wystawić wszystkie kurtyzany na widok publiczny i prowadzić je do was przy dźwięku trąb. […] Każcie bez litości przebijać języki bluźniercom" – mawiał mnich.

Równie bezwzględne były metody, którymi Savonarola zamierzał wdrożyć w życie moralną odnowę: „Miejcie swoich szpiegów i karzcie każdego, kogo na tym przyłapiecie". Florencja zaroiła się od wyrostków, młodocianych neofitów, którzy nękali napotkanych przechodniów słowami: „W imię Chrystusa, króla naszego oraz dziewicy Maryi, naszej królowej, nakazujemy ci pozbyć się tych wszystkich marności. Jeśli tego nie zrobisz, to dotknie ciebie choroba". Savonarola, piętnujący niegdyś donosicielstwo – gdy chodziło o grzeszne prowadzenie się – zaczął je pochwalać. Doszło do tego, że żony zaczęły donosić na mężów, dzieci na rodziców, służba na panów.

Elementem odnowy miało być również pozbycie się nieczystej literatury. „Stara baba więcej wie o świętej wierze niźli Plato. Dla sprawy wiary byłoby pożądane spalenie wielu książek uchodzących skądinąd za pożyteczne. Kiedy nie było jeszcze tylu książek, tylu argumentów rozumowych i dysput, wiara rosła szybciej niż obecnie" – grzmiał kaznodzieja.

Jego zwolennicy masowo znosili na plac Signorii maski teatralne, przybory toaletowe, perfumy, instrumenty muzyczne, szachy, karty, obrazy ukazujące piękne kobiety i „niemoralne sceny". Wśród licznych przedmiotów najwięcej było książek. W 1498 r. z dymem poszły m.in. bogato zdobione złotem egzemplarze dzieł Petrarki i Boccaccia. Na szczycie owego stosu zbytków stała rzeźba Lucyfera, którą oczywiście też pochłonął ogień. Wokół gigantycznego stosu pląsali ubrani na biało wierni. Takie palenie marności Savonarola urządził w czasie swoich rządów dwa razy.

Moc oddziaływania kaznodziei była potężna. To pod jego wpływem Sandro Botticelli zmienił tematykę swoich dzieł na bardziej religijną. Podobno odmieniony z jego kazań wyszedł sam Michał Anioł. Stronnikom Savonaroli nie przeszkadzało to, że mnich był jednocześnie mało czuły na fizyczne cierpienia innych, choć sam ich unikał. W czasie zarazy w 1497 r. nie spieszył się, aby ulżyć umierającym na ulicach mieszczanom. Sam zanotował natomiast, przebywając bezpiecznie za murami klasztoru: „Jest nas tu jeszcze ponad 40. Obywatele troszczą się o nas i niczego nam nie brakuje. Ponieważ nie wychodzimy z domu, więc przysyłają nam i przynoszą wszystko, czego potrzebujemy".

Savonarolę pogrążyła bezkompromisowość. Jego bezwzględna – i słuszna – krytyka Aleksandra VI ściągnęła na niego w 1497 r. papieską ekskomunikę. Jednak dopiero groźba interdyktu nałożonego na miasto spowodowała, że florenccy kupcy zaczęli poważnie obawiać się o swoje interesy. Nowo wybrana florencka Signoria, złożona z wrogów kaznodziei, zamierzała początkowo wygnać Savonarolę, jednak sytuacja wymknęła się im spod kontroli. Uprzedzili ich ludzie mający dosyć narzuconego przez mnicha moralnego rygoru, tzw. wściekli. Chwycili oni za broń i zaatakowali klasztor św. Marka, aresztując Savonarolę i wlokąc go przed oblicze Signorii. Po kilkumiesięcznym śledztwie pełnym tortur charyzmatyczny kaznodzieja w maju 1498 r. został powieszony i spalony na stosie. Florencja mogła bawić się od nowa.

Przemysław Gintrowski trafnie zaśpiewał głosem wielkiego Niccola Machiavellego:

Komu brak oręża, marna tego dola.
Przekonał się ongi wasz Savonarola,
Gdy skwierczał na stosie w sposób dość niemiły,
Co warte idee, kiedy braknie siły […]
Lud ku silniejszemu zazwyczaj się skłania.
i od koszul częściej zmienia przekonania […]".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1924b09a80



„Bitwa pod Konotopem". Malował Artur Orłonow FOT. DOMENA PUBLICZNA

1659 r. / Wspólnie przeciw Moskwicinom

Największe zwycięstwo Ukraińców



Krzysztof Jabłonka

W Konotopie stoi pomnik, na którym trzy szable – ukraińska, tatarska i polska – przybijają do ziemi szablę moskiewską...

W czwartym roku wojny pomiędzy Rosją a Rzecząpospolitą, wiosną 1659 r., ruszyła kolejna moskiewska ofensywa na Zadnieprze. Car Aleksy Michajłowicz Romanow nie mógł pogodzić się z tym, że Kozacy zerwali ugodę perejasławską i zawarli unię hadziacką, na mocy której ukraińskie ziemie stawały się Wielkim Księstwem Ruskim – trzecią częścią Rzeczypospolitej.

Agresorami dowodził kniaź Aleksander Nikitycz Trubecki, namiestnik podbitego za Iwana Groźnego Kazania, stolicy Chanatu Tatarów Wołżańskich. Miał on do pomocy czterech kniaziów moskiewskich: Grigorija Romodanowskiego, Siemiona Pożarskiego, Siemiona Lwowa i Fiodora Kurakina. Łącznie wyprawiło się na Zadnieprze 37 tys. wojsk moskiewskich i 6 tys. Kozaków samozwańczego hetmana kozackiego Iwana Bezpały, były też oddziały pomocnicze różnych narodów stepu, chcących się przy Moskwie wzbogacić, oraz niemieccy najemnicy.

Większość wojsk walczących z moskiewskim najazdem na Zadnieprze tworzyły przede wszystkim te pochodzące z Wielkiego Księstwa Rusi, głównie pułki kozackie pod wodzą hetmana Iwana Wyhowskiego. Jego armia liczyła 45 tys., w tym z 22 tys. Kozaków pod wodzą Grigorija Hulanickiego i Petra Doroszeńki, 15 tys. Tatarów pod wodzą Mehmeda IV Gireja i 2,5 tys. Polaków pod wodzą stolnika kijowskiego Krzysztofa Łaski oraz Stefana Potockiego, uzupełnione 3 tys. zaciężnych wojowników. Byli to Serbowie, Mołdawianie, Wołosi-Rumuni.

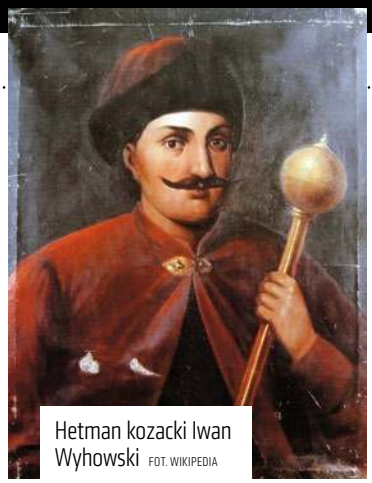
Napaść na Zadnieprze

Celem rosyjskiej „operacji specjalnej" były Zadnieprze i zamek twierdza w Konotopie. Broniony przez Hrihora Hulanickiego i jego mołojców zamek stawił zdecydowany opór najeźdźcy. Od razu zaniosło się na wielką bitwę, nie tylko o ledwie uzyskaną wolność Ukrainy (jako Trzeciego Narodu Rzeczypospolitej), lecz także o cały porządek w naszej części Europy.

Początkowo postanowiono wywabić armię moskiewską spod oblężonego Konotopu, aby dostarczyć do niego żywność, ale zmieniono plan i postanowiono rozgromić Moskali. Wyhowski podzielił swoją armię na trzy grupy. Lewe skrzydło stanowili Tatarzy pod wodzą Nursułtana Adila Gireja, którzy wyruszyli pod obóz Trubeckiego, wywabiając 7 lipca 1659 r. z niego armię odwodową Pożarskiego, która w pogoni za Tatarami – którzy pozorowali ucieczkę – przeszła przez most na Sosnówce. Tatarzy „uciekali" tak długo, aż Moskale znaleźli się w pułapce – gdyż Tatarzy zerwali most na Sosnówce – i zostali wzięci w dwa ognie, ponieważ zaatakowani zostali także przez chorągwie stolnika Łaski i Potockiego.

Los dowodzonej przez Pożarskiego okrążonej części armii Moskali był już przesądzony. Tatarzy na rozkaz chana, gardząc okupem – który lubili brać za jeńców – w odwet za krzywdy z przeszłości, kiedy to Moskwa wiarołomnie

eprasa.pl 1924b09a80



Hetman kozacki Iwan Wyhowski FOT. WIKIPEDIA

nie wydała im jeńców, zsyłając ich na świeżo zdobyty Sybir, wymordowali tym razem ok. 6 tys. jeńców moskiewskich wraz z kniaziem Pożarskim i Borysem Tołstojem, przodkiem pisarza Lwa Tołstoja, Michaiłem Stiepanowem, synem kniazia Goleniszczewa-Kutuzowa, przodkiem feldmarszałka Michaiła Kutuzowa.

Trubecki, widząc beznadziejność dalszej walki, zarządził 9 lipca odwrót w kierunku twierdzy w Putywlu. Wtedy do akcji wkroczył także czterotysięczny garnizon obrońców twierdzy w Konotopie, atakując od czoła armię Trubeckiego, poruszającą się zbrojnym taborem.

Rozpoczął się pojedynek artyleryjski i bój wokół okrążanego ze wszystkich stron taboru. 10 lipca przypuszczono szturm nocny na wozy i wały, w którym ranny został hetman Iwan Wyhowski. Dwa dni później tabory kniazia Trubeckiego z wielkim trudem i w ciągłej walce, gubiąc całą ciężką artylerię, dotarły nad rzekę Sejm. Na pomoc Trubeckiemu ruszył Grigorij Dołgorukij, dowódca twierdzy w Putywlu, ale Trubecki kazał mu wracać i pilnować twierdzy, pod którą w końcu samodzielnie dotarł 14 lipca – z poszarpanym wprawdzie taborem, ale rzekomo chlubnie i „z rozwiniętymi sztandarami", jak utrzymywali rosyjscy historycy. Straty były po obu stronach podobne i liczyły ok. 10 tys. zabitych i rannych, których, jak zawsze w tych czasach, było więcej, z tym że wielu umierało z gangreny i ran.

Wyprawa pomysłu cara Aleksego Michajłowicza Romanowa – którego w Rzeczypospolitej nazywano tylko wielkim księciem moskiewskim – zakończyła się klęską, choć w opisach rosyjskich historiografów wygląda ona na „prawie zwycięstwo nad polskimi najemnikami", i „ukraińską hołotą" z dodatkiem „krwawej ordy" tatarskiej z Krymu. Jednak prawda była taka, że armia Trubeckiego jak niepyszna wróciła z ziem Wielkiego Księstwa Ruskiego, których nie zdołała podbić. Ledwo skończył się moskiewski najazd na Zadnieprze, chan krymski Mehmed IV Girej wszystkimi swymi ordami i czambułami najechał Carstwo Moskiewskie, niszcząc je niemiłosiernie. Był to ostatni już najazd krymsko-tatarski na tzw. Moskowię. Znaczenie bitwy pod Konotopem było ogromne. Dzięki niej ocalała Ukraina, ocalała Rzeczpospolita na najbliższe 100 lat, ocalał Chanat Krymski.

Zwycięstwo pod Konotopem zaprzeczyło i zaprzecza kłamstwu Moskwy, że Ukraina chciała być z Rosją i nigdy nie zerwała ugody perejasławskiej. Ukraina obroniła prawo do własnej drogi rozwoju, odcinając się od rosyjskiego samodzierżawia i caroprawosławia. Konotop obalił mit, że Rosja z Ukraińcami nie toczyła wojen.

Po klęsce wyprawy rosyjskiej na Zadnieprze na Rusi Moskiewskiej ułożono

REKLAMA



eprasa.pl 1924b09a80



Kozacy. Fragment mapy Ukrainy, autorstwa Guillaume'a le Vasseur de Beauplana FOT. MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA III W WILANOWIE

„Pieśń o zgubie kniazia Pożarskiego":

Za rzeką przeprawną,
za rzeką Sosnowką,
pod Konotopem, pod grodem,
Pod ścianą białokamienną
na łąkach, łąkach zielonych
tu stały pułki carskie
Wszystkie pułki Gosudara
a także roty dworiańskie
A z daleka, daleka,
zza czystego pola
z tego rozdolia szerokiego
gdzie czarne kruki tabunami się tabunią
zbierali się i zjeżdżali Kałmucy z Baszkirami
Napuszczali ich Tatarzy
na pułki Gosudara.
Trzej bracia: Staś, Iwaszko i Karimbaj.

Ukraińska dumka, związana z bitwą pod Konotopem, opowiada o trzech braciach: Stasiu, Iwaszce i Karimbaju. Na dwór Szczelińskich na ziemiach ukraińskich Rzeczypospolitej napadli krymscy Tatarzy, zabili Bogdana Szczelińskiego herbu Gozdawa i porwali jego żonę, Dorotę Szczelińską. Ich malutkie dziecko – Stasia – uratowała piastunka, ukrywając się z nim w lesie. Na Krymie Dorota miała zostać sprzedana do haremu, jednak dostrzegł ją Nurtułsan, krewny chana, zakochał się w Polce i zabrał ją do swego domu. Gdy Dorota się dowiedziała, że mąż został zabity podczas napadu na ich dom, zdecydowała się na małżeństwo z Nursułtanem. Ślubu udzielił im chrześcijański mnich – za cichą zgodą chana, który starał się szanować wszystkie narody Księgi – lecz Nursułtan pozostał muzułmaninem. Nazwał żonę imieniem Mahi-nur, co znaczyło: klejnot.

Gdy Karim, syn Doroty i Nursułtana, zaczynał chodzić, podczas napadu kozackiego na Krym Dorota została porwana przez kozaka Koroleńkę. Nie chciała mu ulec, miała nadzieję, że Nursułtan ją odnajdzie. Jej mąż poległ jednak w jednej z bitew. Opłakawszy go, Dorota wzięła ślub z Koroleńką w cerkwi. Mieli syna Iwaszkę. Koroleńko odniósł ciężką ranę podczas walki i zmarł. Wówczas Dorota udała się z Zaporoża pod Lwów, gdzie mieścił się jej dom rodzinny, Romotowskich. Ku swemu zdumieniu odnalazła tam syna Stasia, którego przygarnęła piastunka. Któregoś dnia matka wezwała Karimbaja z Krymu, Iwaskę z Zaporoża i Stasia. Rzekła im: „Braćmi jesteście". Spojrzeli po sobie zaskoczeni, zobaczyli się bowiem pierwszy raz. Na prośbę matki zaprzysięgli, że nigdy nie będą walczyli ze sobą, by nie popełnić kainowego grzechu bratobójstwa. Przepowiedziała synom, że choć wojny dzielą narody ich ojców, to przyjdzie taki czas, że pojawi się zło, które sprawi, iż połączą się przeciw niemu i będą walczyć ramię przy ramieniu.

Proroctwo matki się spełniło. Trzej bracia wzięli udział w bitwie pod Konotopem. Iwaszko w trakcie okrążania Moskali wysforował się zanadto i został osaczony przez nich. Na pomoc ruszył mu oddział husarski Stasia, ale i on wpadł w tarapaty. Widząc to, Karimbaj ruszył z odsieczą, lecz było już za późno, obaj już nie żyli, a Karimbaj także chwilę potem poległ.

Śmierć Wyhowskiego

Tragicznie potoczyły się losy głównego bohatera bitwy, hetmana Iwana Wyhowskiego. Został wkrótce po bitwie obalony przez bunt, który wzniecił młodociany Juraj Chmielnicki – syn zmarłego hetmana Bohdana Chmielnickiego – podjudzany przez moskiewskich duchownych i „doradców" z Kremla. Wyhowski pozostał wierny Rzeczypospolitej, jednak w 1664 r., podczas wyprawy króla Jana Kazimierza na zadnieprzańską Ukrainę i wskutek jej niepowodzenia, na podstawie fałszywych doniesień idących z Moskwy, o tajnych konszachtach Wyhowskiego z Kremlem, oskarżony został przez nowego hetmana – Pawła Teterę – o zdradę. Został skazany na śmierć i rozstrzelany w królewskim obozie. O tym, że fałszywie go oskarżono, dowiedziano się już o wiele później. A w Nowogrodzie Siewierskim, w tym samym roku, rozstrzelano – także na podstawie fałszywych oskarżeń – Iwana Bohuna. W Perejasławiu miał odwagę sprzeciwić się Chmielnickiemu i poddaniu Kozaków pod władzę Moskwy.

Pamięć o bitwie

Od 2015 r. w Konotopie – mającym w herbie szlachecki herb Leliwa, grecki krzyż Kozaków Zaporoża i tatarski półksiężyc – stoi wymowny pomnik. Trzy szlacheckie szable – ukraińska, tatarska i polska – przybijają do ziemi szablę moskiewską. Jest w Konotopie muzeum bitwy, o której kazano zapomnieć w czasach carskich i sowieckich.

Rocznica tej bitwy, zwłaszcza 350. w 2009 r., stała się świętem narodowym odrodzonej armii ukraińskiej. Wydano też monetę o nominale 10 hrywien, upamiętniającą 350. rocznicę Konotopskiej Peremogi. Protestowała przeciw temu Rosja, coraz bardziej odwołująca się do swojej imperialnej przeszłości, a przypominanie konotopskiej klęski Moskwie mocno jest nie w smak.

W ostatnich latach napisano na Ukrainie wiele sztuk teatralnych i powieści, w tym historycznych, a także ułożono, starym obyczajem, liczne pieśni, śpiewane przez bandurzystów ukraińskich po szerokim stepie. Powstała też gra komputerowa „Konotop – Kozacy 3".

Niestety, w Polsce mało się wie o tej bitwie, która była wspólnym ukraińsko-polskim zwycięstwem – zwycięstwem Rzeczypospolitej – nad rosnącym w potęgę państwem moskiewskim. Minione bitwy nabierają aktualności i „ponownego życia", gdy wokół ich pól bitewnych znów toczą się boje i grzmią działa, tak jak teraz się dzieje za Dnieprem. Wierzymy, że i tym razem wygra Ukraina. Oby tym razem Ukraińcy odnieśli jeszcze większe zwycięstwo w walce z rosyjskim najazdem niż to – dotąd największe – pod Konotopem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1924b09a80



W rolę Wiktora Grüna wcielił się w serialu TVP „Polowanie na ćmy" Przemysław Stippa

FOT. TVP

1905–1907 / Kariera Wiktora Grüna

Oberszpicel i sutenerzy



Tomasz Stańczyk

Czy to niesławny urzędnik śledczy stał za pogromem warszawskich domów publicznych? Istnieją przesłanki, że dramatyczne wydarzenia na ulicach Warszawy były prowokacją rosyjskich władz

Wiktor Grün to czarna postać czasów rebelii lat 1905–1907 nad Wisłą. Niedawno przypomniał go Wacław Holewiński w trzytomowym cyklu powieściowym „Pogrom", a ostatnio można było zobaczyć owego oberszpicla w serialu TVP „Polowanie na ćmy".

Grün był ważnym urzędnikiem w rosyjskim urzędzie śledczym w Warszawie, postrachem kryminalistów, a potem rewolucjonistów, zastępcą kierownika wydziału, a następnie referentem do spraw politycznych. Była to postać tak złowieszcza, że ukazało się o niej kilka publikacji, w tym autorstwa Ludwika Kurnatowskiego, jego kolegi z urzędu śledczego.

Wiktor Grün urodził się w 1874 r. w Warszawie, w rodzinie żydowskiej. Jego ojciec był lekarzem, który dorobił się majątku na dostawach chininy dla wojska podczas wojny rosyjsko-tureckiej. Z osiągniętego zysku kupił kamienicę dochodową, żył więc z czynszów płaconych przez lokatorów. Aby móc zostać lekarzem wojskowym, zmienił wyznanie z mojżeszowego na kalwińskie. Do jego obowiązków należało kwalifikowanie poborowych do wojska, co być może skłaniało go do przyjmowania korupcyjnych propozycji.

Jego syn Wiktor nie przykładał się do nauki, choć był bardzo inteligentny. Ojciec załatwił mu pracę urzędnika w zarządzie Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Posada nie była zbyt dobrze płatna, a młody Grün lubił się bawić, hulać. Dopuścił się defraudacji, został wyrzucony z pracy, lecz dzięki koneksjom ojca nie poniósł odpowiedzialności karnej.

Mimo zszarganej opinii przyjęto go do urzędu śledczego jako skromnego urzędnika, kancelistę.

Błysnął tam inteligencją. Zostało to docenione, zaczął zajmować się – i to niezwykle skutecznie – sprawami kryminalnymi. „Był nie tylko pierwszorzędnym agentem śledczym par excellence kryminologiem, ale głębokim znawcą duszy ludzkiej, wytrawnym psychologiem" – komplementował go Jan Sokolicz-Wroczyński, autor jednej z książek o Grünie.

Obcując z kryminalistami, doszedł do wniosku, że może czerpać zyski z ciemnych interesów. Brał więc udział w oszustwach, szantażach i wyłudzeniach. Próbował m.in. ściągnąć haracz od znanego warszawskiego przemysłowca Stanisława Rotwanda.

eprasa.pl 1924b09a80



„Sądy doraźne" nad sutenerami, pogrom burdeli
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Pewnego dnia dostał on list od rzekomej organizacji rewolucyjnej, zawiadamiający, że jeśli chce żyć, to musi złożyć okup... Jedna z machinacji Grüna skończyła się jednak dla niego źle – został zwolniony, ale znów obyło się bez karnych konsekwencji.

Oberszpicel

Gdy w 1905 r. w Królestwie Polskim, zdegradowanym do prowincji rosyjskiej – Nadwiślańskiego Kraju, wybuchła, jak w całym carskim imperium, rewolucja, przypomniano sobie o nadzwyczaj inteligentnym pracowniku urzędu śledczego. Tym razem jednak został zatrudniony tylko jako urzędnik kontaktowy do spraw politycznych.

Wiktor Grün miał asa w rękawie: poznaną kilka lat wcześniej Michalinę Zaborowską. Ta młoda kobieta wpadła na granicy, znaleziono przy niej przemycane rewolwery i naboje. Groziło jej więzienie i zesłanie, ale porozumiała się z Grünem. Stała się jego agentką w środowiskach rewolucyjnych. „Młoda, piękna, ciemna brunetka [...], nad wyraz inteligentna, dowcipna, przebiegła, zuchwała w obejściu z mężczyznami, choć niedostępna" – tak charakteryzował ją Jan Sokolicz-Wroczyński.

Szwagrem Grüna był oficer żandarmerii. Miał syna, którego Grün, snując swoją złowieszczą intrygę, przekonał do idei rewolucyjnych. Młody człowiek stał się członkiem rewolucyjnej partii rosyjskich eserów, a Michalina, rozkochawszy go w sobie, wyciągała wszelkie potrzebne informacje, na których podstawie aresztowano rewolucjonistów. Podczas tej operacji wpadały także ich drukarnie i składy broni.

W tamtym czasie zamętu zgłosili się do warszawskiego oberpolicmajstra dwaj młodzi bojowcy. Poinformowali, że za zabicie go mieli dostać po 500 rubli, a przyszli dlatego, że liczyli na to, że oberpolicmajster da im więcej, by zaniechali morderczego zamiaru. Trafili w ręce Grüna. „Jeden z nich był Żydem i nazywał się Posner, a drugi pochodził z bardzo dobrej rodziny litewskiej" – pisał Wroczyński.

Wiktor Grün zamierzał ich wykorzystać do skompromitowania ruchu rewolucyjnego. Kazał im propagować wśród socjalistycznych bojowców bandytyzm. Socjalizm miał się właśnie z nim kojarzyć. Posner, zdemaskowany i postrzelony, odmówił współpracy, więc Grün, wiedząc, że jego agent wie zbyt wiele, postanowił się go pozbyć, donosząc, że Posner uczestniczył w zabójstwie policjanta – co być może było prawdą. Agent został skazany na śmierć.

Sukcesem Grüna było aresztowanie 11 młodych Żydów, członków SDKPiL – skazano ich na śmierć. Partia wydała wyrok na Grüna, ten jednak potrafił się porozumieć z jednym z jej liderów, Jakubem Fürstenbergiem-Haneckim (w przyszłości czołowym rosyjskim bolszewikiem). W zamian za darowanie życia wydał agentów prowokatorów w SDKPiL. Ludwik Kurnatowski uważał, że Grün pracował na dwie strony, i sugerował, iż wiedział on o planie zamachu na gen. Andrieja Margrafskiego, szefa warszawskich policjantów oraz żandarmów, lecz nie zapobiegł zabójstwu rosyjskiego dygnitarza.

Swoim agentem Grün zrobił Wincentego Sieczkę, bojowca zamieszanego w zabójstwo niejakiego Rubinsteina, który zdefraudował pieniądze partii rewolucyjnej. Jednak sąd uniewinnił Sieczkę i wyszedł on w styczniu 1907 r. na wolność. Grün zaczął się bać zemsty, był niespokojny, podrażniony. Jednym z jego agentów był niejaki Lutek, były bojowiec PPS. Lutek zaproponował mu, by udali się do łaźni na Nowym Zjeździe, w której Grün się zrelaksuje. Wystawił go w ten sposób bojowcom. 31 stycznia 1907 r., po wyjściu z łaźni, postrach rewolucjonistów został zastrzelony. Poinformował o tym w ulotce Warszawski Komitet Okręgowy PPS, który wydał wyrok śmierci na „oberszpicla", jak go nazwano.


S. † P.

WIKTOR GRÜN,

Kolegjalny Registrator,

zmarł po krótkich cierpieniach dnia 31-go stycznia 1907 r., przeżywszy lat 32.

Pogrzeb... w głębokim smutku: żona, córka, bracia, siostry, szwagier i rodzina zaproszają krewnych, przyjaciół, kolegów i znajomych na eksportacyę zwłok z kościoła ewangelicko-reformowanego (ul. Leszno) dnia 2-go lutego, w sobotę, o godzinie 3-ej po południu, na cmentarz tegoż wyznania.

Osobne zaproszenia rozsyłane nie będą.

Ruszyli na burdele

Jednym z epizodów rewolucji lat 1905–1907 był w Warszawie pogrom domów publicznych i sutenerów, nazywanych też alfonsami. Doszło do niego w maju 1905 r. 25 maja „Kurier Warszawski" informował, że miasto było poprzedniego dnia „widownią straszliwych scen". Wieczorem na ulicy Zielnej zebrała się grupa młodych Żydów, którzy „spotkawszy w pobliżu ul. Próżnej osobników ze sfery sutenerskiej lub mających taki wygląd podejrzany włóczęgów i opryszków miejskich, rozprawiali się z nimi krótko, gdyż kilku ciosami noża walili ich na ziemię". Takie sceny wydarzyły się na ulicach Krochmalnej, Twardej, Zielnej i placu za Żelazną Bramą. Uzbrojeni w noże Żydzi wpadali do szynków i domów, wyciągając stamtąd złodziejów, opryszków, sutenerów i rozprawiając się z nimi. Ofiarami tamtego dnia byli młodociani, m.in. Mejer Szulc, Moszek Mocher, Josek Herman. Niektórzy z zaatakowanych ponieśli śmierć, inni byli ciężko ranni.

Był to początek wydarzeń, które miały się zacząć od porwania przez sutenerów narzeczonej pewnego żydowskiego rzeźnika. Umieścili ją w lupanarze, czyli w domu publicznym. Chłopak udał się do sutenerów i zażądał uwolnienia narzeczonej, ci jednak odmówili i potraktowali go nożami. Koledzy rzeźnika poprzysięgli zemstę sutenerom, a wieść o porwaniu rozniosła się po dzielnicy żydowskiej. Inna wersja mówiła, że żydowska prostytutka z domu publicznego, pracując na ulicy, poznała młodego robotnika, swojego rodaka, i poprosiła go, by wyrwał ją spod „opieki" sutenerów. Gdy poszedł do nich, został zabity.

eprasa.pl 1924b09a80

„Kurier Warszawski" relacjonował, że tłum młodych mężczyzn uzbrojonych w laski i pałki zgromadził się na ulicach Żelaznej i Ciepłej. Mężczyźni rzucili się następnie na paserskie i sutenerskie kawiarenki lub szynkownie, wreszcie zaatakowali lupanary. Wydarzenia te rozgrywały się na ulicach, przy których mieściły się „legowiska łotrów i ćmy nocne". Z mieszkań i burdeli wyrzucano na ulice łóżka, szafy, lustra, pościel; jezdnie były zasłane pierzem, nazwanym „majowym śniegiem". Zaatakowano domy publiczne m.in. przy ulicach Zielnej, Wielkiej i Próżnej. „Mieszkańcy ulic powyższych przyglądają się temu obrazowi zniszczenia z widocznym zadowoleniem" – donosiła prasa. Nie było wzmianki, by policja próbowała interweniować, powstrzymać napastników czy aresztować ich. Być może wynikało to z tego, że sprawcy błyskawicznie znikali.

Te wydarzenia prasa nazwała „krwawym sądem doraźnym". Do bójek z sutenerami doszło także na Starym Mieście, „gdzie w prawie każdym domu mieszczą się lupanary". Żydowscy rzeźnicy napadli na swych współwyznawców sutenerów, którzy zgromadzili się w mieszkaniu Berka Łopaty na Szerokim Dunaju. Doszło do regularnej bitwy na siekiery, noże, strzelano z pistoletów. Zabity został Mordka Borsztajn, a ciężko raniono Lejbę Lajberta. Zauważano, że do Żydów napadających na sutenerów i domy publiczne dołączyli chrześcijanie. Tak było m.in. na Powiślu. Podobne wydarzenia rozgrywały się w centrum miasta. Policja rozpędzała tam wprawdzie napastników, ale po pewnym czasie wracali oni i dopełniali dzieła zniszczenia.

Lekarz Stanisław Niedzielski pisał we wspomnieniach, że opatrywał na ulicy pokłutego nożami młodego Żyda, chciał go zabrać do szpitala, ale usłyszał krzyki: „Un musi umrzeć, un tutaj zdechnie!".

Rannych bandytów i sutenerów było tak dużo, że pogotowie musiało wynająć konie, gdyż te, ciągnące ambulanse sanitarne, „literalnie padały z nadmiaru pracy". W szpitalach znaleźli się prawie wyłącznie Izraelici – „przedstawiciele ohydnego rzemiosła". Mieli rany cięte, kłute i postrzałowe.

„Kurier Warszawski" pisał, że nie można „zasadniczo pochwalić krwawej rozprawy i mordowania bez sądu całego szeregu istot ludzkich, choćby najbardziej upadłych", jednak gazeta wykazywała zrozumienie dla sprawców napaści na sutenerów i domy publiczne, którymi miała kierować chęć „zdezynfekowania ropiejącej rany na ciele społecznym wobec bezsilności samego społeczeństwa". Zwracano uwagę, że zarówno napastnikami, jak i ofiarami byli prawie wyłącznie Żydzi. Byli oni właścicielami większości domów publicznych.

Trzeciego dnia zamieszek ukazało się obwieszczenie generała-gubernatora Maksymowicza, który powierzył wojsku zaprowadzenie spokoju w mieście i informował, że sprawcy zostaną postawieni przed sądem wojennym. Pogromy zaczęły ustawać, gdy żołnierze pojawili się na ulicach – do miasta ściągnięto osiem pułków. Bilans to 105 zniszczonych domów publicznych i mieszkań, w których uprawiano prostytucję, 30 zniszczonych mieszkań sutenerów i innych przestępców, kilku – być może kilkunastu – zabitych i kilkudziesięciu rannych.

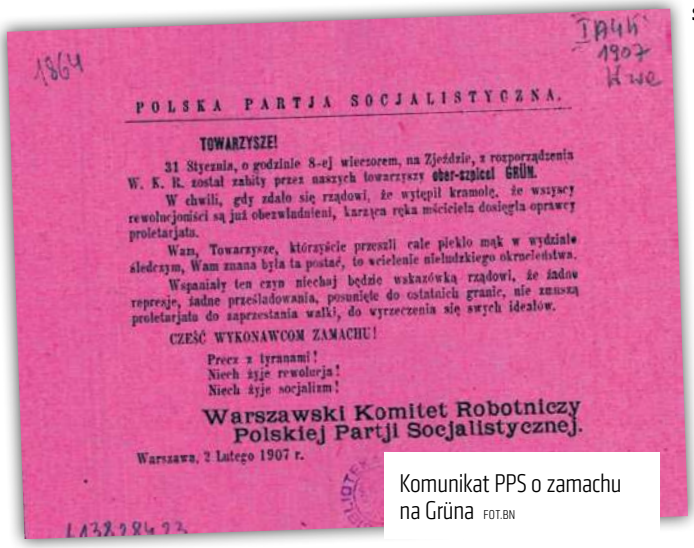
Prowokacja?

Czy pogrom domów publicznych i sutenerów był spontanicznym odruchem gniewu? A może była to prowokacja władz rosyjskich?

Aleksandra Jakubczak, autorka artykułów o pogromie domów publicznych i wyboru źródeł do tych wydarzeń, uważa, że były one kulminacją konfliktu między żydowskimi robotnikami a żydowskim półświatkiem. Ludzie z półświatka wykorzystywani byli m.in. przez pracodawców do rozbijania strajków i tłumienia robotniczych żądań. Byli też informatorami i prowokatorami w lewicowym żydowskim Bundzie. Ofiarami świata przestępczego padały żydowskie dziewczęta z ubogich warstw, porywane do domów publicznych w Warszawie i wywożone do burdeli w Argentynie. Badaczka zwraca jednak uwagę, że pogromowa fala była w interesie władz carskich i policji, więc mogły się one przyczynić do jej powstania.

W książkach Wacława Holewińskiego i powstałym na ich podstawie serialu „Polowanie na ćmy" pogrom jest przedstawiony właśnie jako dzieło gen. Margrafskiego, władz rosyjskich, które wobec rewolucyjnej atmosfery i dążeń narodowych Polaków chciały zasiać zamęt i anarchię w Warszawie, odwrócić uwagę społeczeństwa polskiego od polityki i rewolucji, a także napuścić na siebie Żydów i Polaków. Pojawiały się przecież plotki, że pogrom burdeli jest wstępem do pogromu Polaków lub do pogromu Żydów. Policja zachowywała się dość biernie (choć swoją drogą chroniła luksusowe lupanary). Spokój przyniosło dopiero wprowadzenie wojska. Być może władze carskie przestraszyły się, że wydarzenia mogą przynieść niekontrolowany obrót i zwrócić się przeciw nim.

Czy to właśnie Grün stał za domniemaną rosyjską prowokacją? Nikt z piszących o nim nie wspomniał o tym, łącznie z najlepiej zorientowanym Ludwikiem Kurnatowskim. Z drugiej jednak strony Grün miał zażyłe kontakty z handlarzem kobietami – niejakim Winawerem – i miał od niego brać łapówki za przymykanie oka, a nawet być jego wspólnikiem. Zatem hipoteza, że to Grün był siłą sprawczą zamętu, nie jest nieprawdopodobna.



POLSKA PARTJA SOCJALISTYCZNA.

TOWARZYSZE!

31 Stycznia, o godzinie 8-ej wieczorem, na Zjeździe, z rozporządzenia W. K. R. został zabity przez naszych towarzyszy **ober-szpicel GRÜN.**

W chwili, gdy zdało się rządowi, że wytępił kramolę, że wszyscy rewolucjoniści są już obezwładnieni, karząca ręka mściciela dosięgła oprawcy proletarjatu.

Wam, Towarzysze, którzyście przeszli całe piekło mąk w wydziale śledczym, Wam znana była ta postać, to wcielenie nieludzkiego okrucieństwa.

Wspaniały ten czyn niechaj będzie wskazówką rządowi, że żadne represje, żadne prześladowania, posunięte do ostatnich granic, nie zmuszą proletarjatu do zaprzestania walki, do wyrzeczenia się swych ideałów.

CZEŚĆ WYKONAWCOM ZAMACHU!

Precz z tyranami!
Niech żyje rewolucja!
Niech żyje socjalizm!

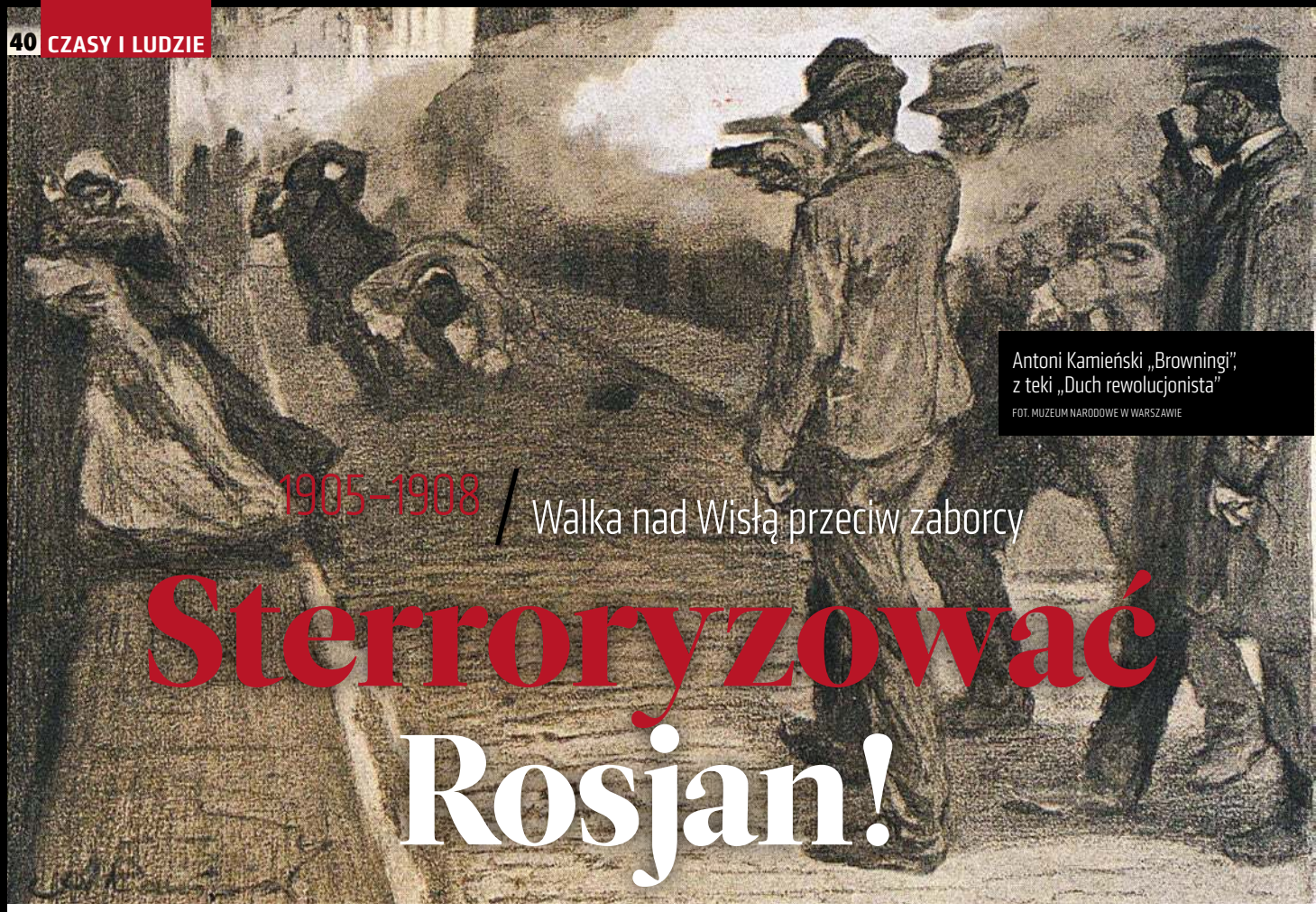
Warszawski Komitet Robotniczy Polskiej Partji Socjalistycznej.

Warszawa, 2 Lutego 1907 r.

Komunikat PPS o zamachu na Grüna FOT.BN

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1924b09a80



Antoni Kamieński „Browningi", z teki „Duch rewolucjonista"
FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

1905–1908 / Walka nad Wisłą przeciw zaborcy

Sterroryzować Rosjan!



Wojciech Lada

Ponad tysiąc zamachów rocznie w całym Królestwie. Tak wyglądał szczytowy moment rewolucji 1905–1907

W listopadzie 1904 r. w Warszawie, pierwszy raz od powstania styczniowego, nastąpił zbrojny opór wobec rosyjskich zaborców. Manifestacja Polskiej Partii Socjalistycznej na placu Grzybowskim zamieniła się w strzelaninę między bojowcami – był wśród nich Stefan Okrzeja – a policją i wojskiem. Od tego momentu samoobrona robotnicza zaczęła zamieniać się w dobrze zorganizowaną i coraz lepiej przeszkoloną bojówkę rewolucyjną, której komórki powstawały w każdym mieście Królestwa. W 1906 r. liczba przeprowadzonych przez nie zamachów – rewolwerowych i bombowych – wyniosła ok. 1,2 tys., co oznacza, że bomby wybuchały średnio trzy i pół razy dziennie. „Terror wydawał się ogółowi jedynym dającym się pomyśleć systemem walki fizycznej z wrogiem – widoczny był tu wpływ Rosji. Rozumiano wprawdzie, że nie da on zwycięstwa, ale nie umiano sobie wyobrazić innej formy walki" – przyznawał Józef Piłsudski. O skali zjawiska wiele mówi list, który w połowie tego roku generał-gubernator Gieorgij Skałon napisał list do swoich przełożonych w Petersburgu:

„Terror wykonywany już drugi rok przez oddziały bojowe komitetów rewolucyjnych osiągnął teraz najwyższy stopień natężenia, co w sposób najzgubniejszy odbija się na składzie personalnym policji, której szeregi szybko rzedną i prawie nie są uzupełniane. [...] Pragnących zająć opróżnione miejsca prawie nie ma".

Niemal równo miesiąc później, gdy przejeżdżał z eskortą ulicą Natolińską, przy skrzyżowaniu z Koszykową na jego głowę posypały się bomby rzucone przez trzy nastoletnie dziewczyny z jednego z balkonów kamienicy pod numerem 9. Skałonowi cudem nic się nie stało, ale spory kawałek ulicy zamienił się w gruzowisko. Wśród dziewczyn była Wanda Krahelska, ciotka Krystyny – poetki poległej w powstaniu warszawskim i modelki uwiecznionej w pomniku stołecznej Syrenki.

Królestwo terroru

Józef Piłsudski, który wysuwał się w PPS na pierwszy plan, przyznawał później, że na początku 1905 r. „nastąpił pęd do organizowania się, któremu przeciwstawić się było niepodobna". W całym Królestwie powstawały „piątki" bojowe. Z centrali na prowincję trafiały broń

eprasa.pl 1924b09a80

i materiały wybuchowe, gdyż organizacja stworzyła niezwykłe wręcz kanały przerzutowe, z których najdłuższy, tzw. Odessa, liczył ok. 3 tys. km i prowadził z Anglii przez Skandynawię do Petersburga i stamtąd do Warszawy.

„Dostawy broni dla bojówki, które zaczęły się skromnie od kilku browningów przywożonych nielegalnie z zagranicy do Polski z wielkimi trudnościami, rozwinęły się z czasem tak wspaniale, że na wiosnę 1906 r. otrzymywałam i wysyłałam transporty broni prawie każdego dnia" – wspominała Aleksandra Szczerbińska, późniejsza żona Marszałka. Przyszłego małżonka poznała właśnie w romantycznej scenerii magazynu broni, który prowadziła. „Żywo stoi mi w pamięci ten obraz, gdy w wiosenne popołudnie staliśmy wśród kilku karabinów, między koszami z browningami, mauzerami i z amunicją" – wspominała po latach.

Zamachów było tak wiele, bo większość z nich nie była skierowana przeciwko carskim funkcjonariuszom, lecz ich pieniądzom, niezbędnym dla prowadzenia działalności przez PPS. Napadano więc na sklepy monopolowe, urzędy pocztowe, a nawet pociągi przewożące większą gotówkę. Były to tzw. eksy, czyli akcje ekspropriacyjne – obrabowanym zostawiano pokwitowania za zrabowane pieniądze, opatrzone stemplem PPS. Czasem były to drobne napady, ale niektóre akcje były świetnie wykonanymi operacjami godnymi współczesnych oddziałów specjalnych. Do takich należał napad na kasę w Wysokiem Mazowieckiem, gdzie zdobyto zawrotną kwotę blisko pół miliona rubli, a także wszystkie bez wyjątku napady na pociągi.

Do legendy przeszedł tzw. napad czterech premierów, dokonany na stacji w Bezdanach, m.in. przez Walerego Sławka, Aleksandra Prystora, Tomasza Arciszewskiego i samego Piłsudskiego – dla którego była to jedyna akcja, w której brał udział. W praktyce jednak Bezdany były – choć udaną – komedią pomyłek w porównaniu z wcześniejszymi podobnymi operacjami, a zwłaszcza w Rogowie, gdzie dowodził jeden z najlepszych bojowców, Józef Montwiłł-Mirecki. Było to największe starcie polskiego oddziału z rosyjskim od czasów powstania styczniowego.



Gieorgij Skałon, generał-gubernator warszawski

FOT. WIKIPEDIA

Krwawa środa

Nie wiadomo dokładnie, ilu członków liczyła bojówka, ale w szczytowej fazie było ich zapewne ok. 8 tys. Najwięcej działo się jednak w wielkich miastach przemysłowych, takich jak Radom, Częstochowa, Łódź i oczywiście Warszawa. „Do pierwszych zamachów doszło w marcu 1905 r. Celami ich byli policjanci: stójkowy fabryki Labor, Szarap (został ranny); dwóch przypadkowych policjantów zauważonych w momencie, gdy znęcali się nad aresztowanymi (obaj zginęli); upatrzony wcześniej stójkowy pełniący służbę u zbiegu ulic Żytniej, Żelaznej i Nowolipia (zginął na miejscu)" – wyliczała Halina Kiepurska.

Z miesiąca na miesiąc Rosjanie byli w Warszawie coraz bardziej sterroryzowani. Mimo wprowadzenia stanu wojennego i wzmocnienia sił policyjnych wojskiem natężenie akcji bojowców nie słabło. Zwłaszcza że oprócz rewolwerów mieli też teraz coraz więcej bomb. Pierwsza z nich eksplodowała pod nogami kilkuosobowego patrolu rosyjskiego na Woli jeszcze w marcu 1905 r. Wybuch okazał się silniejszy niż się spodziewano i rozerwał sześć osób. Bojowcy, nawiasem mówiąc, byli chyba równie zaskoczeni jak Rosjanie, bo do tej pory ich bomby zazwyczaj nie wybuchały – technika ówczesnego terroru pozostawiała początkowo sporo do życzenia. Całkowitym przełomem w tym zakresie było pojawienie się w bojówce Aleksandra Lutze-Birka – człowieka o wszystko mówiącym pseudonimie Dynamit Piroksylinowicz. Ten przyszły wykładowca Politechniki Lwowskiej, wówczas student jej wydziału mechanicznego, okazał się pirotechnikiem doskonałym. Kiedy tylko zainstalowano go w „laboratorium" mieszczącym się przy ul. Mokotowskiej 7, nieopodal pl. Zbawiciela, produkcja naprawdę dobrych bomb ruszyła pełną parą. Choć nie bez przygód.

„Procesy chemiczne, które miałem prowadzić, wymagały podgrzewania w dość wysokich temperaturach. W każdej chwili groziło to wybuchem. Moje laboratorium nie miało nawet prymitywnych wywietrzników, opary trójnitrofenolu, które wdychałem, spowodowały, że zżółkłem jak cytryna i uległem ogólnemu zatruciu. Do tego napięcie nerwowe: uda się czy wraz z sąsiadami wylecimy w powietrze?" – wspominał. Ale mimo trudności dzięki niemu skuteczność akcji bojowych znacznie wzrosła. Lutze-Birk bowiem nie ograniczał się do tworzenia standardowych bomb, ale z powodzeniem eksperymentował, nadając im formę odpowiednią do specyfiki działań.

To właśnie bomby produkcji Lutze-Birka wybuchły 26 marca w cyrkule na Pradze, a chwilę później w powozie zwabionego tam oberpolicmajstra Nolkena. One też eksplodowały w maju w cukierni Trojanowskiego przy ul. Miodowej 6. Ich ofiarą miał paść poprzednik Skałona, generał-gubernator Maksymowicz, ale zamachowiec Tadeusz Dzierzbicki, osaczony przez agentów ochrany, zdetonował je wcześniej, zabijając Rosjan, samego siebie i kilka zupełnie przypadkowych osób. Całkiem nieźle pokazano tę akcje w pierwszym odcinku serialu TVP „Polowanie na ćmy", ale jeszcze lepiej zapamiętał ją dziennikarz Kazimierz Pollack:

„Wtedy dał się słyszeć głuchy odgłos strąconej ze stolika paczki, a następnie wstrząsnął powietrzem straszliwy huk – i kłęby dymu objęły werandę cukierni i część ulicy. Gdy dym zaczął się rozsnuwać, zbiegający się ludzie ujrzeli wśród poszarpanego żelastwa i odłamków

eprasa.pl 1924b09a80



Zamach bojowców PPS w Rogowie
FOT. WIKIPEDIA

szkła trzy trupy z porozrywanymi brzuchami. Były to strzępy zwłok zamachowca i dwóch śledzących go agentów. Na ulicy zasypanej odłamkami szkła leżały zwłoki czwartego mężczyzny, a kilkanaście ciężko rannych osób jęczało na chodniku".

Apogeum działalności bojówki PPS w Warszawie przypadło na lato 1906 r. i wiązało się to z aktywnością przyszłego ministra i premiera Rzeczypospolitej na uchodźstwie, wówczas niespełna 30-letniego, krewkiego bojowca Tomasza Arciszewskiego. Od zamachu na generała Szwejkowskiego, dokonanego przy ul. Pięknej w lipcu 1906 r., jego bojówka wykonywała akcje dosłownie co kilka dni, przez kolejnych kilka miesięcy. Strzały padały na Wiejskiej, pl. Trzech Krzyży, Koszykowej, Długiej, Kruczej, a także w podwarszawskim Otwocku, gdzie zginął bliski współpracownik Skałona, gen. Andriej Margafski. Niestety, zginął również jego kilkuletni syn.

Fala rewolucyjnego terroru doszła do szczytu 15 sierpnia 1906 r., w środę. „Był najbardziej krwawym ze wszystkich, jakie przeżyła Warszawa w latach 1905–1906… Był świąteczny i piękny. Tłumy wyruszały na wycieczki za miasto, na spacery do parków i ogrodów" – zapamiętał Pollack. On również wybierał się za miasto, ale nie zdążył. Nieopatrznie wpadł na chwilę do reakcji „Kuriera" i tego dnia już z niej nie wyszedł. „Już byłem przy wyjściu, gdy zadzwonił telefon. – O dziewiątej na Woli zabito policjanta Czerwińskiego… – informował głos w słuchawce" – wspominał. „Od tej chwili w »panamie« na głowie i z laską w ręku biegałem od jednego telefonu do drugiego i pospiesznie notowałem. »Zasypano kulami posterunki policyjne: na rogu Marszałkowskiej i Próżnej… Na Marszałkowskiej, przed domem 114… Przy zbiegu Mokotowskiej i Nowowiejskiej… Na Koszykowej… Hożej… Złotej… Na Nowym Świecie – róg Al. Jerozolimskich… Na Tamce… Na Starym Mieście… Na Rybakach…«. Po paru minutach informowano o podobnych wydarzeniach na Solnej, Pawiej, Smoczej, Gęsiej, na Nalewkach i w kilkunastu punktach Pragi" – zanotował, dodając później wstrząsający opis swojej wizyty w prosektorium. Widok dziesiątek zwłok i zapach trupiego zapachu dręczył go przez kilka kolejnych dni.

W jednej z akcji uczestniczył m.in. 19-letni bojowiec Henryk Baron. „[…] o 12 godzinie 30 minut podszedłem do VII policyjnego cyrkułu i rzuciłem dwie bomby, które wywołały straszny wybuch, po którym natychmiast wsiadłem do dorożki i odjechałem do miasta […]. Prócz tego przyznaję, że ja osobiście zabiłem dwóch stójkowych i pięciu czy sześciu rewirowych" – zeznawał później, zanim stracono go na stokach Cytadeli.

Była to tzw. krwawa środa, wiele zamachów dokonywanych w większości miast Królestwa. W Warszawie zginęło tamtego dnia 16 policjantów, drugie tyle zostało rannych, w pozostałych miastach śmierć poniosło 35 rosyjskich funkcjonariuszy, a rany odniosło ponad 50. W statystykach tych nie uwzględnia się jednak przypadkowych ofiar, które przy bezładnych strzelaninach czy z powodu eksplodujących bomb były niestety bardzo częste. Co jednak ciekawe, wszystko to, zamiast zemsty Rosjan, przyniosło wymierne korzyści. Gdy trzy dni później Skałon cudem uszedł z życiem z zamachu przy ul. Natolińskiej, natychmiast złagodził represje stanu wojennego, odwołując zgodę na egzekucje bez sądu.

Ludzie podziemni

Po „krwawej środzie" rewolucyjny impet nieco osłabł. Raz, że osiągnięto cel i naprawdę skutecznie sterroryzowano Rosjan, dwa – liczne przypadkowe ofiary sprawiły, że bojowcy stracili poparcie społeczne. Przyczynili się do tego zresztą agenci ochrany, których metody stały się znacznie subtelniejsze, a przez to bardziej skuteczne niż strzelanie do tłumów. „Do walki z rewolucją, obok salw i szubienic, carat użył nowej broni – prowokacji" – potwierdzał Pollack. Z jednej więc strony sami agenci organizowali zamachy m.in. na procesje kościelne, by zrzucić winę na bojowców. Z drugiej – coraz powszechniej wprowadzali do bojówek swoich ludzi. Po pewnym czasie u bojowców zrodziła się prawdziwa obsesja, że są szpiclowani. Łagodnie mówiąc, ich kondycja psychiczna pozostawiała w sporo do życzenia, co nieźle opisał w „Ludziach podziemnych" czy „Historii jednego pocisku" świadek wydarzeń, Andrzej Strug, działacz PPS. Z całej akcji zaczął wycofywać się też Piłsudski, który – choć stał na czele bojówki i nie był zwolennikiem indywidualnego terroru – ciężar wydarzeń przeniósł wkrótce do bezpiecznej Galicji, gdzie już wcześniej stworzył szkoły bojowe dla instruktorów OB PPS – kształcące nie bojowców, lecz dowódców przyszłej powstańczej armii.

Ale w Królestwie pozostały tysiące bojowców, zazwyczaj wciąż bardzo młodych chłopaków, którzy zżyli się ze swoimi browningami, a zamachy były jedynym, co potrafili robić. Czasami kończyło się to bandytyzmem. Chociaż więc mówi się o rewolucji lat 1905–1907, w 1907 r. nic się jeszcze nie skończyło. Piłsudski swoją akcję pod Bezdanami przeprowadził dopiero na jesieni 1908 r., a rok później Faustyna Morzycka – pierwowzór „Siłaczki" Stefana Żeromskiego – rzuciła bombę w gen. Lwa Uthoffa przy ul. Świętokrzyskiej w Warszawie. Szacuje się, że jeszcze w 1911 r. bojowcy wykonali 134 podobne akcje, co oznacza, że statystycznie miały one miejsce co trzeci dzień.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wojciech Lada jest autorem książki „Polscy terroryści" (Znak 2018).

eprasa.pl 1924b09a80

XVII–XVIII w. / Pomiędzy Polską, Szwecją i Rosją



Pałac Bironów w Rundāle , Łotwa

FOT. WIKIPEDIA

Koniec polskiej Kurlandii



Sławomir Koper

Księstwo Kurlandii i Semigalii było lennem Rzeczypospolitej przez blisko 250 lat. Upadło wraz z trzecim rozbiorem Polski i nigdy już nie powróciło w granice naszego kraju

W 1682 r. władzę w księstwie Kurlandii i Semigalii przejął Fryderyk Kazimierz Kettler. Złożył hołd Rzeczypospolitej, chociaż po tragicznych wojnach z połowy XVII stulecia nasz kraj stracił na znaczeniu, a pierwszą potęgą w basenie Morza Bałtyckiego stała się Szwecja. Niebawem zresztą pojawił się kolejny kandydat do dominacji w tej części Europy, czyli Rosja, gdzie w 1689 r. władzę objął Piotr I.

Nowy władca Kurlandii był „rozmiłowany w zbytku i przepychu" i tak naprawdę interesowało go tylko wydawanie pieniędzy. Wzorem dla nowego dynasty był Ludwik XIV, którego próbował naśladować. Doprowadziło to państwowy skarbiec do ruiny. Fryderyk Kazimierz Kettler miał dość skromne dochody, które ograniczały się niemal wyłącznie do zysków z dóbr książęcych i handlu bałtyckiego.

Źle układały się również stosunki Fryderyka Kazimierza ze szlachtą kurlandzką. Ziemianie lekceważyli suwerena, wychodząc z założenia, że ubogi książę to słaby władca. Odmawiano respektowania jego zarządzeń, a w zamian do Warszawy słane były kolejne skargi. Prawdziwe problemy dla Kurlandii i jej mieszkańców miały jednak dopiero nadejść wraz z wybuchem kolejnej wojny północnej.

Boje o Kurlandię

Fryderyk Kazimierz zmarł w 1698 r., a jego następcą został zaledwie sześcioletni Fryderyk Wilhelm. Z powodu młodego wieku nie mógł sam sprawować rządów. Do regencji pretendowali matka księcia, Elżbieta Hohenzollern, oraz stryj Ferdynand. Każdy z kandydatów miał własnych stronników i księstwo stanęło na progu wojny domowej. Na domiar złego nowy król Polski August II zamierzał przekazać Kurlandię jednemu ze swoich synów, a Rosjanie i Szwedzi planowali inkorporację księstwa.

W 1700 r. wybuchła kolejna wojna o panowanie nad Bałtykiem (trzecia wojna północna), a Kurlandia stała się terenem operacji militarnych. Kraj popadł w ruinę, a każdy uczestnik konfliktu wkraczający w granice księstwa dowolnie rozdawał miejscowe urzędy i majątki. Nikt nie wiedział, kto rządzi Kurlandią, gdyż nawet polskich władców było

eprasa.pl 1924b09a80



Ernest Johann Biron FOT. WIKIPEDIA/RUNDALE PALACE

dwóch (August II i Stanisław Leszczyński). Rządy nad księstwem sprawować chcieli jeszcze car Piotr I i król Szwecji Karol XII. Ostatecznie to Rosja zdobyła przewagę, opanowując najpierw dawne szwedzkie Inflanty. Wcześniej państwo carów ugruntowało swoje wpływy w Kurlandii. Przebywający wraz z matką w Niemczech Fryderyk Wilhelm został zmuszony do powrotu do kraju i małżeństwa z bratanicą Piotra I, Anną Iwanowną.

Młody książę posłusznie udał się do Petersburga, gdzie w listopadzie 1710 r. ożenił się z Anną. Zgodnie z obyczajami tamtejszego dworu uroczystościom towarzyszyły codzienne libacje. Strumieniami lały się wino i wódka, co miało w końcu fatalne skutki dla kurlandzkiego księcia. Nieprzyzwyczajony do rosyjskiej „gościnności" i osłabiony kolejnymi pijatykami zaczął gorączkować. Wreszcie na początku nowego roku udał się wraz z żoną w podróż do domu. Do swojego księstwa nigdy jednak nie dotarł – zmarł w podróży pod koniec stycznia 1711 r.

Wprawdzie Kurlandia pozostawała polskim lennem, ale o wszystkim decydował Piotr I. Nie dopuścił on do książęcego tronu przebywającego w Gdańsku stryja zmarłego, ogłaszając, że władzę przejmie Anna Iwanowna. Nie miało znaczenia, że wcześniej nigdy nie była w Kurlandii, a jej prawa były co najmniej wątpliwe. Z wolą cara musieli pogodzić się mieszkańcy kraju, a w końcu też zależny od Piotra August II Mocny, który właśnie wrócił na tron w Warszawie.

Polski król próbował jeszcze „walczyć" o nadbałtyckie księstwo, popierając ambicje swego nieślubnego syna Maurycego Saskiego, który to zamierzał „wziąć księstwo szturmem razem z ręką Anny". Sama księżna podobno nie miała nic przeciwko temu, gdyż 30-letni Maurycy był „mężny, waleczny, przystojny i szarmancki" i „mógł łatwo zniewolić serce dobrze już otyłej i o kilka lat starszej Anny". Kurlandzka szlachta także poparła syna polskiego króla, uważając go za „zachwycającego awanturnika". Wybrano go na księcia, choć nie miało to znaczenia ze względu na sprzeciw Petersburga. W tej sytuacji Maurycy musiał ustąpić przed rosyjskim naciskiem.

Ernest Jan Bühren

Anna tymczasem pocieszyła się w ramionach przystojnego Ernesta Jana Bührena, który niebawem przejął w jej imieniu rządy w księstwie. Było to możliwe, gdyż księżna nigdy nie interesowała się polityką. Pociągały ją stroje, bale i zabawy. Wszystkie sprawy państwowe zostawiła swemu faworytowi.

Bühren pochodził z kurlandzkiej szlachty i był synem średniozamożnego ziemianina Karola von Bührena. Był człowiekiem niezwykle zdolnym i ambitnym, a przy okazji musiał „sprawdzać się" w alkowie, gdyż Anna przestała zwracać uwagę na innych mężczyzn. Jego kariera nabrała rozpędu, gdy rozgrywki dynastyczne w Rosji spowodowały wyniesienie jego partnerki na tron cesarski. Faworyt wraz z rodziną przeniósł się wówczas do Petersburga, gdzie otrzymał tytuł hrabiowski, a przy okazji przybrał też herb i nazwisko francuskiego rodu de Gontaut-Biron.

Oprócz tytułów Ernesta Jana Bührena (Birona) interesowały rzecz jasna finanse. Dzięki swojej protektorce szybko zgromadził ogromny majątek. Pieniądze ułatwiły mu wejście w szeregi europejskiej arystokracji. Otrzymał tytuł hrabiego Rzeszy i nabył tzw. Wolne Państwo Syców na pograniczu Śląska i Wielkopolski. Odgrywał też pierwszoplanową rolę na dworze w Petersburgu. Anna była wobec niego całkowicie uległa.

Tymczasem August II próbował jeszcze raz uratować zależność bałtyckiego księstwa od Warszawy. Po wyjeździe Anny do Petersburga przekazał inwestyturę Ferdynandowi Kettlerowi. Był on jednak ostatnim już przedstawicielem rodu i gdy zmarł w 1737 r., Rzeczpospolita nie miała już właściwie nic do powiedzenia w sprawie Kurlandii. Nie doszło też do wcielenia księstwa w granice państwa polsko-litewskiego, choć zgodnie z prawem powinno to nastąpić w chwili wygaśnięcia rodziny panującej.

Anna Iwanowna miała jednak inne plany. W Mitawie osadziła Birona w charakterze dziedzicznego władcy. Polska nie zdobyła się na protesty, gdyż jej nowy król, August III, musiał zapłacić za rosyjską pomoc w czasie elekcji i późniejszej wojny ze Stanisławem Leszczyńskim.

Kariera faworyta na rosyjskim dworze nie należała do najbezpieczniejszych zajęć, o czym przekonał się sam Biron. Po śmierci Anny (1740) trafił on wraz z rodziną na Syberię. Później przeniesiono go do Jarosławia nad Wołgą, gdzie prowadził życie arystokraty na emeryturze. Wydawało się, że jego kariera polityczna była już skończona.

Książę Karol Krystian

Przez blisko 20 lat Kurlandią zarządzała Rada Książęca i choć wciąż było to lenno Rzeczypospolitej, to członkowie Rady słuchali tylko carskiego rezydenta. Sytuacja zmieniła się w 1758 r., gdy Petersburg wyraził zgodę, by władzę

eprasa.pl 1924b09a80

w księstwie objął syn Augusta III, Karol Krystian Wettyn. Nie oszczędzono jednak królewiczowi upokorzenia. Wprawdzie miał być on polskim lennikiem, lecz musiał udać się do Petersburga, gdzie caryca Elżbieta zatwierdziła nadanie.

Nowy książę przeżywał wówczas najpiękniejszy okres swojego życia. Na jednym z bali poznał urodziwą Franciszkę Krasińską, „wysmukłą jak topola, hożą jak rozkwitająca różyczka, z dużymi, czarnymi oczami, z noskiem lekko zadartym". Dziewczyna do tego uroczo prezentowała się „w tej mieszaninie polskiego i francuskiego stroju, modnej natenczas między damami i w polskich pałacach". Już po pierwszym zatańczonym menuecie Karol uznał, że Franciszka jest dla niego ponad wszystkie księżniczki świata. Nic w tym dziwnego, gdyż poza urodą Krasińska posiadała także „rozum, dowcip, wyobraźnię, serce, słodki dźwięk głosu, słodsze jeszcze wejrzenia i uśmiechy wtórujące słowom, ponętne ruchy ciała, zgoła wszystko, co uprzywilejowanej od natury kobiecie służyć może do podbicia mężczyzny". Z kolei królewicz „miał dar szczególny zaskarbiania serc ludzkich i zdobywania niewieścich afektów". W 1760 r. Karol Krystian poślubił Franciszkę. Ślub odbył się w tajemnicy, gdyż August III planował dla syna małżeństwo z arcyksiężniczką austriacką.

Karol Krystian miał ambicję odziedziczenia tronu polskiego po ojcu, lecz gdyby został wybrany na drodze wolnej elekcji, unia personalna z Saksonią przestałaby de facto istnieć. Po śmierci Augusta III władzę w Dreźnie miał bowiem przejąć starszy syn króla Fryderyk Krystian. W takim układzie przejęcie tronu Polski przez młodszego Karola Krystiana nie było w interesie wszechwładnego królewskiego ministra Henryka Brühla. Chcąc utrudnić życie Karolowi, dygnitarz próbował nawet przekupić Franciszkę, by zerwała związek małżeński, ale dziewczyna ofertę „z pogardą odrzuciła".

Jak się wkrótce okazało, to wszystko nie miało jednak większego znaczenia, gdyż żaden z synów Augusta III nie miał szans na polską koronę. Było oczywiste, że najbliższa elekcja odbędzie się pod dyktando Rosji, a caryca Katarzyna II miała już własnego kandydata. Był nim jej dawny kochanek Stanisław August Poniatowski.

Zanim jednak Katarzyna osadziła Poniatowskiego na tronie, chciała uregulować sprawę Kurlandii i Semigalii. Przywróciła więc do łask Birona i wysłała go do Mitawy, lekceważąc to, że księstwo miało już swego władcę. Wyprawę niedawnego zesłańca caryca wsparła 15 tys. żołnierzy. Kiedy dawny faworyt Anny Iwanownej pojawił się nad Bałtykiem, spotkało go jednak niemiłe zaskoczenie, gdyż królewicz Karol Krystian nie zamierzał porzucić tronu. Choć sugerowano mu, że opór może się fatalnie odbić na losach rodziny Wettynów, to książę oznajmił, że jest zobowiązany do posłuszeństwa wobec swego pana lennego, czyli polskiego króla.

Jego opór nie trwał jednak długo. Ostatecznie Karol musiał skapitulować. Stany kurlandzkie ponownie uznały Birona za księcia. Młody Wettyn powrócił do Warszawy wraz ze swoim dworem, w którego skład wchodził również niejaki Kazimierz Pułaski herbu Ślepowron pełniący w Mitawie funkcję książęcego pazia.

W stolicy królewicz prowadził rozrywkowy tryb życia i zaniedbywał żonę, a gdy wyjechał na stałe do Saksonii, zostawił ją w Warszawie. Franciszka tułała się po domach krewnych i przez lata „starała się konsekwentnie i wytrwale odzyskać zmienne serce męża i zdobyć należną pozycję legalnej żony i status członka panującego domu Wettynów".



Franciszka Krasińska

FOT. WIKIPEDIA/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

W czasie konfederacji barskiej Franciszka rezydowała na zamku w Lublińcu na Śląsku, gdzie przyjeżdżali skłóceni przywódcy powstania. Wśród gości był też Kazimierz Pułaski, który już w czasach Mitawy był w niej zakochany. Nie miał jednak szans na jej przychylność, gdyż Franciszka wciąż pragnęła tylko pogodzenia z mężem. Sam Pułaski nigdy o niej jednak nie zapomniał i nie związał się do końca życia z żadną kobietą.

Franciszce udało się zjednać małżonka dopiero po 10 latach. Zamieszkali w Dreźnie i doczekali się córki Marii Krystyny, która w 1797 r. została żoną księcia Karola Emanuela z dynastii sabaudzkiej, a później babką pierwszego króla Włoch Wiktora Emanuela II.

Pamiątką po nadbałtyckich perypetiach Karola Krystiana jest istniejący do dzisiaj pałac kurlandzki w Dreźnie, a o losach Franciszki opowiada książka Klementyny Tańskiej-Hoffmanowej „Dziennik Franciszki Krasińskiej w ostatnich latach Augusta III pisany".

W 1759 r. Ernst Biron abdykował na rzecz syna Piotra. Był on ostatnim księciem Kurlandii oraz Semigalii i złożył ostatni hołd polskiemu królowi. Księstwo ostatecznie przestało istnieć na mocy trzeciego rozbioru Polski. Piotr Biron nie mógł jednak narzekać na swój los. Otrzymał wysoką dożywotnią rentę oraz gigantyczne (2 mln talarów) odszkodowanie za utracone posiadłości. Rosjanie pozwolili mu też zabrać wyposażenie pałaców w Mitawie i Rundāle. Piotr nabył księstwo żagańskie na Śląsku, gdzie spędził resztę życia. Zamieszkał w Żaganiu w dawnym pałacu Lobkovitzów. Odnowił budowlę, a jedno ze skrzydeł przeznaczył na działalność artystyczną. W jego wnętrzach powstały sala koncertowa i scena teatralna oraz galeria ze zbiorami malarstwa. Jednym z jego dzieci była Dorota de Talleyrand-Périgord, słynna księżna Dino. Wyszła za mąż za bratanka ministra spraw zagranicznych Francji, ale bardziej interesował ją stryj małżonka, którego stała się najbliższą przyjaciółką i powierniczką.

W rękach rodziny Biron pozostało Wolne Państwo Syców. Potomkowie młodszego brata Piotra (Karola Ernesta) posiadali na jego terenie majątki aż do 1945 r. i dobrze zapisali się w jego dziejach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1924b09a80



Niemiecka piechota w górach Jajła pod Sewastopolem, grudzień 1941 r. FOT. NAC

Druga wojna światowa / Z Robertem Forczykiem, autorem książki „Tam, gdzie rosną żelazne krzyże. Krym 1941–1944”



rozmawia Piotr Włoczyk

Forteca Sewastopol

eprasa.pl 1924b09a80



Zatoka Bałakława koło Sewastopola FOT. WIKIWAND

PIOTR WŁOCZYK: Jak miało wyglądać Gotengau?

ROBERT FORCZYK: To było marzenie Niemców. Krym miał się stać wyłącznie niemieckim kurortem na Morzu Czarnym.

Cały obszar aż do Uralu miał być – po zwycięskiej wojnie – niemieckim Lebensraumem.

Tak, Niemcy planowali przekształcenie większości Rosji w zaplecze rolno-surowcowe, ale Krym był rozpatrywany w zupełnie innych kategoriach. Niemcy doskonale rozumieli, że nie ma tam surowców. Widzieli natomiast w tym półwyspie atrakcyjne miejsce dla nazistowskiej elity. W tym sensie Niemcy myśleli podobnie do elit rosyjskich, które budowały na Krymie wspaniałe posiadłości. Hitler wspomniał nawet, że należy wybudować autostradę z Berlina prosto na Krym. To miała być ich luksusowa riwiera.

Co się miało stać z ludźmi, którzy żyli na Krymie?

W całości mieli zostać stamtąd usunięci. Akurat w tym aspekcie Niemcy niewiele różnili się od innych narodów, które przejmowały kontrolę nad półwyspem. Jako pierwsi Krym „oczyszczali" Tatarzy. Ostatnio robią to Rosjanie, co widzimy od niemal 10 lat. Każdy z najeźdźców pojawia się na Krymie z przekonaniem, że będzie to klejnot w jego koronie. Historia pokazuje, że nigdy tak się nie dzieje. Ten półwysep zmienia właścicieli i nigdy nie spełnia roli, jaką się w nim pokłada, bo tuż za zakrętem jest kolejna wojna o ten kawałek ziemi.

Krym nie był początkowo dla Niemców priorytetem podczas marszu na Wschód?

Nie. Krym miał być po prostu zajęty „przy okazji" po tym, gdy uda się zniszczyć rosyjskie wojska na Ukrainie. Półwysep miał – według niemieckich planów – wpaść w ich ręce w łatwy sposób. Dowództwo Wehrmachtu nie przewidywało konieczności toczenia większych walk o ten obszar.

Jeden nalot zmienił percepcję Niemców?

Na początku wojny kilkanaście sowieckich bombowców stacjonujących na Krymie zaatakowało rumuńskie pola naftowe w Ploeszti, co wywołało spory niepokój w Berlinie. To był tylko jeden atak bombowy, ale to wystarczyło, by Hitler nakazał szybkie przejęcie półwyspu.

Zadanie to przypadło gen. Erichowi von Mansteinowi, który cieszył się opinią genialnego stratega wojskowego. Problem w tym, że dysponował on szczuplejszymi siłami niż obrońcy...

A pamiętajmy, że Krym jest od strony wojskowej wyjątkowo twardym orzechem do zgryzienia dla atakujących. Głównym „wejściem" na Krym jest Przesmyk Perekopski, który ma tylko kilka kilometrów szerokości. To doskonały punkt dla obrońców, nawet dysponujących dosyć szczupłymi siłami. Manstein wybrał jednak właśnie Perekop i klasyczną taktykę frontalnego ataku, czyli operację w stylu pierwszej wojny światowej. Niemcy nie mieli wsparcia od strony morza, ale tak skutecznie przeprowadzili atak na Perekop, że udało im się włamać na Krym.

To był jednak dopiero pierwszy krok. Drugi był dużo trudniejszy: zdobycie ufortyfikowanego Sewastopola.

Ta baza morska została zamieniona w prawdziwą fortecę. Mansteinowi brakowało własnych żołnierzy, w związku z tym musiał polegać na siłach sojuszniczych – Rumunach. Początki nie wyglądały jednak zbyt obiecująco. W czasie pierwszej zimy w Sowietach von Manstein, próbując oblegać Sewastopol, był atakowany przez czerwonoarmistów z drugiej strony Krymu, gdzie dziś Rosjanie mają swój most. Oczywiście wtedy nie było takiego połączenia, zatem musieli się oni przedostawać się na półwysep przez morze. W ten sposób połowa sił von Mansteina oblegała Sewastopol, a druga połowa odpierała ataki ze wschodu.

Czyli sowieckie siły na Krymie walczyły lepiej niż na innych odcinkach frontu?

Musimy być tu ostrożni. W 1941 r. bardzo wiele sowieckich jednostek po prostu się rozlatywało w starciu z Niemcami. Jednak większość Niemców, w odpowiedzi na pytanie: „Jak walczą Rosjanie?" zapytałaby: „O którym dniu mowa?". Takie było bowiem powszechne wrażenie wśród Niemców: jednego dnia żołnierze Armii Czerwonej uciekają i zachowują się jak najgorsi tchórze, a drugiego walczą jak maniacy. Niemcy nigdy nie patrzyli na Armię Czerwoną w sposób jednolity. Analizowali ją pod kątem konkretnych jednostek: rosyjskich, ukraińskich, tadżyckich... Choć w teorii dowództwo sowieckie starało się unikać takich sytuacji, to jednak wiele oddziałów było dosyć jednolitych pod względem etnicznym. Jeżeli Niemcy mogliby wybierać, to na pewno wybieraliby walkę z jednostkami ukraińskimi czy kaukaskimi. Co do zasady te oddziały nie walczyły zbyt zawzięcie. Szczególnie Ukraińcy nie widzieli wielkiej potrzeby umierania za Stalina. Co innego jednostki rosyjskie – ci żołnierze potrafili pokazać „pazury". Najgorsi w całej Armii Czerwonej byli natomiast Ormianie. Oni naprawdę mieli kompletnie gdzieś tę wojnę i to było widać na placu boju.

Na Krymie ok. 50 proc. żołnierzy sowieckich stanowili Rosjanie. Było tam też wielu Ukraińców, Gruzinów czy Ormian. Istotny był również typ jednostki. Najwaleczniej biła się sowiecka piechota morska. To byli fanatycy. Cofnijmy się do rewolucji – skąd najczęściej pochodzili komisarze? Oczywiście z marynarki. Rosyjska marynarka wojenna była wylęgarnią komunistycznych fanatyków. A w Sewastopolu marynarzy nie brakowało.

eprasa.pl 1924b09a80



Generał Erich von Manstein na froncie pod Kerczem FOT. NAC

Dlaczego w ogóle Sewastopol był i jest tak ważny dla Moskwy? Przecież Rosjanie mieli i mają inne porty na wybrzeżu Morza Czarnego, np. Noworosyjsk.

Rosyjska marynarka wojenna od czasów Piotra I patrzyła z apetytem na Krym jako na doskonałą bazę wypadową pozwalającą kontrolować Morze Czarne, a w przyszłości być może sięgnąć po legendarne miasto. Nie wszyscy zapewne wiedzą, że rosyjscy władcy długo marzyli o zdobyciu Konstantynopola, ale – jak wiemy – to się nigdy nie zmaterializowało. Nawiasem mówiąc, człowiekiem, który zaczął budować bazę morską w Sewastopolu, był Szkot Thomas Mackenzie, natomiast Amerykanin John Paul Jones stał na czele rosyjskiej marynarki stacjonującej na Krymie! Dziś zapewne Rosjanie wolą o tym nie pamiętać...

Większość okrętów carskiej marynarki wojennej była budowana w stoczniach w Chersoniu i w Mikołajowie na dzisiejszej Ukrainie. Sewastopol był natomiast główną bazą morską. Co istotne, tylko tam istniał duży suchy dok, który pozwalał remontować większe jednostki. Noworosyjsk mógł obsługiwać niewielkie jednostki, ale na pewno nie pancerniki. W Sewastopolu skoncentrowano też potężne baterie artylerii nadbrzeżnej. Te linie obronne rozbudowywano w latach 30. i 40. XX w. i dlatego Sewastopol był dobrze przygotowany do oblężenia przez wojska von Mansteina. Co ciekawe, Rosja obecnie nie jest w stanie budować na Morzu Czarnym okrętów. Bez Chersonia i Mikołajowa Rosja musi bazować na tym, co jej tam pozostało. A z powodu wyjątkowej pozycji Turcji bardzo trudno jest Rosji wprowadzać i wyprowadzać okręty z Morza Czarnego. Mówiąc wprost: rosyjskie siły czarnomorskie są skończone, jeżeli Rosjanie nie zdobędą tych dwóch ukraińskich miast portowych.

To tłumaczy, dlaczego tak zawzięcie walczyli o Chersoń i Mikołajów.

Oczywiście. Dodatkowo bardzo im zależało na Odessie, by odciąć Ukrainę od możliwości eksportowania kluczowych dóbr, ale to już na początku wojny był nierealny cel.

Wróćmy do drugiej wojny światowej i pozycji Sewastopola.

Gdy Sowieci stracili Odessę, Mikołajów, Chersoń i Sewastopol, Flota Czarnomorska wycofała się do portów kaukaskich i nie mogła stamtąd swobodnie operować. Stalin był wściekły. Gdyby doszło do uszkodzenia większych jednostek, nie dałoby się ich naprawić bez odzyskania Sewastopola. Posiadanie tej bazy było więc koniecznością.

Dziś cały czas słyszymy od ekspertów do spraw wojskowości, że aby myśleć o powodzeniu ofensywy, strona atakująca musi mieć przewagę minimum 3:1 nad obrońcami. Jak w takim razie Mansteinowi udało się odbić Krym z rąk dobrze okopanych Sowietów?

Mnie również uczono podczas kursu oficerskiego, że atakujących musi być minimum trzy razy więcej. Napoleon, który był przecież niekwestionowanym geniuszem wojskowym, stwierdził natomiast, że morale w stosunku do całej reszty to jak 3 do 1. Tak właśnie Polacy wygrali w 1920 r. Von Manstein walczył w sposób profesjonalny, a jego żołnierze chcieli się bić. Korzystał przy tym ze wszystkiego, co miał pod ręką, by otworzyć fortecę Sewastopol. Niemcy byli skuteczni w łączeniu działań lotnictwa, artylerii i piechoty. Stosunek sił wynosił w tej bitwie niecałe 1:1, a jednak Niemcy zwyciężyli.

Dziś problemem Rosjan jest to, że nie potrafią walczyć w ten sposób. Wysyłają piechotę bez wsparcia czołgów i na odwrót. Tak się nie walczy. Generał Heinz Guderian, niemiecki znawca broni pancernej, tłumaczył, że jeżeli chce się powalić przeciwnika, trzeba go uderzyć pięścią. A pięść składa się z pięciu palców: piechoty, artylerii, broni pancernej, lotnictwa i saperów. Jeżeli jednak będziemy dźgali przeciwnika pięcioma palcami niezaciśniętymi w pięść, to nie zrobimy mu większej krzywdy i jeszcze sami poniesiemy straty. Tak właśnie walczą dziś Rosjanie. Choć właściwie oni dziś już nawet nie mają pięciu palców – może zostały im dwa lub trzy...



Żołnierze sowieccy przechodzą przez Sywasz FOT. WIKIPEDIA

Oblężenie Sewastopola trwało sześć–osiem miesięcy, w zależności od tego, jak to liczymy.

Niemcy prowadzili je w systematyczny sposób: ściągnęli bardzo ciężką artylerię i duże siły powietrzne. Obie strony były zawzięte i przekonane, że uda im się wygrać. Taki był

eprasa.pl 1924b09a80

właśnie rok 1942. Moim zdaniem był to najciekawszy rok wojny. Wtedy jeszcze wszystko mogło się zdarzyć – wynik wojny nie był wówczas przesądzony. Każda bitwa miała znaczenie. Tak właśnie było z Sewastopolem. Hitler powoli tracił cierpliwość i powiedział von Mansteinowi wprost, że musi zdobyć miasto do końca czerwca 1942 r. Berlin uważał zajęcie Krymu za niezbędny etap przed wielką letnią ofensywą na Stalingrad i pola naftowe na Kaukazie. Bez zdobycia Krymu Niemcy nie chcieli rozpoczynać tej operacji. Manstein przeprowadził swój główny atak w czerwcu i – czując ciśnienie ze strony Hitlera – nie szczędził krwi swoich żołnierzy. Udało mu się zdobyć Sewastopol 4 lipca 1942 r., ale ceną były straty sięgające 20 proc. żołnierzy. Nawiasem mówiąc, towarzyszący Niemcom Rumuni mieli tam trzy dywizje. I to oni weszli do Sewastopola jako pierwsi. Von Manstein jednak ani myślał dzielić się glorią zwycięstwa. Gdy więc Niemcy szykowali się do przeprowadzenia parady zwycięstwa, von Manstein specjalnie podał Rumunom złą godzinę rozpoczęcia tej imprezy... Jak widać, potrafił on być wyjątkowo małostkowy, a przecież Rumuni wysłali na Krym jedne z najlepszych swoich jednostek – piechotę górską. Nie ma wątpliwości, że ich wsparcie odegrało dużą rolę w tej bitwie.

Erich Manstein kojarzy się bardziej jako mistrz szybkich manewrów, a nie długotrwałych oblężeń. To chyba była dla niego droga przez mękę?

Oblężenie Sewastopola na pewno nie było jego żywiołem. To w końcu on zaplanował atak na Francję przez Ardeny. Na froncie wschodnim zawsze proponował przeprowadzanie szybkich uderzeń z użyciem czołgów. Tymczasem kampania na Krymie bardziej przypominała pierwszą wojnę światową.

Zwycięstwo Niemców oznaczało dla niemałej części ludności Krymu apokalipsę...

W latach 20. władze sowieckie podjęły decyzję, by na Krymie stworzyć żydowską autonomię. Żydzi mieszkali głównie w Symferopolu. Niemcy dokonali tam potwornej masakry. Na ich celowniku znaleźli się też Cyganie.

Inaczej jednak wyglądała sprawa z Tatarami. Ilu spośród nich zdecydowało się na współpracę z Niemcami?



ROBERT FORCZYK
„TAM, GDZIE ROSNĄ ŻELAZNE KRZYŻE. KRYM 1941–1944”
REBIS

Tatarzy byli faktycznie nastawieni proniemiecko, ale mieli ku temu bardzo dobry powód: Sowieci traktowali ich przecież w nieludzki sposób. Gdy pojawili się Niemcy, zaproponowali Tatarom współpracę. I rzeczywiście niewielka liczba lokalnych Tatarów pomagała bezpośrednio Niemcom.

Szacuje się, że było to ok. 2 tys. osób spośród populacji wynoszącej ok. 100 tys.

Niemcy sprawowali kontrolę nad Krymem przez niecałe dwa lata. W 1944 r. Sowieci przeprowadzili jednak udaną ofensywę przez Sywasz. Czym charakteryzuje się ten obszar?

Sywasz to leżący na północy Krymu rejon płytkich zatok. Co ciekawe, Armia Czerwona wykonała ten manewr dwa razy. Pod koniec wojny domowej w Rosji biali wycofali się na Krym, fortyfikując półwysep. Przez pewien czas wydawało się, że faktycznie mają szanse utrzymać się tam dłużej. Szczególnie że zachodni sojusznicy dostarczali przecież zaopatrzenie do Sewastopola. Biali „zamurowali” Przesmyk Perekopski, więc uważali, że są dobrze zabezpieczeni. W wyjątkowych okolicznościach, zaledwie przez kilka dni w roku, można przejść przez Sywasz, mając wodę do kolan. W czasie wojny domowej czerwoni przeszli przez Sywasz i zaskoczyli białych. Najwidoczniej Niemcy nie czytali książek na temat wojny domowej w Rosji... Armia Czerwona zrobiła w 1944 r. dokładnie to samo. Sowieci czekali na odpowiednie warunki i przeszli przez Siwasz podczas odpływu. Byli w stanie nawet zabrać ze sobą na łodziach artylerię. Po przejściu na półwysep zbudowali most pontonowy. Teraz zapewne Rosjanie zaminowali ten rejon, żeby coś takiego nie powtórzyło się po raz trzeci...

Kolejna bitwa o Sewastopol była śmiesznie krótka w porównaniu z oblężeniem z lat 1941–1942.

Von Manstein chciał opuścić półwysep dużo wcześniej, ponieważ rozumiał doskonale, że jego 80 tys. żołnierzy mogło się przydać dużo bardziej w innych rejonach frontu. Hitler jednak nie chciał o tym słyszeć. Symbolika Krymu to jedno, ale ważna była też percepcja sojuszników. Hitler robił, co mógł, by opóźniać oddawanie zajętych ziem. Chodziło o to, żeby jego sojusznicy nie wyczuli słabości i by nie zmienili stron. Von Manstein miał rację, że z wojskowego punktu widzenia trwanie na Krymie nie miało sensu, ale jednak polityka wygrała.

Kiedy Sowieci przedarli się przez Sywasz, błyskawicznie opanowali Krym. Sewastopol był w znacznej mierze pozbawiony tych potężnych linii obronnych, jakie mieli do dyspozycji Sowieci broniący się przed Niemcami. Odcięcie Krymu sprawiło, że większość Niemców chciała się stamtąd ewakuować najbliższym statkiem lub samolotem. Siły osi zdołały wywieźć z Krymu ok. 75 proc. swoich żołnierzy, co należy uznać raczej za sukces.

Krymscy Tatarzy zostali potraktowani przez Stalina w podobny sposób, jak Niemcy potraktowali krymskich Żydów...

Gdy w 1944 r. Sowieci wrócili na półwysep, Stalin nakazał wyrzucenie stamtąd wszystkich Tatarów. NKWD wymordowało na miejscu co najmniej 20 tys. z nich, a 45–60 tys. deportowano na Wschód. Co ciekawe, NKWD zapomniało o ok. 12 tys. Tatarów mieszkających na wschodzie Krymu na Mierzei Arabackiej. Ławrientij Beria zdążył już powiedzieć Stalinowi, że Krym jest „wolny” od Tatarów, i wtedy ktoś zwrócił uwagę szefowi NKWD, że jednak uchowała się na Mierzei Arabackiej niemała grupa Tatarów... Beria wpadł w panikę. Nakazał wsadzić wszystkich tych ludzi na barki i zatopić je na morzu. Nie miał po nich pozostać żaden ślad, nawet kości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Robert Forczyk jest uznanym autorytetem w kwestiach historii militarnej, drugiej wojny światowej i broni pancernej, autorem głośnej książki pt. „Fall Weiss. Najazd na Polskę 1939”. W księgarniach właśnie się ukazała jego najnowsza książka: „Tam, gdzie rosną żelazne krzyże. Krym 1941–1944”.

eprasa.pl 1924b09a80



Wilhelm Hohenzollern gościem honorowym Hitlera na obchodach Dnia Poczdamu, 21 marca 1933 r. FOT. WIKIMEDIA COMMONS/GERMAN FEDERAL ARCHIVES

1933–1945 / Synowie kajzera w służbie NSDAP

Cesarscy lokaje Hitlera



Piotr Semka

Następca tronu Wilhelm Hohenzollern i jego młodszy brat August Wilhelm dali się owinąć nazistom wokół palca. Ich poparcie dla NSDAP było w swoim czasie niezwykle potrzebne Hitlerowi

eprasa.pl 1924b09a80

Czego jak czego, ale łaski płodności Kajzerowi Wilhelmowi II nie można było odmówić. Znany z fanfaronady władca, ożeniony z cesarzową Augustą, systematycznie płodził kolejnych potomków. Doczekał się aż sześciu synów i jednej córki. Pierworodny syn Wilhelm przyszedł na świat w 1882 r. Rok później narodził się Eitel Fryderyk. W 1884 r. rodzina cesarska powitała nowego syna, Adalberta. Po trzech latach przerwy, w 1887 r., cesarzowa Augusta urodziła Augusta Wilhelma, znanego pod przydomkiem Auwi. Rok później, w 1888 r., pojawiło się kolejne dziecko – Oskar, a po nim w 1890 r. Joachim Franciszek. I wtedy dopiero okazało się, że Wilhelm II potrafi też płodzić dziewczynki – dwór poinformował o narodzinach Wiktorii Luizy Pruskiej. Okres do 1918 r. był dla całej tej szczęśliwej siódemki życiem w luksusie i bez jakichkolwiek trosk. Dzieciom cesarza nie brakowało niczego. Choć oczywiście miały też obowiązki. W wieku 10 lat kolejni synowie otrzymywali symboliczne stopnie porucznika i obejmowali tytularne dowództwa pruskich jednostek lub okrętów wojennych.

Ten świat runął wraz z wybuchem rewolucji w listopadzie 1918 r. Wilhelm II uciekł do Holandii, a jego synowie i córka musieli sobie radzić w nowym świecie, w którym cesarskie tytuły nie znaczyły już tyle samo. Synowie Wilhelma różnie znosili tę degradację. Joachim Franciszek wpadł w depresję i popełnił w 1920 r. samobójstwo. Oskar został wielkim mistrzem zakonu joannitów. Adalbert trzymał się w okresie międzywojennym z dala od polityki. Eitel sympatyzował co prawda z kombatanckim Stahlhelmem i reprezentował na uroczystościach w Niemczech przebywającego na wygnaniu ojca. Zarówno Oskar, jak i Eitel oraz Adalbert trzymali się z dala od nazistów, uważając ich za wulgarnych parweniuszy. Ale już Kronprinz Wilhelm, „Auwi" i Wiktoria Luiza ulegli fascynacji Adolfem Hitlerem.



Kronprinz Wilhelm w mundurze oddziałów motorowych SA. Po prawej: z Kurtem von Schleicherem w 1933 r.

FOT. DEUTSCHES HISTORISCHES MUSEUM, BERLIN



Niejasna obietnica

W wypadku Wilhelma i „Auwiego" diabelskim kluczem nazistów do ich umysłów była niejasna obietnica: „Wrócicie na tron". A jak wiadomo, jeśli ktoś czegoś bardzo chce, to uwierzy we wszystko. W naturalny sposób najpoważniej o restytucji monarchii myślał następca tronu Wilhelm. Przez całe lata 20. krążył po Niemczech od jednej fety monarchistów do drugiej. Odbierał hołdy i słuchał zapewnień, że „gdy nadejdzie odpowiedni moment, jego byli poddani pomogą mu wrócić do władzy i dokonać restauracji monarchii". Pamiętajmy, że w latach 20. idea odbudowy cesarstwa rozgrzewała pamięć wielu oficerów Reichswehry i miała poparcie w bogatych kręgach finansjery i rekinów przemysłu. Dwie duże partie nacjonalistyczne – DWP i DNWP – także przyciągały do siebie ludzi marzących o tym, że najjaśniejszy pan wróci z Holandii do Niemiec. Część z nich uważała, że na tron powinien powrócić Wilhelm II, ale bardziej trzeźwi wskazywali, że lepiej sięgnąć po mniej skompromitowanego następcę tronu Wilhelma.

Dla systematycznie prącego do władzy Adolfa Hitlera monarchiści i ruch kombatancki Stahlhelm byli problemem. Byli konkurentami, ale jednocześnie nie można było ich tak łatwo zdyskredytować jak komunistów czy SDP. Hitler wiedział, że sztywni, jakby połknęli kij, generałowie Reichswehry pogardzają nim jako „czeskim kapralem". Hitler zrozumiał, że musi rozbić siłę monarchistów od wewnątrz. I w tym dziele dwaj próżni Hohenzollernowie byli wyjątkowo przydatni. Poprzez wysyłanych emisariuszy Hitler zaczął sączyć zarówno do uszu Wilhelma, jak i „Auwiego" niejasne obietnice wskrzeszenia monarchii po zniszczeniu Republiki Weimarskiej. W tych opowieściach przedstawiano Führera jako skromnego niemieckiego patriotę, który, gdy tylko zostanie obalona Republika Weimarska, sam wycofa się na drugi plan, otwierając drogę do władzy Wilhelmowi czy Augustowi. Była to absolutna bzdura, w którą uwierzyć mógł tylko ktoś o takim stopniu megalomanii jak cesarscy synowie. Ale gdy dziecko chce dostać wymarzoną zabawkę, jest gotowe zgodzić się na wszystko. Wilhelm i August byli faktycznie dużymi dziećmi.

Pierwszy z nazistami skumał się Wilhelm. W 1932 r., gdy zbliżał się termin wyborów prezydenckich, Hitler przybył do pałacyku Wilhelma, Cecilienhof w Poczdamie, i zaproponował mu układ. Naziści poprą jego kandydaturę na prezydenta, a w zamian niech on obieca Hitlerowi stanowisko kanclerza. Hitler oczywiście wiedział, że gdy tylko przejmie władzę, może zniszczyć Wilhelma w jeden dzień. Ale plan ten nie powiódł się jeszcze z innego powodu: stary Wilhelm senior

eprasa.pl 1924b09a80



August Wilhelm Hohenzollern na zjeździe NSDAP, 1932 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

zagrzmiał z holenderskiego wygnania, że nie pozwoli na udział syna „w republikańskiej hucpie". Wilhelm dostał prztyczek w nos, ale nadal współpracował z hitlerowcami. W kwietniu 1932 r. ogłosił list do ówczesnego szefa MSW Wilhelma Groenera z apelem o odwołanie zakazu działalności SA i SS. Reklamował też Hitlera na spotkaniach monarchistów. Gdy Hitler zdobył wreszcie władzę 30 stycznia 1933 r., pozwolił wstąpić Wilhelmowi do oddziałów motorowych SA. Wilhelm był też honorowym gościem tzw. Dnia Poczdamu, kiedy to liczni oficerowie, którzy niegdyś gardzili Hitlerem, teraz płaszczyli się przed nowym zbawcą Rzeszy. Jeśli Wilhelm liczył na wskrzeszenie monarchii, to szybko się przeliczył. Führer pokazał mu, gdzie jest jego miejsce. W 1933 r., na prośbę matki znanego adwokata Hansa Littena, który wtrącony został do obozu koncentracyjnego, Wilhelm spotkał się z Hitlerem, próbując interweniować w sprawie uwięzionego. Wódz III Rzeszy zrugał go jednak jak rekruta: „Każdy, kto staje w obronie Littena, zostanie wtrącony do obozu. Dotyczy to także ciebie". Wilhelm serio potraktował tę pogróżkę. Dlatego też milczał, gdy w trakcie nocy długich noży w czerwcu 1934 r. skrytobójczo zamordowano jego przyjaciela gen. Kurta von Schleichera. W zamian za to rząd Rzeszy dbał, by Wilhelm mógł prowadzić zamożne życie w paru swoich majątkach.

Książę za groszaki

Za jeszcze mniejszą cenę naziści kupili sobie Augusta Wilhelma. „Auwi", znacznie bardziej naiwny od starszego brata, już w 1930 r. wstąpił do NSDAP, a potem do SA. Z rozkazu Goebbelsa naziści obwozili go po wiecach NSDAP, gdzie w mundurze SA wzywał nacjonalistów do wsparcia partii. Goebbels pogardzał „Auwim" z powodu jego homoseksualnych skłonności. Partia nazistowska rozumiała jednak, że jest to bardzo cenny sojusznik, i tolerowała jego upodobania seksualne. „Auwi" był stopniowo awansowany na coraz wyższe stanowiska w SA, ale po nocy długich noży organizacja ta przestała mieć znaczenie. Dlatego dodano mu jeszcze fotel w Pruskiej Radzie Państwa i mandat posła Reichstagu. Jednak trzeba pamiętać, że oba te gremia również niewiele znaczyły w III Rzeszy. Gdy do Goebbelsa dotarły plotki, że „Auwi" wyśmiewa go publicznie, syn byłego kajzera dostał zakaz przemawiania i został poddany ścisłej kontroli policyjnej. Również Wiktoria Luiza uległa fascynacji znakiem swastyki. Jej portret z lat 30. pozostawiła w swoich wspomnieniach amerykańska dziennikarka Sigrid Schultz, która była korespondentką w Berlinie i obracała się w najwyższych kręgach nazistowskich. Amerykanka wspominała, że Wiktoria Luiza była fanatyczną nazistką, która często podbiegała do Hitlera na publicznych przyjęciach, aby – jak to sama określała – „szukać jego bliskości". Naziści wyznaczyli jej, z racji doskonałej znajomości języka angielskiego, zadanie opiekowania się ważnymi Brytyjczykami w trakcie ich wizyt w III Rzeszy. Światowa i znająca zasady bon tonu Wiktoria oczarowywała gości i w dyskretny sposób tłumaczyła im politykę NSDAP. W ramach tej działalności założyła „Anglo-German Fellowship". Jej rodzinna posiadłość w Gmunden w Austrii została zamieniona w tajne centrum austriackich nazistów przed podbojem tego kraju w 1938 r. Wiktoria organizowała też spotkanie Goebbelsa i Ribbentropa z przywódcą angielskich faszystów Oswaldem Mosleyem. Nazistowska prasa nie mogła się nachwalić jej zaangażowania w przyjaźń niemiecko-brytyjską, akcentując, że księżna „wykonuje swój obowiązek w służbie Rzeszy jak zwyczajny Niemiec".

Na bocznym torze

Zarówno Wilhelm, jak i „Auwi" zostali u schyłku wojny aresztowani i osadzeni w areszcie domowym. Wilhelma zwolniono dość szybko, ponieważ był bardzo schorowany. Zmarł w 1951 r. August Wilhelm został natomiast skazany przez brytyjski sąd za konszachty z nazistami i odbył karę dwóch i pół roku więzienia w obozie karnym. Żył do 1950 r. W 1980 r. zaś zmarła Wiktoria Luiza. Rodzina Hohenzollernów utrzymywała potem, że w trakcie wojny Wilhelm utrzymywał kontakt z konspiratorami Ruchu 20 Lipca 1944 r. Większość historyków wskazuje jednak, że nie ma na to żadnych dowodów. Skompromitowane sylwetki Wilhelma i „Auwiego" wracają dziś w dyskusjach na łamach niemieckiej prasy, ilekroć rodzina Hohenzollernów próbuje wznowić rozmowy z rządem RFN na temat restytucji choćby części znacjonalizowanego mienia tego historycznego rodu. Lewica wskrzesza wtedy stare hasło z lat 20.: „Ani centa dla baronów". Tchórzostwo Wilhelma i „Auwiego" ciąży rodzinie Hohenzollernów jak kula u nogi i, szczerze mówiąc, trudno ich żałować.

W ostatnich latach niemiecka telewizja NDR opublikowała reportaż wskazujący, że mąż Wiktorii Luizy, książę Ernest August, nabył wiele żydowskich firm na mocy przepisów o aryzacji. W fabrykach tych robotnicy przymusowi i więźniowie obozów koncentracyjnych trzymani byli w okropnych warunkach, a skala śmiertelności była w tych obozach pracy zatrważająco wysoka. Dokument NDR nosił nazwę: „Arystokraci bez skrupułów".

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1924b09a80



Józef Mackiewicz (w jasnym płaszczu) w Katyniu FOT. DOMENA PUBLICZNA

XX w. / O listach Józefa Mackiewicza do różnych adresatów

Pisarz prawdomówny



Marek Gałęzowski

Józef Mackiewicz ujmował przeszłość w sposób pozbawiony patosu, bez oglądania się na oczekiwania narodowe

W opublikowanym w ubiegłym roku kolejnym tomie korespondencji Józefa Mackiewicza [jak poprzednie, nakładem wydawnictwa Kontra, w opracowaniu Niny Karsov] wśród wielu wartościowych spostrzeżeń i opinii pisarza, szczególną uwagę zwracają słowa pochodzące wyjątkowo nie z listu, lecz z odczytu „Wielka niewiadoma", którego tytuł nadano całemu zbiorowi: „I tak jak literatura nie może być »włączaniem się« w jakieś postulaty, zamówienia społeczne czy polityczne, dezyderaty, tezy, propagandę na plus czy minus – bo przestaje być literaturą – tak samo każdy piszący, jeżeli pragnie coś powiedzieć, co ma do powiedzenia o ludziach, powinien z góry wyzbyć się myśli – przystosowania, przypodobania, utrafienia w czytelnika, w (atmosferę,) wzorowania czy na stylu, czy na treści, gdyż spotkać go może największy na tym polu właśnie zawód. Tak mi się zdaje [...]. Trzymać się jednej tylko rzeczy: absolutnej, wewnętrznej, osobistej – szczerości".

W twórczości pisarza trudno byłoby znaleźć odstępstwa od tego przekonania. „Pan był zawsze pisarzem prawdomównym" – pisał doń Czesław Miłosz. I to wydaje się wystarczającym powodem, by sięgać nie tylko do powieści Mackiewicza, lecz także do nieodłącznej od nich publicystyki i korespondencji. A później o nich dyskutować.

Celebracja czy informacja?

Do najnowszego tomu korespondencji pisarza (i w części także Barbary Toporskiej), zawierającego ponadto kilka jego publicznych wypowiedzi, nawiązał Tomasz Kornaś w artykule „Nie trzeba mówić głośno?", opublikowanym w poprzednim numerze „Historii Do Rzeczy". Bogactwo wątków zawartych w „Wielkiej niewiadomej" wydaje się dostatecznym uzasadnieniem, by spróbować spojrzeć na tę korespondencję z jeszcze innej perspektywy. Najpierw jednak warto odnieść się do pierwszej części artykułu Tomasza Kornasia, dotyczącej oficjalnych form upamiętnienia pisarza i jego twórczości w ramach Roku Józefa Mackiewicza.

Podzielam większość krytycznych opinii przedstawionych w artykule, którego lektura nasuwa pytanie o sens działań sprowadzających się raczej do celebracji niż informacji czy zainicjowania trwałego projektu, pozwalającego na rzeczywiste upowszechnienie książek i wiedzy o autorze „Lewej wolnej". Pesymizm, z jakim Tomasz Kornaś podsumował Rok Mackiewicza, jest jednak może o tyle zbyt daleko idący, że nie dostrzegł on filmu zainicjowanego i zrealizowanego przez Biuro Edukacji Narodowej

eprasa.pl 1924b09a80

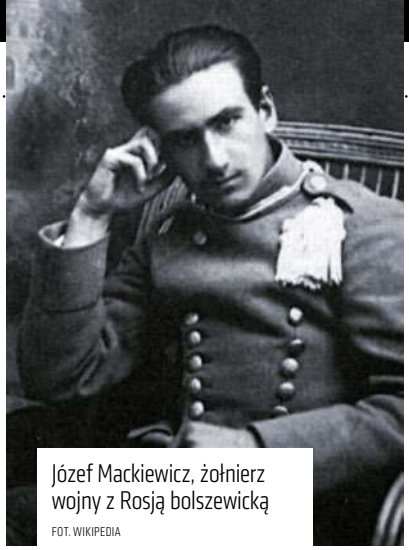
IPN „Czarny sufit", według scenariusza i w reżyserii Arkadiusza Biedrzyckiego. Ponad cztery miesiące od premiery miał on liczbę wyświetleń sięgającą 110 tys., a biorąc pod uwagę inne pokazy, widzów było z pewnością więcej. Nie jest też prawdą, jakoby rzeczywiście zasługujący na uznanie dr Paweł Chojnacki, „który niestrudzenie, z oddaniem […] przybliża kolejne tomy Mackiewicza", był „w tym praktycznie sam".

Ograniczając się do własnych działań, wspomnę o udziale w powstaniu „Czarnego sufitu" (jako pomysłodawca i opiekun merytoryczny), a także o: zamieszczonej w maju ubiegłego roku polemice w tygodniku „Do Rzeczy", dotyczącej artykułu prof. Andrzeja Nowaka na temat autora „Kontry" (zamieszczonego w tymże czasopiśmie, a będącego sumą poglądów wyrażonych na wspomnianej przez Kornasia konferencji); artykule dotyczącym korespondencji Mackiewicza z Pawłem Jankowskim w „Historii Do Rzeczy"; rozprawie opublikowanej w prestiżowym czasopiśmie krakowskim „Politeja", zbudowanej w znacznej mierze na treściach ostatnich tomów pisarza – korespondencji i publicystyki.

Niemniej jednak zgadzam się, że nawet sumując wszystkie działania mające na celu popularyzację wcześniejszych i wydanych w ostatnich latach tomów pism Mackiewicza – świetnych zbiorów artykułów czy korespondencji – to wszystko, biorąc pod uwagę ich wartość dla kultury polskiej, bardzo mało. „Rzeczą najważniejszą dla pamięci po wielkim pisarzu, dla recepcji jego twórczości […] nie była ani uchwała, ani żadne przejściowe aktywności podejmowane w ramach »roku«. Rzeczą najważniejszą były kolejne tomy jego dzieł" – pisze Kornaś. Głosy o książkach były jednak nieliczne, a w roku pisarza dominowały raczej inne formy, które z wyczuwalną goryczą wymienił Tomasz Kornaś.

Jedyna książka

Wśród licznych dzieł świadczących o wyjątkowej pozycji Józefa Mackiewicza w dziejach literatury polskiej pozostanie jego książka o zbrodni katyńskiej, stworzona „w najtrudniejszych warunkach i w walce z tak wielkimi przeciwnościami, że co najmniej zasługuje na – nieprzemilczenie". Starania Mackiewicza o tłumaczenie, a następnie wydanie i rozpowszechnianie książki, przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, ponadto jego gorzkie uwagi na zbyt małe zaangażowanie uchodźstwa w propagowanie wiedzy na jej temat wypełniają korespondencję z Józefem Godlewskim, byłym senatorem RP, na uchodźstwie współzałożycielem Związku Ziem Wschodnich RP.



Józef Mackiewicz, żołnierz wojny z Rosją bolszewicką

FOT. WIKIPEDIA

Listy te są wartościowym źródłem do biografii pisarza, warunków jego pracy twórczej. W końcu 1951 r. Mackiewicz pisał, że nie obiecuje Godlewskiemu częstej korespondencji, ponieważ jest w „fatalnej sytuacji" materialnej. Sześć lat później było podobnie: „Nie wiem, czy będę miał z czego żyć za kilka tygodni, mimo iż trzy książki moje wyszły teraz właśnie. Nie ma rodaków, którzy by chcieli mi pomóc".

Jednak słowa o trudnych warunkach życia i pracy pojawiają się w listach do Godlewskiego marginalnie. Mackiewicz pisze przede wszystkim o sprawie znacznie ważniejszej. Tą zaś było niewykorzystanie jedynej wówczas książki o zbrodni katyńskiej jako źródła wiedzy w rozpoczynających się właśnie w Stanach Zjednoczonych przesłuchaniach przed Komisją Maddena: „Wydaje mi się, że książka w Ameryce musi iść jak woda, a jednak nikt jej nie chce". Kilka miesięcy później: „A w Ameryce głucho. Piszą wszyscy o Katyniu, tylko nikt o mojej książce", a przecież „nawet gdyby sto razy gorzej napisana niż jest, to przecież jest JEDYNA".

Chciałoby się powiedzieć: gdybyż jakąś choćby część energii zużywanej w polskim życiu politycznym na uchodźstwie w zmaganiach stronnictw oddano na rzecz informowania świata o tej zbrodni, do czego książka Józefa Mackiewicza była znakomitym narzędziem, jeśli nie wręcz sztandarem sprawy polskiej, nie tylko w Stanach Zjednoczonych.

W listach do Godlewskiego są również uwagi Mackiewicza dotyczące nurtujących go kwestii politycznych, chociażby echa sporu ze Stefanem Kisielewskim, który w 1956 r. zarzucał Mackiewiczowi działalność sprzeczną z polską racją stanu: „Właśnie tego samego dnia, gdy w Hiszpanii wychodzi znowu książka o Katyniu, o którym raptownie [w tym roku] [tj. 1956 r. – przyp. M.G.] zapomniała cała prasa polska. Czy ukazanie się tej książki w Hiszpanii to też sprzeczne z interesami Polski?". W następnym liście, nie odbierając bynajmniej Kisielewskiemu prawa do poglądów wygłaszanych z pozycji znajdującego się pod władzą komunistów kraju (z których ten zresztą wkrótce się wycofał), stanowczo zwracał uwagę, że „nie znaczy to jednak, aby miał [Kisielewski] prawo potępiać kogokolwiek na emigracji, tym bardziej kogoś za jego odwagę cywilną, polityczną, a tym bardziej bezkompromisowy stosunek do zbrodniczego komunizmu. Nawet żeby ten ktoś (głosił poglądy) ściśle indywidualne. Na to właśnie wybraliśmy emigrację, aby żyć w wolnym świecie, który gwarantuje wolność słowa".

Cena niezależności

Jedną z najciekawszych w tomie „Wielka niewiadoma" jest niewielka niestety objętościowo korespondencja z Czesławem Miłoszem, którego Mackiewicz znał jeszcze z przedwojennego Wilna. „Moje pisanie jest dość rozpaczliwe, bo na przekór wszystkim" – stwierdzał w jednym z pierwszych listów autor „Traktatu poetyckiego". Trudno oprzeć się refleksji, jak bardzo te słowa definiują także życie i twórczość adresata listu. Wiedział to i Miłosz, pisząc do autora „Kontry": „Cenię Pana wysoko, nie mówiąc już o mocnej solidarności wileńczuków. Należy Pan do tych ludzi niezależnych […], których wśród polskich literatów można policzyć na palcach, i płaci Pan cenę za tę swoją niezależność i śmiałość". Ta ocena nie zmieniła się nigdy. Cztery lata później Miłosz pisał, że przeczytał „Nie trzeba głośno mówić" „niemal jednym tchem

eprasa.pl 1924b09a80

[podkreślenie autora listu], nie mogąc się oderwać. I ostatecznie to chyba jest sprawdzian wszelkiej umiejętności pisania powieści jako gatunku".

Ale może najbardziej wymowny jest ostatni list Czesława Miłosza, już jako laureata Nagrody Nobla. W lipcu 1984 r., pół roku przed śmiercią Mackiewicza, napisał doń: „Jest to książka znakomita i jeżeli Pan ją uważa za appendix do swoich powieści, to Pan się myli, bo ma ona swoje życie odrębne i nawet stwarza dla siebie odrębny gatunek [...], a dwa rozdziały – o Ponarach i Katyniu – powinny wejść w skład każdej przyszłej chrestomatii literatury polskiej". Tą książką był zbiór artykułów i reportaży „Fakty, przyroda i ludzie".

Wyrazem niezależności i śmiałości Mackiewicza, które Miłosz tak cenił, było ujmowanie przezeń przeszłości w sposób pozbawiony patosu, bez oglądania się na oczekiwania narodowe. To zaś powodowało, podobnie jak w wypadku Miłosza, niezamierzone przecież pisanie wbrew większości. Nie wbrew wszystkim – gdyż Mackiewicz miał niemałe grono oddanych przyjaciół czy też osób neutralnych, nieunikających z nim kontaktu. Należał do nich Zbigniew Siemaszko, historyk, który nawiązał z nim kontakt przy okazji lektury jego ostatniej powieści „Nie trzeba głośno mówić".

Siemaszko różnił się od innych korespondentów – pisarza traktował również jako świadka interesujących go badawczo wydarzeń. Na pytanie Siemaszki o sytuację w Wilnie w przededniu wkroczenia do miasta Armii Czerwonej we wrześniu 1939 r. odpowiadał:

„Zdaje mi się, że w pierwszych dniach czy godzinach była jakaś myśl stawiania oporu. Ale był to rozpaczliwy chaos. Rozpaczliwy, bo waliło się państwo łącznie z życiem prywatnym. Jedyny nastrój: ratuj się kto może! Na Litwę, na Litwę! Jednakże pamiętam (są to wrażenia optyczne), że próbowano kopać jakieś okopy, zresztą nigdy nieobsadzone... Jakiś oddział z ul. Królewskiej wbiegał z nasadzonymi bagnetami na Zamkową, ocierając się o redakcję »Słowa«... Jakiś inny leżał w Cielętniku w tyralierze, wystawiwszy karabiny maszynowe dlaczegoś na plac Katedralny... Co się z nimi stało, nie wiem. Prawdopodobnie zostali zdjęci i pomaszerowali z innymi na Litwę. Wiem, że jakieś samoloty wyleciały z Lidy na Łotwę... Pamiętam jeszcze obrazek: jakaś grupa »polonusów«, w cywilnym, jedni w deklach, kilku w hełmach, ze starymi francuskimi karabinkami, maszerowała przez Nowy Świat na Porubanek... Pamiętam bezgranicznie szydercze oczy Żydów, które na nich patrzyły. Rozdzierające. W istocie każdy zajęty był ratowaniem siebie. Ponieważ rozeszła się pogłoska, że Litwini przepuszczają tylko wojskowych, a nie będą tłumów cywilnych, więc każdy w ostatniej chwili szukał jakiegoś munduru etc., jakiejś czapki bodaj wojskowej. Bałagan był tak kompletny, że nie przypominam sobie, żeby były jakieś rozporządzenia, a jeżeli, kto by je czytał!".

I chociaż rzeczywiście doszło do jakiejś próby obrony miasta, gdzieś przywitano Armię Czerwoną strzałami, gdzieś zniszczono sowiecki czołg, to trudno jednak mówić o zorganizowanym oporze, jak chcą to widzieć różni brązownicy dziejów. Wrzesień 1939 r. na ziemiach wschodnich RP składał się i z takich obrazów, oprócz heroizmu tych, którzy nie poddali się rozpaczy, jak por. Jan Bołbott, płk Franciszek Kotarba czy gen. Wilhelm Orlik-Rückemann. Dominował jednak obraz zarysowany przez Mackiewicza. O cóż tu jednak mieć pretensje, skoro dowództwo z marszałkiem Edwardem Śmigłym-Rydzem na czele, odwołując się do obowiązujących układów, nie brało pod uwagę agresji sowieckiej, a kiedy ona nastąpiła, wydało dyspozycje, które raczej pogłębiały bezradność i chaos, niż im przeciwdziałały.



Armia Czerwona na ulicach Wilna, wrzesień 1939 r. FOT. IMPERIAL WAR MUSEUM

Warto zauważyć, że niektóre spostrzeżenia Mackiewicza i Siemaszki dotyczące reakcji na agresję sowiecką są zbieżne ze sformułowaniami Ryszarda Szawłowskiego, pierwszego historyka walk z Armią Czerwoną w 1939 r. Mowa tu nie tylko o ocenie postępowania wyższych oficerów WP, którzy znajdowali się wówczas w Wilnie, lecz także o opisanym w znanej książce Stanisława Swianiewicza „W cieniu Katynia" zachowaniu gen. Jerzego Wołkowickiego, o którym Mackiewicz ze zdziwieniem pisał do Siemaszki, że „kazał wycofać warty" podczas nocnego postoju swojego oddziału, co spowodowało zagarnięcie go przez Sowietów: „Przecież każdy obóz harcerski wystawiał warty. To kanon każdego wojska".

„My nie jesteśmy adwokaci, tylko literaci"

„Abstrahuję od talentu, który jest rzeczą najważniejszą. Ale jeżeli pisarz chce coś stworzyć dobrego, musi pisać tylko to, co mu się indywidualnie, egoistycznie, podoba. Nie tylko nie licząc się z polityką swego narodu, rządu, partii ani żadnymi innymi postulatami społeczno-kolektywnymi, ale przede wszystkim nie licząc się z opinią publiczną, z obowiązującymi nastrojami [...]. My nie jesteśmy adwokaci, tylko literaci" – pisał Mackiewicz w nieogłoszonym za życia tekście zawartym w „Wielkiej niewiadomej".

Temu przekonaniu był wierny, co nietrudno dostrzec w jego twórczości we wszystkich jej formach. I chociaż z niejednym jego poglądem się nie zgodzimy, chociaż czasem twardy sąd pisarza nie tylko wyda się przesadny, lecz także będzie budził głęboki sprzeciw, to jedno jest pewne – że, nawiązując do Pawła Hertza, można być wdzięcznym autorowi „Nie trzeba głośno mówić" co najmniej za „danie pretekstu do myślenia niż za dzieło same".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl 1924b09a80



Diana Mitford-Mosley i jej mąż Oswald Mosley

FOT. CHRIS WARE/KEYSTONE/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

XX w. / Diana Mosley

Groźna Lady Di



Piotr Kosmala

MI5 określiła ją jako „dalece bardziej inteligentną i niebezpieczną niż jej mąż". Ta brytyjska arystokratka gorszyła brytyjską elitę, wyszła za niesławnego Oswalda Mosleya i wielbiła Hitlera

Serial „Peaky Blinders" od kilku lat budzi kontrowersje i emocje. Mroczny i brutalny, a przy tym budujący niezwykły klimat przemysłowej Anglii lat 20. i 30. ubiegłego stulecia ma swoich zagorzałych fanów, którzy z napięciem czekają na każdy kolejny sezon. Piąty i szósty cykl mogły się podobać, jednak przyniosły także falę krytyki i głośno deklarowanych rozczarowań. Te ostatnie wiązały się przede wszystkim z ostatnią zdobyczą głównego bohatera serialu, który poza tym, że stoi tam na czele gangu i skutecznie rozprawia się z przeciwnikami, łamie także damskie serca i wdaje się w niebezpieczne romanse. Tym razem łupem Toma Shelby'ego padła lady Diana Guinness – diaboliczna kochanka jego przeciwnika, znanego brytyjskiego faszysty sir Oswalda Mosleya.

I właśnie to wzbudziło największe oburzenie. Głośno zadano pytanie, jak to możliwe, by co prawda gangster i morderca, ale jednak sympatycznie postrzegany Tom Shelby zniżył się do romansu z „faszystką", a więc z kimś, kogo współczesna kultura popularna sytuuje znacznie niżej od gangsterów i morderców. Mniej słychać było głosy historyków, którzy zwracali uwagę, że lady Diana – postać przecież autentyczna – nigdy nie zdradziła Mosleya. Odeszła za to dla niego od męża w atmosferze skandalu, który wstrząsnął ówczesnymi salonami Londynu. A później było jeszcze ciekawiej, ale tego już nie pokazano w „Peaky Blinders".

Zacznijmy jednak od początku, a więc od niezwykłego rodzeństwa sióstr Mitford (i jednego brata), córek barona Redesdale'a. Urodzona w 1910 r. Diana była czwartym dzieckiem ekscentrycznego barona, a oprócz niej rodzeństwo tworzyli:

Nancy (ur. 1904) – znana pisarka, autorka m.in. głośnej „Pogoni za miłością";

Pamela (ur. 1907) – żona genialnego fizyka jądrowego prof. Dereka Jacksona;

Tom (ur. 1909) – zdolny muzyk i zagorzały faszysta, który w czasie drugiej wojny światowej zginął w Birmie;

Unity Valkyrie (ur. 1914) – słynna „przyjaciółka Hitlera", która w proteście przeciwko wybuchowi wojny brytyjsko-niemieckiej próbowała popełnić samobójstwo;

Jessica (ur. 1917) – kolejna w rodzinie pisarka, a przy tym… zagorzała komunistka i antyfaszystka;

eprasa.pl 1924b09a80

Deborah (ur. 1920) – księżna Devonshire i wzięta publicystka, m.in. tygodnika „The Spectator".

Dzieci barona od najmłodszych lat uchodziły za rodzeństwo niezwykłe, a z przyjaciółmi z arystokracji (i nie tylko) tworzyły kolorowe środowisko otwarte na nowe idee, przenikanie się różnych grup społecznych i mocne związki z kulturą oraz polityką, często w najradykalniejszych przejawach. Zjawisko to opisał – przyjaźniący się z Mitfordami – Evelyn Waugh w książce „Vile Bodies" (1930). Właściwie każde z rodzeństwa wyróżniało się dodatkowo nie tylko błyskotliwą inteligencją, lecz także charakterystyczną urodą. A za najładniejszą i najbystrzejszą Mitfordównę uchodziła właśnie Diana.

Wujaszek Wolf

Od dziecka znała całą arystokratyczną Anglię i Europę. Kochali się w niej malarze i pisarze (James Lees-Milne pisał, że „z kobiet, które poznał, jej było najbliżej do Wenus Botticellego"), w tym wspomniany pisarz Evelyn Waugh, a także połowa młodych przedstawicieli brytyjskiej socjety, na czele z Randolphem Churchillem (którego ojca, sir Winstona Churchilla, była skądinąd ulubienicą). Ona wybrała jednak Bryana Guinnessa, przystojnego syna właściciela słynnych browarów i dziedzica olbrzymiej fortuny.

Zawsze robiła, co chciała, więc kiedy zaraz po prezentacji na królewskim dworze podjęła postanowienie o ślubie, doprowadziła do niego mimo oporów w obu rodzinach przekonanych, że zakochani są zbyt młodzi. Z tą samą determinacją kilka lat później rozwodziła się z Guinnessem, zakochana bezprzytomnie w brytyjskim polityku sir Oswaldzie Mosleyu. Wcześniej jednak wydarzyło się parę istotnych rzeczy.

Przede wszystkim urodziła dwóch synów, którzy przez całe życie byli dla niej niezwykle ważni i którzy wspierali matkę na wszystkich etapach jej życiowych zawirowań. Nigdy nie uciekała od życia domowego i chociaż przez większość czasu wspomagała ją służba – w tych kręgach nie było w tym nic nadzwyczajnego – to Diana potrafiła być oddaną matką.



Diana Mitford

FOT. WIKIPEDIA/WILLIAM ACTON

Okazało się, że potrafiła być także zwierzęciem politycznym i idealistką wierną swoim przekonaniom mimo upływu czasu i bez względu na konsekwencje. Różne rodzinne koneksje łączyły Mitfordów (ale przecież nie tylko ich) z arystokratycznymi rodami w Niemczech, co skutkowało wieloma wizytami w tym kraju i przyspieszoną nauką języka niemieckiego. W przypadku Diany, a także jej siostry Unity, wizyty te wiązały się również z narastającą fascynacją narodowym socjalizmem i samym Adolfem Hitlerem, który niewiele wcześniej wygrał w Niemczech wybory.

Dzięki koneksjom i kilku sprytnym fortelom siostrom udało się wkraść w łaski świeżo upieczonego kanclerza, a nawet wejść do kręgu jego najbliższych osób. On uwielbiał rozmowy z rezolutnymi Angielkami, one podkreślały jego serdeczność i kurtuazję. Niewinne z pozoru spotkanie z „wujaszkiem Wolfem", jak go nazywały, miało jednak konsekwencje, które miała ponieść w przyszłości cała rodzina arystokratek.

Tymczasem w lipcu 1932 r. Diana Guinness poznała sir Oswalda Mosleya. Ten weteran wielkiej wojny, najmłodszy deputowany w Izbie Gmin (z ramienia konserwatystów), a potem minister (w rządzie laburzystów) uchodził za polityka o wielkiej przyszłości. Bezkompromisowy (złożył ministerialną tekę, gdy nie uwzględniono jego postulatów), błyskotliwy mówca (nigdy nie czytał z kartki), w dodatku wysportowany (mistrz szermierki) i przystojny miał opinię łamacza damskich serc, mimo że był żonaty, i to nie z byle kim. Jego żoną i matką dwóch synów była lady Cynthia Curzon, córka lorda George'a Curzona, brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, wicekróla Indii uchodzącego za autora niesławnej linii demarkacyjnej między Polską a Sowietami, zwanej linią Curzona.

Skandal wisiał w powietrzu, a przecież kolejne dopiero miały nastąpić. Diana ostatecznie odeszła bowiem od męża i kontynuowała romans, który miał wstrząsnąć Anglią także dlatego, że splatał erotyzm z polityką – dwie namiętności, które połączone stworzyły mieszankę prawdziwie wybuchową.

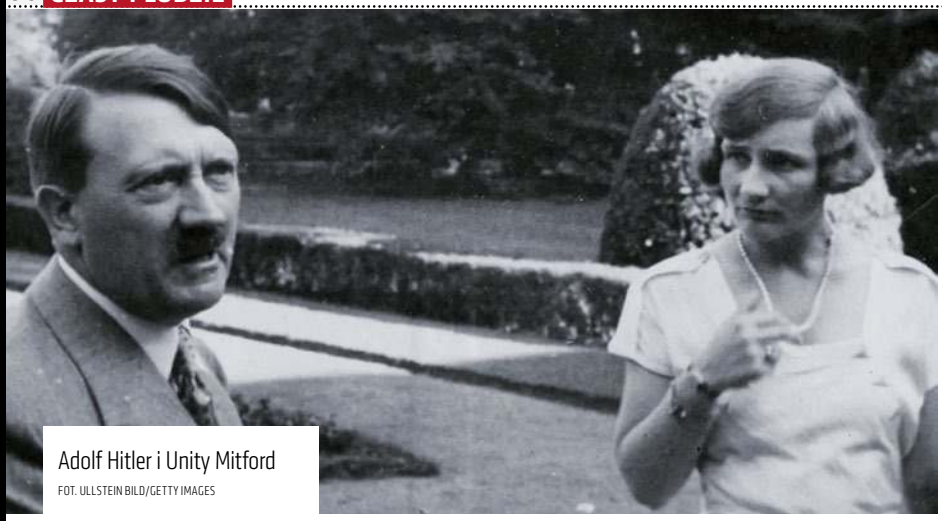
„Koszerni faszyści" Mosleya

Na początku lat 30. sir Oswald Mosley uznał, że nie ma co dalej tkwić w zabetonowanym duopolu Partii Konserwatywnej i Partii Pracy. W Europie wiało nowe, Mosley był zafascynowany koncepcjami angielskiego ekonomisty Johna M. Keynesa, ojca interwencjonizmu państwowego. Za swój przyjął także jego pogląd, że interwencjonistyczną politykę łatwiej prowadzić w ramach państwa totalnego, i konsekwentnie podjął próbę przeszczepienia na Wyspy wzorców najpierw włoskich, a później niemieckich.

Powstała Nowa Partia (New Party), mająca początkowo stanowić konkurencję dla laburzystów i gromadzić tych ich członków, którzy popierali linię Mosleya w chwili, kiedy ten składał ministerialną tekę. Projekt jednak rozczarował, ponosząc klęskę w wyborach. Partia wkrótce się rozpadła, ale Mosley był już na innym etapie politycznym, zdeterminowany, żeby powołać w Wielkiej Brytanii ruch faszystowski na wzór włoskiego. Temu miały służyć wizyty we Włoszech (od pewnego momentu tamtejszy reżim dofinansowywał ruch Mosleya), a później w Niemczech. I tu znów wracamy do lady Diany.

Już pierwsze jej spotkania z Oswaldem Mosleyem naznaczone były polityką. Rodzina Mitfordów zawsze była rozpolitykowana, przejawiała skłonność do skrajności i radykalizmów, toteż lata 30. wydawały się wprost stworzone dla nich. Siostry Mitford stały się regularnymi gośćmi dorocznych parteitagów w Norymberdze, Unity nawet przemawiała

eprasa.pl 1924b09a80



Adolf Hitler i Unity Mitford
FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

na jednym z nich jako „gość z Anglii". Jej starsza siostra była zresztą nie mniej radykalna, obie przynależały do towarzyskiego kręgu elit niemieckiej Rzeszy. Ukoronowaniem przyjaźni z Adolfem Hitlerem oraz z małżeństwem Magdą i Josephem Goebbelsami był sekretny ślub zawarty w domu tych ostatnich. Sekretny, bo chociaż Diana była rozwiedziona, a Oswald Mosley niedawno owdowiał, to w konserwatywnej Wielkie Brytanii informacja o powtórnym ożenku mogła być kłopotliwa dla aspirującego polityka.

Kiedy w końca sprawa małżeństwa ujrzała światło dzienne, wybuchły kolejne skandale. „Wujaszek Wolf" powoli przestawał być tylko kolejnym intrygującym mężem stanu, jego politykę krytykowali już nie tylko komuniści. Po Monachium stał się zaś symbolem nadchodzącej wojny i konfliktu w Europie. A jednocześnie połowa lat 30. to rozbłysk (jak się okazało – niebyt długi) gwiazdy Oswalda Mosleya, który wcześniej powołał do życia Brytyjską Unię Faszystów (BUF), a ta szybko stała się ruchem masowym. Czarne koszule stały się modne, na spotkania z Przywódcą (The Leader) – bo tak nazywano Mosleya – przychodziły tysiące ludzi. W obliczu wielkiego kryzysu oferta faszystów, odwołujących się do idei korporacyjnej i solidaryzmu społecznego, a także atakująca wielki kapitał i komunizm, wydawała się atrakcyjna.

Z jednej strony do partii dołączali robotnicy i przedstawiciele klasy średniej, z drugiej – urok sir Oswalda przyciągał przedstawicieli jego kręgów. Nie bez znaczenia było także zaangażowanie Diany, która często brała udział w mityngach politycznych u boku męża. Także m.in. dzięki niej wokół BUF skupiło się



Unity Mitford
FOT. WIKIPEDIA/WILLIAM ACTON

pokaźne grono intelektualistów i literatów, wśród których znaleźli się poeta Roy Campbell, malarz Wyndham Lewis, pisarze A.K. Chesterton (kuzyn G.K. Chestertona) i Henry Williamson, filozof Alexander Raven Thomson, a nawet T.E. Lawrence, słynny „Lawrence z Arabii".

W szczytowym momencie BUF liczyła 50 tys. członków, miała za sobą wpływowe media, mniej lub bardziej otwarcie wspierały ją część brytyjskiego establishmentu (mówiono nawet o następcy tronu Edwardzie, księciu Walii) oraz tysiące zwykłych Brytyjczyków zakładających czarne koszule oraz przychodzących na spotkania. I nagle tryby tej skazanej jakoby na sukces machiny stanęły. Mosley przypisywał to interwencji aparatu państwa i społeczności żydowskiej, w każdym razie spotkania BUF coraz częściej były zakłócane przez przeciwników politycznych (w tym najsłynniejsza „bitwa przy Cable Street", gdy faszyści i antyfaszyści starli się w londyńskiej dzielnicy East End), wspierający dotychczas ruch „Daily Mail" wycofał swoje poparcie, a liczebność partii spadała, zamiast rosnąć. Wybory w 1935 r., oddane walkowerem, tylko potwierdziły tę tendencję.

W dodatku niemieckie przyjaźnie i wyznawana ideologia nie przysparzały Mosleyom przyjaciół – wręcz przeciwnie, zaczęli się spotykać z ostracyzmem, do czego przyczyniły się zapewne antysemickie wątki coraz częściej pojawiające się w propagandzie Unii. Co ciekawe, Mosleyowie nawet wtedy utrzymywali relacje towarzyskie ze swoimi żydowskimi przyjaciółmi, co najwyżej podczas przyjęcia padała rzucona mimochodem uwaga szefa BUF, że jego jutrzejsze przemówienie „może się im nie spodobać". Przez całe lata 30. konkurencyjne wobec BUF ugrupowania faszystowskie nazywały grupę Mosleya „British Jewnion of Fascits" („Brytyjska Żydunia Faszystów") albo po prostu „koszernymi faszystami".

Rozporządzenie 18B

Mimo podejmowanych przez Mosleyów wysiłków partia nigdy nie wróciła już do dawnej popularności. Wymiernych skutków nie przyniosło wsparcie, także finansowe (tu pośrednikiem była oczywiście Diana Mosley) ze strony nazistowskich Niemiec. Wybuch wojny spowodował kolejne zawirowania w życiu Diany, z których najtragiczniejszym była z pewnością nieudana próba samobójcza jej siostry Unity, która w ten sposób chciała zaprotestować przeciwko konfliktowi Wielkiej Brytanii i Niemiec. Dziewczynę odratowano, ale nigdy już nie wróciła do dawnej formy fizycznej i psychicznej, zmarła w 1948 r. (wcześniej, podczas walk w Birmie, zginął ich ukochany brat Tom).

Po wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Wielką Brytanię Oswald Mosley agitował na rzecz pokoju, namawiając członków swojej partii – bez względu na osąd źródeł konfliktu – do lojalno-

eprasa.pl 1924b09a80

ści względem Korony. Władze podjęły jednak decyzję, by opierając się na tzw. rozporządzeniu 18B (przyznawało ministrowi spraw wewnętrznych prawo osadzenia w areszcie podejrzanych o „czyny szkodliwe dla bezpieczeństwa publicznego lub obrony Królestwa" na czas nieokreślony, bez wyroku sądowego), aresztować jego i innych „politycznie podejrzanych". Oprócz czołowych polityków BUF byli to m.in. irlandzcy działacze republikańscy, kilku naukowców, a nawet słynny dyrygent Reginald Goodall, miłośnik oper Wagnera.

Aresztowano także Dianę, w tajnym raporcie MI5 określoną jako „dalece bardziej inteligentną i niebezpieczną niż jej mąż". Niecałe trzy miesiące wcześniej urodziła Mosleyowi drugiego syna, Maxa (przyszłego szefa Fédération Internationale de l'Automobile), ale w londyńskim więzieniu Holloway miała spędzić ponad trzy lata, swoje dzieci widząc jedynie podczas krótkich odwiedzin. Ten okres życia wspominała jako najtrudniejszy. Nieogrzewane cele, podłe jedzenie, rozłąka z najbliższymi – dla arystokratki przyzwyczajonej do służby, wykwintnych posiłków i zbytku było to spore wyzwanie. Diana zachowała jednak swoisty hart, dla współwięźniarek była oparciem i dobrym duchem. Po półtora roku, dzięki interwencji przyjaciół, zgodzono się na dzielenie wspólnej celi przez uwięzione małżeństwa. Dopiero w listopadzie 1943 r. Diana i Oswald Mosleyowie, ze względu na pogarszający się stan zdrowia, zostali warunkowo zwolnieni, zamieniono im więzienie na areszt domowy. W prasie trwała nieustająca kampania przeciwko Mosleyom, wpisująca się w działania propagandowe tak szeroko zakrojone, że skłoniły George'a Orwella do napisania słynnej powieści „Rok 1984".

Europejczycy

Po wojnie rodzina przeprowadziła się do Irlandii, przez część roku mieszkała także we Francji. Mosley po raz kolejny podjął próbę aktywności politycznej, tworząc nową partię – Union Movement. Jej ideologia oparta była na postulatach antyimigranckich i antykomunistycznych, ale przede wszystkim na koncepcji „Narodu Europy", czyli pogłębionej integracji europejskiej, przełamującej wojenne podziały i wspólnie czerpiącej z kolonialnych zasobów Afryki tak, by przywrócić wielkość Wielkiej Brytanii i Starego Kontynentu w obliczu ekspansji mocarstw pozaeuropejskich. I chociaż Union Movement w żadnym stopniu nie powtórzył sukcesu BUF, to znaczną popularność zdobył redagowany przez Dianę magazyn polityczno-kulturalny „The European", na którego łamach pisali poza Mosleyami także m.in. Roy Campbell i Henry Williamson, a swoje „Cantos" publikował tam sam Ezra Pound. Diana publikowała recenzje książek i eseje także na łamach „Evening Standard", wydała z sukcesem wspomnienia „A Life of Contrasts" (1977) i „Loved Ones" (1985), przetłumaczyła „Fausta" J.W. Goethego.

Obdarzona długim życiem obserwowała odchodzenie kolejnych najbliższych. W grudniu 1980 r. zmarł sir Oswald Mosley. Żegnając go czule, pisała: „Tak naprawdę nigdy nie miał możliwości pokazać, co potrafi. Nigdy się nie dowiemy, czy wykorzystałby zdobytą władzę dobrze czy źle. Znając go, uwielbiając i kochając, nie mam żadnych wątpliwości, jak powinna brzmieć odpowiedź". Była ze swym mężem do końca także w tym sensie, że nigdy nie wycofała się ani z wcześniejszych poglądów, ani z wyborów życiowych. Skandalem zakończył się wywiad dla BBC w 1989 r., w którym zadeklarowała to otwarcie.

Zmarła w Paryżu 11 sierpnia 2003 r. Pod koniec życia prawie całkowicie utraciła słuch, widziała coraz gorzej, zachowała jednak ostrość umysłu i sądów. W jednym z ostatnich wywiadów, pytana o sukcesy Jeana-Marie Le Pena (w 2002 r. przeszedł we Francji do drugiej tury wyborów prezydenckich), odpowiedziała: „Przypomina mi tych starych, drętwych, eurosceptycznych torysów... Reprezentuje sobą wszystko, czego nie znoszę najbardziej. Pod każdym względem, a zwłaszcza w odniesieniu do Europy, jego poglądy są przeciwieństwem moich. Mój mąż był oddanym Europejczykiem i nigdy nie związałby się z kimś takim jak Le Pen".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pisząc artykuł, korzystałem m.in. z książek Anne de Courcy „Diana Mosley" (2005) oraz Macieja Cesarza „Od Większej Brytanii do zjednoczonej Europy" (2006), a także ze wspomnień lady Diany Mosley „A Life of Contrasts" (1977) i „Loved Ones" (1985).



Asthall Manor, dom Mitfordów FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 1924b09a80



Krzysztof Masłoń

Temu świetnemu lirykowi zabrakło czasu, by swą poezję wznieść na absolutne wyżyny

W jednym z „4 wierszy o wojnie" pisał:

A ponad miastem, w ciszy niedzielnej ukrytem
Zaświszczą ciężkie bomby złowrogim skowytem,
Zatrzaskają motory w nieba oddaleniu...
... I nie zostanie z miasta kamień na kamieniu.

Ten profetyczny utwór Władysława Sebyły powstał dziewięć lat przed wybuchem wojny, w 1930 r. Gustaw Herling-Grudziński pisał: „Mit katastrofizmu Sebyła dopuścił do siebie bez zastrzeżeń. I nie, aby tak jak Gałczyński, snuć na tej tkance samowystarczalne wizje poetyckie. »Pieśni szczurołapa« są krzykiem przerażonego, nawiedzonego, przeświadczonego o tym, że żyje na wulkanie – nigdy śpiewem »grającego słodko na flecie«".

Po wojnie milczano o nim aż do 1956 r., gdy w Czytelniku ukazały się jego „Wiersze wybrane" w wyborze i ze wstępem innego poety z tej samej grupy literackiej Kwadryga, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego. Ale nie zapomniał też o tym ważnym dla siebie twórcy Czesław Miłosz, wspominając go w wydanym w 1957 r. „Traktacie poetyckim":

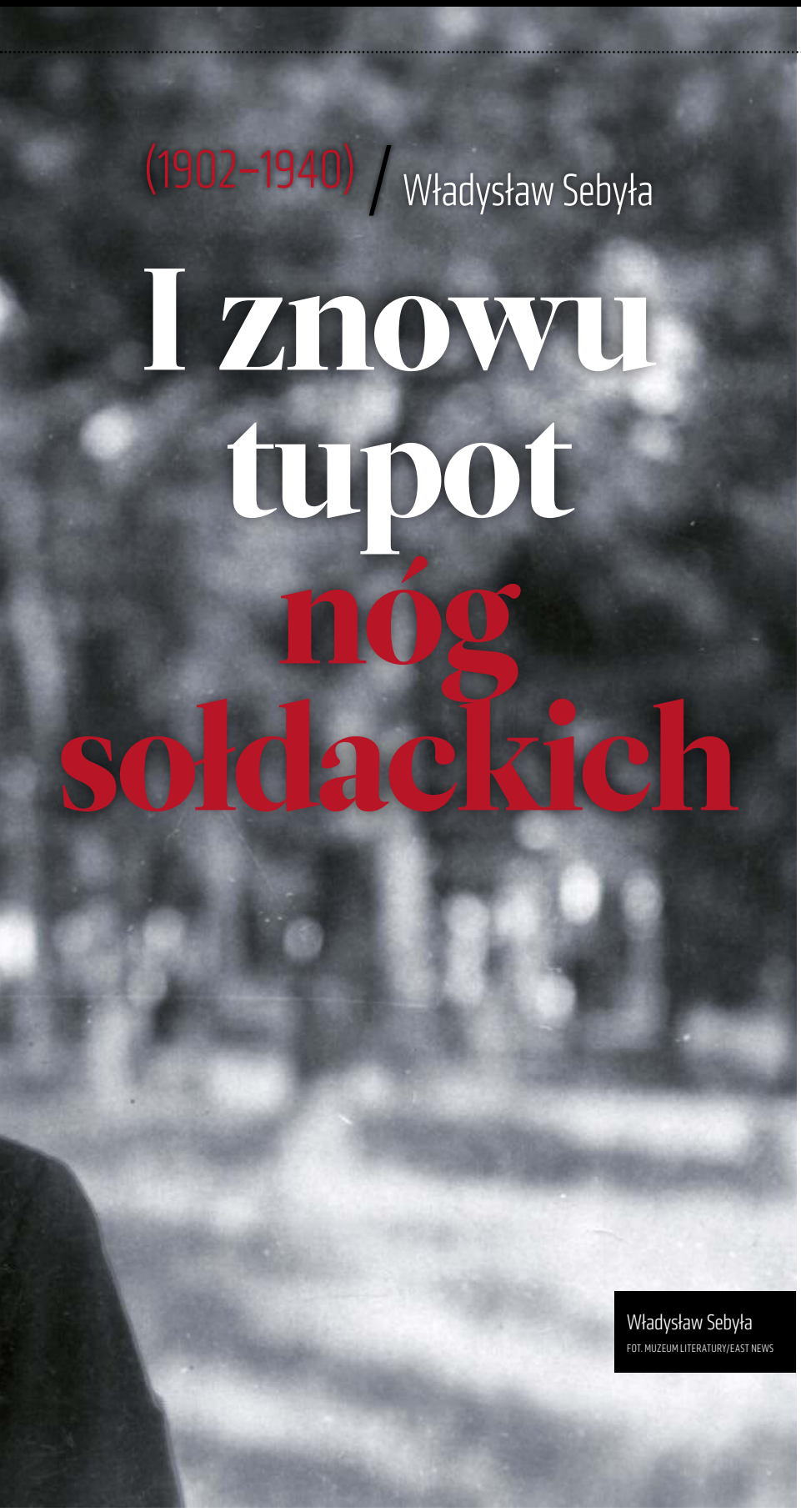
Ostatni wiersz epoki był w druku.
A jego autor, Władysław Sebyła,
Lubił wieczorem wyjąć z szafy skrzypce
Kładąc futerał przy tomach Norwida.
Haftki munduru wtedy miał rozpięte
(Bo na kolei pracował, na Pradze).
W tym swoim wierszu, jakby testamencie,
Do Światowida przyrównał ojczyznę.
Zbliża się do niej świst i werbli trzask
Od równin wschodu i równin zachodu
A ona śni o brzęku swoich pszczół,
O popołudniach w hesperyjskich sadach.
Czy za to strzelą w tył głowy Sebyle
I pochowają go w smoleńskim lesie?
Jaki to był ten niemający tytułu „ostatni wiersz epoki"?



eprasa.pl 1924b09a80

(1902–1940) / Władysław Sebyła

I znowu tupot nóg sołdackich



Władysław Sebyła
FOT. MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS

I znowu tupot nóg sołdackich,
i grzmiących sotni gwizd kozackich,
gwiaździsty nad Europą but,
i mrowi się ludami wschód.
A na zachodzie werbli trzask,
rozgwar motorów z nieboskłonu
i krok miarowy – wzywa łask
boga mocniejszych batalionów.
Ojczyzno moja, a ty trwasz
w żelaznym pogrążona gwarze,
światowidową mroczną twarz
zwracając w cztery strony wraże.
I marzy ci się chleb i miód,
i szklane domy w rodnych sadach,
i szczęśliwości pełen trud,
pod gałęziami lip biesiada.
A niebo wokół się czerwieni,
ocknął się kontuszowy trup,
przystają mędrcy przerażeni,
opustoszały widząc grób.
I znów? Czy znów? Kołowrót dziejów
w płonący krąg porywa nas,
skończyły się sny kołodziejów,
stalowy szumi groźny las.
Żelazne dęby dudnią głucho,
toczy się mur, żelazny bór.
Nad konarami, zawieruchą
Znów szumi wiatr, znów śpiewa chór.
O mój rozmarynie…

Po latach, w noblowskim przemówieniu w grudniu 1980 r. w Sztokholmie, powie Miłosz: „Antologie poezji polskiej podają nazwiska moich przyjaciół, Władysława Sebyły i Lecha Piwowara, oraz datę ich śmierci, 1940. Jest absurdem, że nie wolno napisać, jak zginęli, chociaż każdy w Polsce zna prawdę: podzielili los wielu tysięcy oficerów polskich, rozbrojonych i internowanych przez ówczesnego wspólnika Hitlera, i są pochowani w masowym grobie”.

A żona poety, Sabina, 4 listopada 1943 r. zapisała: „Urodziny Macieja. Jaką mój syn [przyszedł na świat w 1929 r. – przyp. K.M.] ma tę chłopięcą młodość? Przyszedł do mnie, oparł palce rąk o moje ramiona i powiedział, nawet spokojnie: »Wiesz, mama, że ja wciąż widzę ojca, któremu strzelają w kark«”.

Gdzie zginął poeta? W wykazie więźniów wysłanych ze Starobielska na śmierć figuruje pod numerem 3168 z adnotacją: „Sebyła Władysław, ur. 1902, s. Michała, ppor. rezerwy, redaktor”. Najprawdopodobniej zamordowany został w piwnicy NKWD w Charkowie,

eprasa.pl 1924b09a80

ale niewykluczone, że stało się to w innym miejscu zbiorowych egzekucji dokonanych przez Sowietów, w pobliżu osady Piatichatki.

Bój niedaleki, postój niebliski

Kiedy w 1921 r. Sebyła zjawił się w Warszawie, studiować zaczął, za radą ojca, na Politechnice, niebawem jednak przeniósł się na uniwersytecką polonistykę, której zresztą nie ukończył. Wsiąknął za to w środowisko literackie, a konkretnie wraz z kolegami z koła literackiego Złocień dołączył do grupy literackiej Kwadryga, już po roku zostając jednym z redaktorów pisma o tym samym tytule, a po odbyciu służby wojskowej i ukończeniu podchorążówki zaczął nawet Kwadrygą, w latach 1929–1931, kierować.

Jego doświadczenia wojskowe zaowocowały poetycko utworami pacyfistycznymi, z których całkiem sporą popularność zdobył wiersz „Piechota maszeruje":

Marsz – marsz – człap – człap –
Błoto – błoto – błoto – błoto –
Dziurawe buty, śmierdzące onuce,
Schlapane portki, schlastane pyski.
We krwi się je spierze – krew je przepłucze,
Bój niedaleki, postój niebliski.
Marsz – marsz – człap – człap. –

Chlupią kałuże, pluszczą kałuże,
Kapie błoto z przydrożnych drzew,
Skorupa z mułu schnie na skórze,
Śmierdzi w kolumnie, śmierdzi, psiakrew!

Marsz – marsz – człap – człap.
[...]

W 1937 r. w powstałej wówczas „Nowej Kwadrydze" Sebyły już nie było, zdaniem Jana Józefa Lipskiego dlatego, że poeta ewoluował na prawo, czego dowodzić miała ponoć jego współpraca z czasopismami „Zet" i „Pion". Bardziej prawdopodobne jest co innego: otóż pismo redagowali m.in. podejrzewani o współpracę z NKWD Lucjan Szenwald i Paweł Hoffman. Czy tam również należałoby szukać źródła finansowania pisma – trudno orzec, w każdym razie odmowa Sebyły współpracowania z tym tytułem nabiera zgoła innego charakteru, co sugeruje – powołując się na opinie S.R. Dobrowolskiego i Artura Sandauera – Bohdan Urbankowski. Bo jeśli chodzi o poglądy polityczne poety, to po pierwsze, nie afiszował się z nimi, po drugie zaś, kiedy jedyny raz zabrał głos w sprawach publicznych, był to akurat protest w sprawie brzeskiej. Prawicowymi sympatiami Sebyły próbował Lipski usprawiedliwić nieobecność naczelnego redaktora „Kwadrygi" w nowym tytule, i to nie tylko w składzie redakcji, lecz także na łamach pisma.









Bez większego sensu przypisywano twórcy „Spowiedzi szczurołapa" mistycyzm, tymczasem – akcentował Wiesław Paweł Szymański w szkicu „Liryka nurtu ciemnego" – „poezja Sebyły nic wspólnego z mistycyzmem nie miała. Zarzut taki powstał z niezrozumienia funkcji »kosmicznych obrazów« w jego liryce, z niezrozumienia po prostu symbolicznej poetyki [...]".

A środowisko „Kwadrygi" świetnie sportretował Zbigniew Uniłowski w głośnym „Wspólnym pokoju", w którym Sebyła pojawia się jako Brocki. Żona poety w swoich wspomnieniach do ścisłej grupy „Kwadrygi" zalicza, oprócz męża, Mieczysława Bibrowskiego, Stanisława Ciesielczuka, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Stefana Flukowskiego, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Marię Lewinównę, Aleksandra Maliszewskiego, Mariana Piechala, Ninę Rydzewską, Stanisława Marię Salińskiego, Lucjana Szenwalda, Zbigniewa Uniłowskiego i Andrzeja Wolicę.

To Salińskiego, pamiętnego Dziadzię ze „Wspólnego pokoju", pozdrawiał Sebyła w ostatnim (jednym z dwóch) liście do żony ze Starobielska, datowanym 9 marca 1940 r. „Następną kartkę napiszę – obiecywał – prawdopodobnie w kwietniu". Nigdy ta zapowiedziana kartka nie nadeszła.

Cóż jest s ł o w o?

Gustaw Herling-Grudziński wywodził poezję Sebyły od Słowackiego, zaprzyjaźniony z poetą Bolesław Miciński, filozof i poeta, od romantyków w ogóle. I chyba rzeczywiście bliższy był on romantykom niż modernistom z całym ich symbolizmem i ekspresjonizmem. W końcu w dedykowanym Janowi Lechoniowi „Koncercie egotycznym" pisał:

Bo cóż jest s ł o w o? Tylko cień, rzucony
z ducha człowieka na otchłanie rzeczy.
Cóż mi, że przedmiot c i e n i e m o k r e ś l o n y
skoro istnieniem swym ducha kaleczy?
Jak, słońcem będąc, dojrzeć cień we wnękach
głazów spiętrzonych w blasku? – To jest męka.

Cóż jest szukanie? Zgadywanie pustki,
potykanie się w mroku o coś, co istnieje,
zasłuchanie w nieznanej rzeki srebrne pluski,
przewidywanie, kiedy rozednieje,
i mocowanie się z nocy aniołem,
i posypanie głowy w pokorze popiołem.

Cóż czyn? Jeżeli czyn jest p r z e d – z n a c z e n i e m,
a myśl wolnością, zdążającą w trudzie,
skroś ścieżek, ostrych usłanym krzemieniem,
ku wodzie ściekającej z tajemniczych studzien;
to tylko wtedy czyn się w wolności zachowa,
gdy z myśli słowo, a świat powstaje ze słowa.

Cóż powiedzieć? Czysty Norwid.

Prośba ze Starobielska

Władysław Sebyła urodził się 6 lutego 1902 r. w Kłobucku pod Częstochową. Rok później przyszedł na świat jego brat, Stefan, a w roku następnym siostra, która po roku umarła i odtąd jedna tragedia gonić będzie drugą. W tym samym 1905 r., w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, na skutek komplikacji po urodzeniu kolejnej córki, umiera matka przyszłego poety Henryka Sebyłowa, a kilka tygodni później śmierć zabiera i to najmłodsze dziecko.

Ojciec Władka i Stefana Sebyłów, kierownik szkoły powszechnej, żeni się po

eprasa.pl 1924b09a80



Grupa poetycka Kwadryga. Władysław Sebyła w pierwszym rzędzie, pierwszy z prawej
FOT. MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS

raz wtóry już w Będzinie, dokąd przeprowadziła się rodzina. Władysław kończy tam podstawówkę i kontynuuje naukę w Szkole Realnej w Sosnowcu, w której – jako że było to jeszcze Sosnowieckoje Realnoje Uczyliszcze – nie wolno było rozmawiać po polsku. Wojna zmienia okupanta, a w ślad za tym sytuację edukacyjną chłopca, który dalszą naukę odbywa w Sosnowcu-Sielcu w nowo otwartym przy kopalni polskim Pierwszym Ośmioklasowym Gimnazjum Męskim. „Jego młodziutki brat, Stefan – pisze Elżbieta Cichla-Czarniawska w książce »Władysław Sebyła. Życie i twórczość« – nie mogąc znieść atmosfery domu rządzonego przez macochę, zaczyna w tym czasie samodzielne życie. Władysław nadal pozostaje przy rodzicach [? – przyp. K.M.], uczy się i w tajemnicy przed otoczeniem próbuje pisać. Jednak nim zda w 1921 r. maturę, weźmie udział w drugim powstaniu śląskim. Sfałszował nawet własnoręcznie świadectwo urodzenia, dodając sobie dwa lata".

„Udział w powstaniu – pisze dalej Elżbieta Cichla-Czarniawska – zdaje się być jedynym w życiu Sebyły pełnym zaakceptowaniem sensu walki zbrojnej i sensu działań wojskowych w ogóle. Późniejsze świadectwa w formie epistolarnej i, co najważniejsze, poetyckiej, będą dobitnie świadczyły o jego postawie pacyfistycznej, antymilitarnej. Złośliwy los sprawi, że w przyszłości nie tak znów dalekiej wojna dopadnie jednak poetę i śmiertelnie go ugodzi".

Podporucznik rezerwy Władysław Sebyła został zmobilizowany 28 sierpnia 1939 r. Wieczorem tego samego dnia opuścił mieszkanie przy ulicy Brzeskiej 5 na Pradze, zostawiając list do żony i syna, w którym zawiadamiał, że jedzie do Hancewicz w województwie poleskim, niedaleko granicy z ZSRS. Przydzielony do pułku stacjonującego w Pułtusku został odkomenderowany do Korpusu Ochrony Pogranicza dla uzupełnienia stanu osobowego tej formacji. „Rodzina długo czekała na wiadomość – czytamy w książce »Władysław Sebyła. Życie i twórczość«. – Podobno widziano go w obozie rozdzielczym w Szepietówce. Wreszcie 2 stycznia 1940 r. nadszedł list ze Starobielska, pisany 29 listopada 1939. Poeta informuje w nim, że był lekko ranny, i wyraża zaniepokojenie o los bliskich. Prosi o przysłanie swetra, rękawiczek, bielizny. Kończy list słowami: »Może przecież niedługo się zobaczymy«. Żona natychmiast wysyła rzeczy, jednak zwrócono je, gdyż Czerwony Krzyż nie zdołał przekazać paczki adresatowi".

Zabrakło mu czasu

Ważnym wydarzeniem w jego życiu była dłuższa podróż do Włoch i Francji, w którą wybrał się po uzyskaniu stypendium z Funduszu Kultury Narodowej. Włochy zafascynowały go, Paryż natomiast początkowo bardzo mu się nie spodobał, ale to tam napisał swój znakomity poemat „Młyny", a w końcu zamierzał nawet przeprowadzić się nad Sekwanę na stałe. Z planów tych nic nie wyszło, a w kraju pochłaniała go coraz bardziej praca literacka. Wszedł w skład komitetu redakcyjnego czasopisma „Znak", tłumaczył Puszkina, a w 1935 r. – pisze Wojciech Bonowicz – „podjął pracę w Polskim Radiu, gdzie co dwa tygodnie omawiał nowe tomiki poetyckie. Był recenzentem wnikliwym, a niekiedy bezlitosnym, co sprowadziło nań nawet kłopoty: jeden z autorów poczuł się do tego stopnia urażony określeniami użytymi przez Sebyłę, że podał go do sądu. Sąd uznał poetę winnym i skazał go na dwa tygodnie aresztu z zawieszeniem, pięćdziesiąt złotych grzywny i sto złotych pokutnego. Nie pomogło poecie nawet wsparcie wybitnego krytyka Karola Wiktora Zawodzińskiego".

Był utalentowany artystycznie, i to wszechstronnie. Jeszcze w dzieciństwie otrzymał od ojca skrzypce i grał na nich z upodobaniem, a i ze znawstwem. Muzykował z przyjaciółmi, wykonując ambitny repertuar, np. grając w duecie z Mieczysławem Giergielewiczem własne opracowanie „Walca cis-moll" op. 64 nr 2 Chopina. Sam też komponował, ale nie ostał się zapis żadnych jego utworów. Zachowało się natomiast – cytuję Jana Józefa Lipskiego – „ok. 30 jego obrazów i szkiców, świadczących o dużych, choć nie rozwijanych studiami, uzdolnień".

Zasadniczy dla jego twórczości dorobek poetycki też nie jest specjalnie imponujący. Temu świetnemu lirykowi najzwyczajniej w świecie zabrakło czasu, by swą poezję wznieść na absolutne wyżyny. Zdążył Sebyła zasygnalizować nam jedynie swoje możliwości, ukazując skalę literackiego talentu. „Po Czechowiczu i Miłoszu był to największy poeta dwudziestolecia – powie po latach Jerzy Zawieyski w rozmowie ze Zbigniewem Herbertem. A jego katastroficzny pesymizm – napisze Andrzej Z. Makowiecki, który opracował wydane w 1981 r. przez PIW „Poezje zebrane" Sebyły – „w znacznej mierze wyprzedził podobne treści w poezji wileńskiej awangardy. Był nadto bardziej wielopłaszczyznowy, obejmujący rozmaite zakresy ludzkiej aktywności w świecie".

W 1927 r. wraz z Aleksandrem Maliszewskim wydał tom „Poezji", trzy lata później, już samodzielnie, „Pieśni szczurołapa", w 1934 r. „Koncert egotyczny" i w 1938 r. „Obrazy myśli", w których znalazły się wiersze pomieszczone wcześniej w szóstym numerze „Arkuszów poetyckich" redagowanych przez Józefa Czechowicza. Tyle – tylko i aż.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1924b09a80



Jubileusz pracy pisarskiej Wacława Sieroszewskiego (siedzi pierwszy z lewej) 1927 r. FOT. NAC

Książka miesiąca / Konspiratorzy i żołnierze

Pisarze o niepodległości

Szkice Marka Klecela są znakomitym przewodnikiem po życiorysach i twórczości kilkunastu pisarzy, którzy tematem swoich książek uczynili polskie losy w XX w. – od rebelii lat 1905–1907 do czasów drugiej wojny światowej. Pisarze ci kontynuowali w odmiennych warunkach misję z poprzedniego stulecia, o której autor pisze tak: „W czasach zaborów literatura podjęła swoistą pozaliteracką służbę utrzymywania pamięci zbiorowej, kształtowania postaw Polaków w duchu patriotyzmu, pielęgnowania języka, tworzenia wzorców osobowych oraz wspólnotowych postaw i wartości”.

Bohaterowie szkiców Klecela nie byli jedynie świadkami, chłodnymi obserwatorami historycznych wydarzeń, które później przedstawiali w powieściowej, poetyckiej lub reporterskiej formie. Byli bowiem czynnie zaangażowani. Walczyli o odzyskanie niepodległości, jako konspiratorzy i żołnierze, a za swą działalność trafiali na zsyłkę, do więzień i obozów.

Książki, które napisali, jak uważa Klecel, „przekazywały ich indywidualne doświadczenia, a zarazem były szerszym i pogłębionym świadectwem przełomowych czasów. Dzięki zaś literackiej formie i sposobowi opowiadania o zbiorowych losach i poszczególnych postaciach przekazywały prawdę o tamtych przeżyciach, pozwalały czytelnikom aktualnym i przyszłym uczestniczyć w wydarzeniach, które z czasem się zacierały, ale w literaturze zyskiwały trwalszą, ugruntowaną postać”.

Wacław Sieroszewski i Andrzej Strug byli członkami PPS, zesłańcami i żołnierzami Legionów. Strug w niepatetyczny sposób pisał o bojowcach PPS w książce „Dzieje jednego pocisku”. Sieroszewski napisał pierwszą biografię Piłsudskiego, tym cenniejszą, że wykorzystał rozmowy z Komendantem. Wplótł w nią opis pierwszych bojów strzelców i legionistów. Legendę Piłsudskiego i I Brygady tworzył Juliusz Kaden-Bandrowski, także żołnierz Legionów w książce „Piłsudczycy” wydanej już w 1915 r.

Strug i Kaden są także autorami dwóch ważnych powieści przedstawiających pierwsze lata niepodległości. W „Pokoleniu Marka Świdy” Strug przedstawił mierzenie się kombatantów z trudną rzeczywistością, a w „Generale Barczu” Kaden dał obraz politycznych sporów o kształt Rzeczypospolitej.

Wybitną książką o wojnie z bolszewicką Rosją jest „W polu” Stanisława Rembeka, powieść niemal autobiograficzna, przedstawiającą brutalność i koszmar wojny. Taki też ton – lecz nie stroniąc od patosu – prezentuje proza innego kombatanta, Eugeniusza Małaczewskiego, a także, inaczej, „Lewa wolna” Józefa Mackiewicza. Dramatyczne przeżycia z pogromów polskich dworów na Ukrainie w latach 1917–1918 przedstawiła w „Pożodze” mieszkanka jednego z nich – Zofia Kossak-Szczucka. Były to wydarzenia, które poprzedzały rzeź wołyńską w 1943 r. i podobnie krwawe zbrodnie na ziemiach lwowskiej, tarnopolskiej i stanisławowskiej rok później.

Wir bolszewickiej rewolucji i wojny domowej w Rosji znakomicie opisali Ferdynand Goetel i Ferdynand Ossendowski. Ten drugi pisarz zasłynął głośną książką „Lenin”, pokazującą grozę systemu komunistycznego. Doświadczyła jej poetka Beata Obertyńska, deportowana ze Lwowa, która pozostawiła świadectwo swoich przeżyć w sowieckim łagrze („W domu niewoli”). Więźniarką niemieckich lagrów była Zofia Kossak-Szczucka, opisała je we wstrząsających wspomnieniach „Z otchłani”.

Dziś to głównie muzea i filmy fabularne kształtują naszą wiedzę i postrzeganie historii, budują tożsamość narodową. Szkice Marka Klecela zachęcają natomiast do sięgnięcia do twórczości opisywanych przez niego pisarzy. A jest ona w wielu przypadkach niestety niesłusznie zapomniana, nieistniejąca w lekturach szkolnych, nieobecna na półkach księgarskich. © ℗ ***Tomasz Stańczyk***



MAREK KLECEL
„PISARZE NIEPODLEGŁOŚCI. SZKICE O LUDZIACH I DZIEŁACH”
IPN

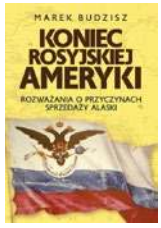
eprasa.pl 1924b09a80

Operacja „Alaska”

Czy umowa uważana za najlepszą transakcję w dziejach Stanów Zjednoczonych mogła okazać się błędem? A czy transakcja, o której zwykło się mówić, że była jedną z najgłupszych decyzji Rosji, mogła być tak naprawdę podjętą „z premedytacją”, dobrze przemyślaną decyzją? Marek Budzisz przekonuje, że popularne poglądy na temat sprzedaży Alaski przez Rosję i oddania jej za bezcen Amerykanom mogą być w dużej mierze błędne.

Autor mierzy się z powszechnie znanym zagadnieniem, proponując zarazem zupełnie inne spojrzenie na nie. Budzisz przedstawia wszystkie najczęściej wymieniane przyczyny, dla których Rosja pozbyła się „rosyjskiej Ameryki”. Podkreśla, że powody te (jak geograficzna odległość pomiędzy stolicą a zamorskimi koloniami, która utrudniała transport, w tym dostawy żywności do słabo rozwiniętych kolonii na Alasce czy też możliwość wybuchu konfliktu dyplomatycznego z USA) są historycznie uprawnione, jednak nie odpowiadają w pełni na pytania o przyczyny „transakcji stulecia”. Budzisz zaznacza jednocześnie, na przekór popularnym opiniom, że sprzedaż Alaski nie była w żadnej mierze decyzją „defensywną”. Wręcz przeciwnie. Wyjście z Ameryki pozwoliło Rosji skupić się na innych kierunkach (bałkańskim i dalekowschodnim) i było elementem agresywnej polityki Petersburga, mającym także na celu wzmocnienie jego pozycji międzynarodowej poprzez zniesienie niekorzystnych dla Rosji postanowień traktatów, które kończyły wojnę krymską (1853–1856).

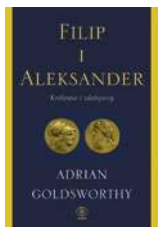
Jak podkreśla autor: „Decyzja o wycofaniu się z kontynentu północnoamerykańskiego jest jedynym w historii Rosji carskiej przypadkiem dobrowolnego odstąpienia części terytorium”. Już sam ten fakt powinien zasygnalizować badaczom, że coś „może być na rzeczy”. Mimo to nikt w Polsce nie zdecydował się do tej pory na głębsze przeanalizowanie tego zagadnienia. Praca Marka Budzisza tym bardziej zasługuje więc na uwagę. Jest to bowiem jedyne tak pełne opracowanie tematu sprzedaży „rosyjskiej Ameryki” w polskojęzycznej literaturze przedmiotu. ©℗ ***Anna Szczepańska***



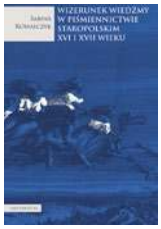
MAREK BUDZISZ
„KONIEC ROSYJSKIEJ AMERYKI. ROZWAŻANIA O PRZYCZYNACH SPRZEDAŻY ALASKI”
ZONA ZERO

Wielkość w DNA

Adrian Goldsworthy, znany i utytułowany historyk, po raz kolejny zabiera czytelników w fascynującą podróż po świecie starożytnym. Tym razem „na warsztat” wziął życiorysy dwóch potężnych greckich władców. Praca Goldsworthy’ego jest w pewien sposób nowatorska. Autor spogląda na Aleksandra Wielkiego nie tylko poprzez jego dokonania i podboje. Widzi w nim przede wszystkim wielkiego syna wielkiego ojca. Filip Macedoński bowiem, zdaniem autora, to postać wciąż przez historię niedoceniona. To dzięki niemu Aleksander mógł później osiągnąć tak wiele. W działaniach syna widać bardzo wyraźnie, że inspirował się polityką swojego ojca. Warto to dostrzec. ©℗ ***ASz***



ADRIAN GOLDSWORTHY
„FILIP I ALEKSANDER. KRÓLOWIE I ZDOBYWCY”
REBIS



SABINA KOWALCZYK
„WIZERUNEK WIEDŹMY W PIŚMIENNICTWIE STAROPOLSKIM XVI I XVIII WIEKU”
UNIVERSITAS

PRZYSTĘPNE WIEDŹMY

Czy Polska była państwem bez stosów? Autorka książki rozprawia się po części z dosłownym rozumieniem tego słynnego powiedzenia pochodzącym z pracy prof. Janusza Tazbira. Sabina Kowalczyk pokazuje, jak dawni mieszkańcy Polski postrzegali czary i kobiety posądzane o „kontakty z diabłem”. Naukowa praca z solidną bibliografią podana w bardzo przystępny sposób. ©℗ ***ASz***



ALEXANDER MIKABERIDZE
„WOJNY NAPOLEOŃSKIE. HISTORIA GLOBALNA”, TOM II
REBIS

NAPOLEON I AMERYKANIE

Druga część opowieści o wojnach, które ukształtowały świat na kolejne 100 lat. Alexander Mikaberidze znów zabiera nas w podróż nie tylko po Europie, lecz także po innych kontynentach, gdzie wojny napoleońskie odcisnęły swoje piętno. Tym razem przeczytamy m.in. o wojnie amerykańsko-brytyjskiej z lat 1812–1815, która zapoczątkowała ekspansję USA na zachód. ©℗ ***(p.w.)***



CATHERINE GRACE KATZ
„CÓRKI JAŁTY”
BO.WIEM

ŻEŃSKA WIELKA TRÓJKA

Nieoczywiste spojrzenie na konferencję z lutego 1945 r. Wraz ze swoimi słynnymi ojcami do Jałty przyjechały też Sarah Churchill, Anna Roosevelt, a także Kathleen Harriman (jej ojciec był ambasadorem USA w ZSRS). Te młode kobiety nie były tylko „dekoracją”. Wszystkie trzy przysłuchiwały się rozmowom, które stworzyły nowy porządek na świecie. ©℗ ***(p.w.)***

eprasa.pl 1924b09a80



Strzelcy w krakowskich Oleandrach, sierpień 1914 r.
FOT. NAC

Piłsudski na czele strzelców

Dokonania Józefa Piłsudskiego w latach 1918–1920 są wszystkim doskonale znane. Koniec jego kariery dowódczej był iście spektakularny. Człowiek, który nigdy nie był przecież zawodowym wojskowym, przeszedł do historii jako pogromca bolszewików. A jak wyglądał początek wojskowej drogi Marszałka? Właśnie o tym jest najnowsza książka Tomasza Stańczyka, redaktora „Historii Do Rzeczy", a także pracownika Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Autor skupia się w swojej pracy na kluczowym roku 1914, gdy odrodził się polski czyn zbrojny. Nic takiego nie miało miejsca na ziemiach polskich od pół wieku, czyli od upadku powstania styczniowego. Piłsudski odegrał w tym oczywiście główną rolę.

Jednak odrodzenie polskiego czynu zbrojnego nie wzięło się „znikąd". Piłsudski najpierw musiał bowiem stoczyć niejedną polityczną bitwę w Polskiej Partii Socjalistycznej o utrzymanie kursu proniepodległościowego. Było to konieczne, ponieważ w czasie rewolucji w Królestwie Polskim w latach 1905–1907 niemała część działaczy partyjnych zaczęła sygnalizować, że należy porzucić kwestię niepodległości. Stronnictwo „młodych" deklarowało zupełnie wprost chęć sfederalizowania ziem polskich z przyszłą socjalistyczną Rosją. W takich okolicznościach doszło do rozłamu i powstała PPS-Frakcja Rewolucyjna, która pod przywództwem Piłsudskiego kontynuowała kurs na wolną Polskę. Jak zauważa autor, Piłsudski zrozumiał wówczas, że opierając się na samych robotnikach, nie sposób będzie wywalczyć upragnionej suwerenności. Proniepodległościowa „baza" musiała być o wiele szersza. Wszystkie warstwy społeczne musiały włączyć się do walki o wolność.



TOMASZ STAŃCZYK
„JÓZEF PIŁSUDSKI I JEGO ŻOŁNIERZE W 1914 ROKU. OD OLEANDRÓW DO ŁOWCZÓWKA"
MUZEUM JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W SULEJÓWKU

Oczywiście najwięcej przeczytamy tu o roku 1914, gdy pierwsze polskie oddziały żołnierzy po 50 latach weszły do akcji. Latem 1914 r., gdy mocarstwa rozbiorowe rzuciły się sobie do gardeł, Piłsudski miał pod swoją komendą ponad 13 tys. przeszkolonych młodych ludzi wchodzących w skład Związków Strzeleckich i Polskich Drużyn Strzeleckich. Już wkrótce miel oni przypomnieć wszystkim, jak potrafią się bić Polacy. ©℗

Piotr Włoczyk

Nasi genialni wodzowie

Polacy walczą nie tylko za własną ojczyznę, ale i za wolność Europy" – tymi słowami gen. Józef Bem tłumaczył w swoich wspomnieniach, dlaczego dołączył do węgierskich powstańców. Ten doskonały polski oficer zasłynął ze świetnego dowodzenia w bitwach pod Iganiami i Ostrołęką w trakcie powstania listopadowego. Nie dziwmy się więc, że po przedarciu się na Węgry gen. Bem został mianowany głównodowodzącym wojskami węgierskimi w Siedmiogrodzie. W niedługim czasie Polak odniósł 33 kapitalne zwycięstwa nad Austriakami, zyskując wielką sławę wśród węgierskich powstańców. Jego żołnierze autentycznie go uwielbiali. „Bemowi zawdzięczam więcej niż ojcu. Ojciec dał mi życie, a Bem honor" – powiedział o gen. Bemie Sándor Petőfi, który był jego adiutantem.

Po upadku powstania gen. Bem przedostał się w żołnierskiej masie do Turcji. Przeszedł tam na islam i stał się Muradem Paszą jedynie po to, by móc wstąpić do tureckiej armii. Gdy umierał na malarię w 1850 r. w syryjskim Aleppo, jego ostatnie słowa brzmiały ponoć: „Polsko, Polsko! Ja cię już nie zbawię". Ta książka to pięknie zilustrowana skarbnica ciekawostek o 21 wybitnych polskich wodzach od Bolesława Chrobrego przez gen. Bema aż po Józefa Piłsudskiego. ©℗

Piotr Włoczyk



EDMUND OPPMAN
„WODZOWIE POLSKI"
BIAŁY KRUK

eprasa.pl 1924b09a80

Prawda o Wierzchowinach

Są w polskiej historii epizody, które obrosły różnymi mitami. Do takich zagadnień należy masakra ukraińskiej ludności ze wsi Wierzchowiny. Od 30 lat historycy próbowali ustalić sprawców owej zbrodni. Część z nich starała się dowieść, że popełniła ją grupa pozorowana komunistycznego aparatu bezpieczeństwa. Czasami pojawiały się informacje o udziale w niej oddziałów partyzanckich Delegatury Sił Zbrojnych lub polskich cywilów z okolicznych miejscowości. Te dywagacje ostatecznie przeciął dr Mariusz Zajączkowski w książce „Wierzchowiny 1945 […]". Historyk wykazał ponad wszelką wątpliwość, że dokonana 6 czerwca 1945 r. pacyfikacja wsi była „dziełem" operującego na Lubelszczyźnie zgrupowania Narodowych Sił Zbrojnych dowodzonego przez kpt. Mieczysława Pazderskiego ps. Szary, składającego się z oddziałów sierż. Bolesława Kulimowskiego „Sokoła", ppor. Jacka Góry „Jacka", st. sierż. Eugeniusza Walewskiego „Zemsty" i por. Romana Jaroszyńskiego „Romana". Do grona osób, które zdaniem autora wydały rozkaz pacyfikacji wsi, należeli kpt. Jan Morawiec „Henryk" i kpt. Władysław Żwirek „Wysoki". Warto zwrócić uwagę, że struktury, do których należeli obaj dowódcy, miały charakter lokalny oraz autonomiczny i nie były podporządkowane (do lipca 1945 r.) Komendzie Głównej NZW.

Ogólny przebieg zdarzeń w Wierzchowinach przedstawiają cytowane przez autora meldunki dowódców NSZ. Były to m.in. meldunki „Szarego" z 9 czerwca 1945 r., „Romana" z 17 czerwca 1945 r. i raport sytuacyjny kpt. Zygmunta Wolanina „Zenona" z 21 czerwca 1945 r. W pierwszym z dokumentów czytamy: „Melduję, że oddziały AS po koncentracji ruszyły pod moim dowództwem w ogólnym kierunku na Zamość, według rozkazu. W drodze postanowiono zlikwidować kilka ukraińskich wsi. Pierwszą i najbliższą miała być wieś Wierzchowiny i Kasiłan. […] Wierzchowiny otoczono ze wszystkich stron i wycięto 194 osoby narodowości ukraińskiej. Kilkunastu zdołało uciec […]".

Dodatkowo na odpowiedzialność struktur NSZ za mord w Wierzchowinach wskazuje artykuł zamieszczony na łamach pisma „Szczerbiec" z 23 czerwca 1945 r., którego autor konstatował: „W walce bezkompromisowej nie zawahamy się przed radykalnymi cięciami. Do Wierzchowin się nie tylko przyznajemy, ale zapowiadamy niejedno Psie Pole hajdamaczyzny".

Wbrew sugestiom wysuwanym niekiedy przez historyków dokumenty ONZ-owskiej proweniencji nie wskazują na jakikolwiek udział w akcji wierzchowińskiej oddziałów DSZ. Wypada nadmienić, że organizacja ta zawarła z OUN-UPA porozumienie 21 maja 1945 r. w przysiółku Żar, a wszystkie grupy partyzanckie DSZ otrzymały zakaz prowadzania jakichkolwiek akcji przeciwko Ukraińcom. Meldunki NSZ sporządzone przez bezpośrednich uczestników akcji w Wierzchowinach określają liczbę ofiar śmiertelnych na 194 osoby. Wśród nich znajdowali się Ukraińcy wyznania prawosławnego oraz świadkowie Jehowy.

Powody podjęcia decyzji o pacyfikacji wsi były złożone i wiązały się z kwestiami natury polityczno-etnicznej. Eksterminacja ludności w Wierzchowinach z jednej strony miała na celu likwidację mieszkańców wsi sympatyzującymi z komunistami, a z drugiej likwidację wszystkich osób pochodzenia ukraińskiego. Kilka dni po masakrze, 10 czerwca 1945 r., zgrupowanie NSZ kpt. „Szarego" zostało rozbite we wsi Huta przez jednostki NKWD wspierane przez renegackie formacje komunistyczne. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

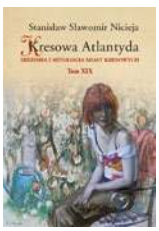


MARIUSZ ZAJĄCZKOWSKI
„WIERZCHOWINY 1945: FAKTY I MITY, WSPÓŁCZESNE DYSKURSY HISTORYCZNE I SPORY INTERPRETACYJNE O SPRAWSTWO ZBRODNI I NARODOWE SIŁY ZBROJNE"
INSTYTUT STUDIÓW POLITYCZNYCH PAN

Gorąco o kresach

Dziewiętnasty tom „Kresowej Atlantydy" jest opowieścią o hetmańskim mieście Żółkwi, ważnych w dziejach Żydów Brodach, policyjnym miasteczku Mosty Wielkie i Czortkowie, w którym jesienią 1939 r. wybuchło antysowieckie powstanie. Jak podkreśla w tej książce autor, jego cykl „to nie tylko jest archeologia historyczna, to ciągle żywy temat, któremu towarzyszy gorąca temperatura dyskusji". Dlatego też prof. Nicieja odnosi się we wstępie do poglądów prof. Daniela Beavuois'go, który wraz ze swymi polskimi wyznawcami forsuje absurdalną tezę o „polskim kolonializmie" na kresach Rzeczypospolitej, pragnie zburzyć rzekomy mit kresowej Arkadii i zastąpić go opowieścią o „okrutnym wyzyskiwaniu ukraińskich chłopów przez polskich panów". Odpowiadając Francuzowi, prof. Nicieja zwraca uwagę, że los ukraińskiego chłopa nie miał nic wspólnego z jego narodowością, lecz był wynikiem stosunków feudalnych, takich samych, jakie były choćby w Wielkopolsce. Za nadużycie historyczne uważa autor „Kresowej Atlantydy" forsowanie tezy, że rzeź wołyńska w 1943 r. była następstwem stosunku „polskich panów" do ukraińskiego chłopstwa. Poza tym autor „Kresowej Atlantydy" stanowczo nie zgadza się na określenie krwawej rozprawy z Polakami, masowych zbrodni mianem jedynie „waśni", a takiego określenia użył jeden z publicystów „Gazety Wyborczej". ©℗

Tomasz Stańczyk



STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA
„KRESOWA ATLANTYDA. HISTORIA I MITOLOGIA MIAST KRESOWYCH", TOM XIX
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO, WYDAWNICTWO MS

eprasa.pl 1924b09a80



Felieton

Czapki z głów

Rafał A. Ziemkiewicz

Esej Melchiora Wańkowicza „Kundlizm” należy do tych dokonań polskiej literatury, o których prawie każdy słyszał, ale których prawie nikt nie czytał. Dowodem jest powszechne w debacie publicznej przypisywanie stworzonemu przez pisarza słowu zupełnie innego sensu, niż on mu je nadał. Prawie każdy, kto używa słowa „kundlizm”, rozumie je intuicyjnie (zwykle intuicję tę wspiera wyrwanym z eseju cytatem, że w Polsce szewc zazdrości prałatowi awansu na biskupa) jako skłonność do, potocznie mówiąc, gryzienia się i obszczekiwania nawzajem. Zupełnie nie o to w eseju chodzi, tylko o wymieszanie we współczesnym pisarzowi Polaku (a czas nic tu nie zmienił, zaznaczmy od razu) dwóch polskich ras: szlachcica z chłopem, pana z chamem, mówiąc brutalnie. Przy czym – jak to zwykle z kundlami – w owej mieszance najsilniej zaznaczyły się gorsze cechy każdej z ras wyjściowych, a nie lepsze.

Odmienność polskiego mentalu od zachodnioeuropejskiego wynika m.in. z tego – to już nie Wańkowicz, to moje spostrzeżenie – że polski „pejzan” (by użyć jednego z ulubionych słów Janusza Szpotańskiego) nigdy się na poważnie nie zbuntował. Na Zachodzie walka klas szła na ostro, topiono we krwi bunty chłopskie, tłuczono jaśnie urodzonych cepami, gilotynowano arystokratów, a u nas – sielsko anielsko, jak chłop już nie mógł wytrzymać, to w odwiecznym polskim bałaganie bez trudu uciekał albo nawet wkręcał się do stanu szlacheckiego. A potem przyszły rozbiory i „pejzan” dostał, za sprawą Kościuszki i Legionów, ofertę symbolicznego uszlachcenia, uznania za równego stanem z rycerstwem, jeśli dołączy do walki o ojczyznę. Zamiast emancypacji klas niższych mieliśmy kooptację ich do klasy wyższej. Fundamentalna różnica.

Mówiąc krótko, na Zachodzie chłopstwo czy mieszczaństwo uczyły gilotynami i widłami klasy wyższe szacunku dla siebie i same sobie uświadamiały, że skoro potrafią pogonić jaśnie panów albo, w innych czasach, ich wykupić, to wcale nie są od nich gorsze. Natomiast polski cham nigdy się nie zbuntował, nigdy nawet jaśnie pana nie wyśmiał, jak czeski Szwejk – przeciwnie, nigdy nie zatracił odruchu zdejmowania przed panem czapki. Natomiast za miarę awansu i sukcesu przyjął uważać, żeby to jemu „czapkowano”.

Wańkowicz – znów wracam do „Kundlizmu” – pisze o rządach sanacji, że była to próba stworzenia nowej szlachty, a raczej wymuszenia na reszcie społeczeństwa folwarcznego szacunku i posłuszeństwa wobec piłsudczyków. Co więcej, ta próba zderzyła się z analogicznym dążeniem pozostałych stronnictw. Zajadły, miejscami krwawy spór międzywojnia był więc nie tyle wojną polityczną, jak wszędzie indziej, ile wojną o szacunek.

Zajadły, miejscami krwawy spór międzywojnia był więc nie tyle wojną polityczną, jak wszędzie indziej, ile wojną o szacunek

Proszę spojrzeć na polską współczesną politykę pod tym kątem, a dopiero zaczniemy ją rozumieć. „Wojna polsko-polska” to nie jest, jak gdzie indziej, wojna o interesy, zyski, nawet włości. Też, ale w tle. To jest przede wszystkim wojna, kto ma przed kim zdejmować czapkę. Wyborcy, którzy wynieśli PiS do władzy i trwają przy nim, nie bacząc na wszelkie fakapy w jej sprawowaniu, zachowują się tak, bo PiS przywrócił im szacunek, którego pozbawiała ich przez ćwierć wieku „szlachta” z Magdalenki. A ta ostatnia jest tak beznadziejną opozycją dlatego, że dla niej rządy PiS to nie polityka, nie przegrane wybory – to bunt chłopski. A chamów nie ma co próbować zrozumieć, a tym bardziej przekonywać, chamów się okłada batem i wsadza w dyby, aż się ukorzą. Całe szczęście, że dziś to już tylko symbole. ©℗

eprasa.pl 1924b09a80



Piotr Semka

Na dosyć już zachmurzonym nieboskłonie relacji Polska – Węgry pojawił się ostatnio nowy gradowy obłok. Oto nowy szef sztabu armii węgierskiej gen. Gábor Böröndi wystąpił w jednym z programów węgierskiej telewizji publicznej i przy okazji wsparł linię pokojową Viktora Orbána. Böröndi przestrzegł, że brak szybkiego zakończenia wojny na Ukrainie może wywołać ogólnoświatowy konflikt, i dla wsparcia tej tezy posłużył się historycznym przykładem. „Pomyślmy o drugiej wojnie światowej. W 1939 r. konflikt polsko-niemiecki zaczął się jako wojna lokalna. Jaki był tego koniec? Tej eskalacji nie udało się zapobiec drogą procesu pokojowego i doprowadziło to do drugiej wojny światowej".

/ Felieton

Nihil novi na Węgrzech

Ta arogancka wypowiedź, pomijając to, że to Niemcy napadły na Polskę i wojna bynajmniej wcale nie była lokalna, skłoniły ambasadora RP w Budapeszcie Sebastiana Kęcieka do napisania ostrego listu prostującego takie domorosłe teorie historyczne. Böröndi na gwałt stara się teraz zażegnać dyplomatyczny skandal i w odpowiedzi na list naszego ambasadora przyznał, że „Polska była ofiarą zbrodniczych i zaplanowanych działań III Rzeszy i Związku Sowieckiego, a w konsekwencji również ich sojuszników". Czy mówiąc o sojusznikach III Rzeszy, Böröndi miał na myśli Słowację, która również napadła wtedy na Polskę, czy też odniósł się do sojuszu Węgier adm. Miklósa Horthyego z Hitlerem? Nie wiemy i nie to jest w tej całej sprawie najważniejsze. Wywiad węgierskiego wojskowego przypomniał, jak różne są tradycje myślenia Polaków i Węgrów o swojej historii w XIX i XX w. Dla Węgrów XIX w. dzieli się na dwie nierówne części. Pierwsza to okres opresji austriackiej, która wywołała powstanie narodowe w latach 1848–1849, w którym notabene Polacy wspierali Węgrów. Druga część XIX w. to okres po 1867 r., kiedy to węgierscy politycy zawarli z Austrią ugodę. Wspólne państwo austro-węgierskie uznawane jest nad Dunajem za złotą epokę węgierskiej chwały i dobrobytu. W tym czasie węgierscy politycy robili, co mogli, aby nie ziściły się propozycje zmierzające do poszerzenia monarchii Franciszka Józefa z modelu dualistycznego do trialistycznego (z udziałem polskiej części imperium Habsburgów).

Ten sam okres 1918–1920 Polakom i Węgrom kojarzy się zupełnie różnie. Dla Polaków to okres odzyskania niepodległości. Dla Węgrów to mroczna i ponura data traktatu w Trianon, który zmuszał Węgry do oddania licznych swoich ziem sąsiednim państwom. W 1867 r. Węgrzy po fatalnych doświadczeniach wcześniejszego powstania nagle zaczęli lubić Austrię i Niemcy, które to kraje wydały im się sojusznikami w walce ze słowianofilstwem licznych narodów madziarskiej części imperium. I w tym kontekście sojusz adm. Horthyego z III Rzeszą nie był dla Węgrów niczym dolegliwym. Jedynym problemem był narastający antagonizm polsko-niemiecki z końca lat 30. Tą kłopotliwą sytuację Węgrzy chcieli jakoś zaklajstrować, np. doprowadzeniem do zrzeczenia się przez Polskę Gdańska, tak aby zakończyć napięcie na linii Warszawa – Berlin i wciągnąć Polskę do paktu antykominternowskiego.

Z punktu widzenia Budapesztu polski upór był jakoś tam zrozumiały, ale dla węgierskich polityków był jednak kłopotem. Obecnie na podobnej zasadzie ostre napięcie wokół wojny na Ukrainie na linii Zachód-Moskwa również jest kłopotem. Węgrom nie bardzo wypada wprost krytykować Ukraińców, ale używają formuły wezwań do jak najszybszego zawarcia zawieszenia broni i poszukiwania jakiegoś rozwiązania. To jednak wiąże się oczekiwaniem, że Ukraińcy machną ręką na Donbas czy Krym w imię zachowania ogólnoeuropejskiego pokoju. Co ciekawe, Węgrzy nie widzą analogii między zachęcaniem Kijowa do przebolenia utraty wschodnich terytoriów Ukrainy a zachętami Ententy z lat 1919–1920 do tego, by Węgry pogodziły się z oddaniem sporych terytoriów Czechosłowacji, Rumunii i Jugosławii. I dlatego patrzą oni na wojnę 1939 r. nie jak na wręcz mistyczne starcie sił zła z dobrem, tylko jak na zacietrzewiony konflikt, w którym Polska wysadziła w powietrze stabilizację w Europie. Towarzyszy temu pewne niedopowiedzenie. Gdyby Polska ustąpiła, Węgry Horthyego mogłyby nadal zbierać pracowicie oderwane ziemie Korony św. Stefana. A dziś, gdyby nie Ukraina, mogłyby sobie spokojnie prowadzić politykę otwarcia na Moskwę i Pekin. ©℗

eprasa.pl 1924b09a80



XVII w. / Jan Kazimierz, Bohdan Chmielnicki, Islam III i Mehmed III Girejowie

Sojusznicy z Bachczysaraju



Tomasz Stańczyk

Tatarzy byli cennym, choć zawodnym sprzymierzeńcem zarówno dla Rzeczypospolitej, jak i zbuntowanych przeciw niej Kozaków

Zanim Bohdan Chmielnicki podjął fatalną w skutkach dla Kozaczyzny – a także dla Rzeczypospolitej – decyzję o poddaniu się pod zwierzchnictwo Rosji (ugoda perejasławska w 1654 r.), buntując się przeciwko królowi Janowi Kazimierzowi, postarał się o sojusznika. Wysłaniec Chmielnickiego stawił się przed obliczem tatarskiego chana Islama Gireja III w Bachczysaraju na Krymie. Kozacy i Tatarzy krymscy byli dla siebie dotąd wrogami, a teraz z inicjatywy Chmielnickiego mieli się stać sprzymierzeńcami przeciw wspólnemu przeciwnikowi – Rzeczypospolitej.

Oferta Kozaków została przyjęta w Bachczysaraju życzliwie, tym bardziej że Chmielnicki zdecydował się uznać zwierzchnictwo Chanatu Krymskiego, a nie było tajemnicą dla chana, że niedawno Władysław IV planował uderzyć na jego państwo. Tatarska kronika tak pisała o stanowisku chana: „Nie jest rzeczą słuszną i właściwą, ażeby ci, którzy o nasz wysoki próg ocierają swoją twarz i składają nam hołd poddańczy, mieli być słabi i bezbronni wobec swoich nieprzyjaciół".

Bardzo to szlachetnie brzmiało, jednak za słowami i decyzją chana, by poprzeć buntowników Chmielnickiego, stała racja stanu. Rzeczpospolita i Rosja postrzegane były jako zagrożenie dla egzystencji Chanatu Krymskiego. Należało więc wykorzystać okazję i osłabić jednego z tych wrogów.

Przeciw Rzeczypospolitej

Chan wsparł Chmielnickiego wojskiem, niezbyt licznym zresztą, pod dowództwem Tuhaj-beja. Tatarzy brali udział w zakończonych klęską sił Rzeczypospolitej bitwach pod Korsuniem i Żółtymi Wodami. Dużej roli w tych zmaganiach nie odegrali, ale

eprasa.pl 1924b09a80



Pałac chanów w Bachczysaraju na Krymie
FOT. WIKIPEDIA/BRITISH LIBRARY

wrócili na Krym bardzo zadowoleni, gdyż z wielkimi łupami. A grabieżcze wyprawy były niemal istotą wojen, które prowadził Chanat Krymski. Kronikarz pisał: „Najwięksi biedacy z plemienia tatarskiego, którzy w życiu swoim owczej skóry nie posiadali, przystroili się w futra sobole i rysie". Jeńcem Tuhaj-beja został hetman Potocki, który odzyskał wolność za ogromny okup.

Tatarzy wraz z Kozakami ruszyli później na Lwów. Sytuacja oblężonych była ciężka, zdecydowali się na rozmowy, chcieli dać okup w zamian za odstąpienie od miasta. We Lwowie nie udało się uzbierać żądanej kwoty 1,2 mln zł – znalazło się tylko 500 tys., a resztę trzeba było wypłacić w towarach. Znakomity historyk Ludwik Kubala, z którego dzieł korzystał Henryk Sienkiewicz, pisał: „Sam Tuhaj-bej odbierał każdego dnia towary, z wielką starannością wagi i ceny pilnując, taksował sam i w miarę, jak



Chan Islam III Girej FOT. WIKIPEDIA

mu się towar podobał, raz łagodnie, raz surowo z radnymi się obchodził".

Połączone siły Kozaków i Tatarów obległy Zbaraż, którego załoga z nadludzkim wysiłkiem broniła się resztkami sił. Sytuację zmieniła nadciągająca odsiecz prowadzona przez Jana Kazimierza. Po dramatycznej bitwie pod Zborowem sytuacja była trudna – wojskom królewskim groziło oblężenie, któremu mogły nie sprostać. Jan Kazimierz zdecydował się więc na rozmowy. Rzekomo, według kronikarza tatarskiego, król miał błagać chana: „Niech mi zostanie sił na tyle, bym mógł żyć w cieniu jego szczęśliwego panowania, bom jest jego najuniżeńszym sługą". Odpowiadając na list Jana Kazimierza, chan Islam III Girej stwierdził: „Dziwujemy się, żeś nas WKM wstąpiwszy na tron żadnym poselstwem nie obesłał i mnie jakby nie za człowieka i państwo moje za nic poczytał, nie pamiętając, że kiedykolwiek przyjaźni mojej będziesz potrzebował".

Miał więc chan okazję do odegrania się za lekceważenie go, ale – oczywiście – ważniejsze były pieniądze. Zażądał haraczy, na co delegowany na rozmowy kanclerz Jerzy Ossoliński odrzekł, że Polacy nie znają tego słowa, a jeśli już, to zwykli brać haracz, a nie dawać. Wezyr chana nie zamierzał kłócić się o słowa – może być to więc podarek, albo upominek. Bolesna i upokarzająca była natomiast zgoda na to, by, wracając na Krym, wojsko tatarskie zabrało ze sobą jasyr. Lecz i to nie było najgorsze. Prawdziwym ciosem było to, że chan w istocie, jako protektor Chmielnickiego, ostrzegał: „Macie nawet nie spojrzeć krzywo na zamki, wsie i okolice należące do Kozaków dnieprzańskich".

Podporządkowanie sobie Kozaczyzny nie było jednak głównym celem chana. Rzeczpospolita była bardzo osłabiona przez bunt Chmielnickiego, w Bachczysaraju myślano więc, jak uderzyć w drugie, groźniejsze niebezpieczeństwo – w Rosję. Padła propozycja wspólnej kampanii przeciw niej z udziałem Rzeczypospolitej, której też powinno zależeć na ukróceniu rosnącej potęgi Moskwy. Tatarzy mieli nadzieję na opanowanie ziem chanatów kazańskiego i astrachańskiego, zagrabionych przez Moskwę. Jednak, jak tłumaczył Leszek Podhorodecki, „przywódcy Rzeczpospolitej zdawali sobie jednak sprawę z kruchych podstaw układu z Kozakami i szykując się do nieuchronnego militarnego rozwiązania problemu ukraińskiego, starali się zapewnić neutralność Moskwy, z którą stosunki były wówczas dość napięte".

W zamian za propozycję uderzenia na Rosję zaproponowano Chanatowi Krymskiemu udział w wojnie z Turcją. Zainteresowało to chana – pomyślny rezultat wojny oznaczałby może całkowite zrzucenie jego podległości wobec Stambułu. W Bachczysaraju myślano jednak o szerszej antytureckiej koalicji, która zagwarantowałaby pokonanie Turcji, ale nic z tego nie wyszło. Chan pozostał więc przy sojuszu z Chmielnickim i udzielił mu znaczącego wsparcia militarnego w 1651 r., gdy wznowiła się wojna polsko-kozacka. Rok ten przyniósł jednak błyskotliwe zwycięstwo Jana Kazimierza, świetnego wodza, nad Kozakami i Tatarami pod Beresteczkiem, a także ugodę białocerkiewską z Chmielnickim, równie jednak krótkotrwałą jak zborowska. W 1652 r. wojska królewskie doznały nie tylko klęski pod Batohem, lecz także pogromu. Kozacy wykupili od Tatarów polskich jeńców, po czym dokonali ich rzezi. Zamordowano wówczas Marka Sobieskiego, brata przyszłego króla Jana III. Niektórych jednak, licząc na większy okup, Tatarzy nie wydali. Tak uratował głowę Stefan Czarniecki.

Przeciw Szwedom

Tatarzy przyczynili się do poskromienia Chmielnickiego, ich czambuły wpadły na ziemie opanowane przez niego, zmusiły kozackiego hetmana do wycofania

eprasa.pl 1924b09a80

się spod obleganego w 1655 r. Lwowa, osaczyły go pod Jezierną. Kozacki hetman zmuszony został do zadeklarowania zerwania z Moskwą, podporządkowania się Janowi Kazimierzowi oraz udzielenia mu pomocy w wojnie ze Szwecją.

„Chmielnicki, jak zawsze, oszukał wszystkich, którzy mu wierzyli, chana, króla i cara" – skomentował Ludwik Kubala. Zyskiem Tatarów było jednak to, że kozacki hetman musiał im wypłacić haracz. Chmielnickiemu ani się śniło wspierać Rzeczpospolitą. A Islam III Girej – wbrew zapowiedziom – nie udzielił jej znaczącego wsparcia wojskowego. Wymawiał się obawą, że notorycznie wiarołomny Chmielnicki zaatakuje Krym. Jednak znacznie ważniejsze od kilku czy kilkunastu tysięcy żołnierzy tatarskich okazało się wrażenie, które wywołała sama zapowiedź chana, że nadciągnie z pomocą dla Jana Kazimierza. Szwedzi byli wręcz przerażeni perspektywą stanięcia z oko z nieznanymi, lecz owianymi legendą dzikimi i okrutnymi wojownikami. Wiedzieli o tym lęku najeźdźców Polacy, skoro więc czambuły tatarskie nie nadeszły, postanowili sami udawać Tatarów i nacierając na Szwedów, krzyczeli: „Hałła, hałła!", co znaczyło: „Allach, Allach!", i aby upodobnić się do tatarskich żołnierzy, wywracali kożuchy na drugą stronę.

Islam III Girej wsparł Jana Kazimierza i wiernych jego stronników także tym, że miał wezwać całą polską szlachtę do powrotu do wierności wobec króla, a opornym zagroził swoim gniewem. Czy to była prawda czy nie, lęk przed chanem wykorzystali jako środek nacisku na ociągających się lub jeszcze tkwiących przy boku najeźdźców sygnatariusze antyszwedzkiej konfederacji tyszowieckiej. Wiara w nadejście pomocy tatarskiej odegrała trudną do przecenienia rolę w podniesieniu się ducha narodowego i wzmocnieniu woli walki z Karolem X Gustawem. Kto wie, czy nie taką samą lub nawet większą niż obrona Częstochowy.

Szwedzi nie pozostali bierni wobec zapowiedzi chana, że będzie pomagał Janowi Kazimierzowi – zamierzali przeciągnąć państwo Tatarów na swoją stronę. W Bachczysaraju zastanawiano się nawet nad zmianą frontu, mając na uwadze nie los Rzeczypospolitej, lecz niebezpieczeństwo grożące ze strony Moskwy. Do antyrosyjskiego sojuszu jednak nie doszło. Historyk Bogdan Baranowski domniemywał, że „prawdopodobnie władze tatarskie obawiały się, że opanowawszy ziemie polskie, Szwedzi staną się o wiele groźniejsi niż [wcześniej – przyp. T.S.] Rzeczpospolita".

Latem 1656 r. nadeszła skromna pomoc tatarska – czambuł liczący ok. 2 tys. żołnierzy. Walczyli oni dzielnie w bitwie pod Warszawą, mieli udział w zwycięstwie pod Prostkami, gdzie wzięli do niewoli Bogusława Radziwiłła. Polakom powinien być obojętny los zdrajcy; nic by mu się zresztą nie stało oprócz tego, że musiałby zapłacić sowity okup za wolność. A jednak odebrano go z rąk Tatarów, co wywołało ich wściekłość. Jakoś powetowali to sobie, grabiąc ziemie Prus Książęcych, uprowadzając stamtąd na Krym ludzi, a byli to przecież głównie osadnicy Mazurzy. Wracając do siebie, spustoszyli po drodze Podlasie.

Przeciw Rosji

Ugoda perejasławska z 1654 r. musiała doprowadzić do wojny między Rosją a Rzecząpospolitą o jej ziemie ukraińskie. W Bachczysaraju zdecydowano poprzeć mniej groźnego przeciwnika walczącego z groźniejszym. Wysłany do Bachczysaraju poseł Mariusz Stanisław Jaskólski zawarł w 1654 r. z chanem porozumienie



Iwan Bohun z kozackim oddziałem wyrywa się z okrążenia w bitwie pod Beresteczkiem
FOT. WIKIPEDIA/MIKOŁA IWASIUK



Józef Brandt „Potyczka Kozaków z Tatarami" FOT. WIKIPEDIA

antyrosyjskie. Namawiał do tego wcześniej chan, pisząc do kanclerza Jerzego Ossolińskiego, że zamierza odzyskać ziemie dawnego chanatu kazańskiego i astrachańskiego, a „ilekolwiek innych krajów i krain wzniosły Bóg użyczy, będzie to wasze".

W 1655 r. połączone siły Rzeczypospolitej i Chantu Krymskiego starły się z Rosjanami pod Ochmatowem. Była szansa na, być może, decydujące zwycięstwo, jednak Tatarzy zawiedli. Najprawdopodobniej, jak to było w ich zwyczaju, wzięli okup od Rosjan i odmówili ścigania uchodzącego nieprzyjaciela.

W „Historii dyplomacji polskiej" zacytowano list kanclerza wielkiego koronnego Mikołaja Prażmowskiego do hetmana Lubomirskiego: „O tatarskiej przyjaźni dobrze trzymam, póki wojnę z Moskwą mamy i rozumiem, że jest to klajster, który nas z nimi spoił".

Nie udała się, niestety, wyprawa Jana Kazimierza na Zadnieprze w latach 1663–1964, z pomocą tatarską. A była to – jak oceniał prof. Zbigniew Wójcik, biograf króla – ostatnia szansa na powstrzymanie Rosji, zahamowanie jej ekspansji. Ostatnia nie tylko dla Rzeczypospolitej, lecz także dla Chanatu Krymskiego. Za nieco ponad sto lat oba państwa przestaną istnieć: Chanat Krymski został anektowany przez Rosję, a Rzeczpospolita uległa rozbiorom. Mehmed IV Girej ostrzegał Polaków przed wchodzeniem w porozumienie pokojowe z państwem carów: „Chcecie się pogodzić z Rosją. […] Czyż nie wiecie, że Moskwa jest znanym narodem łotrów?".

Gdy chan się zorientował, że rozmowy są prowadzone, co mogło w dalszej konsekwencji prowadzić do polsko-ro-

eprasa.pl 1924b09a80



syjskiego sojuszu przeciw Chanatowi Krymskiemu, nieuchronny stał się koniec współdziałania Bachczysaraju z Warszawą. Także Stambuł, protektor chana, był zaniepokojony perspektywą zakończenia wojny polsko-rosyjskiej, gdyż mogłoby to skierować połączone siły Rzeczypospolitej i Rosji na Turcję.

Mehmed IV Girej powrócił więc do wspierania zbuntowanych, teraz pod wodzą hetmana Doroszenki, Kozaków. W 1666 r. Polacy zostali pobici pod Ścianą. Lecz w następnym roku objawił się błyskotliwie talent hetmana polnego koronnego – Jana Sobieskiego. Nie zamierzał skoncentrować swoich sił i szukać walnej bitwy z Tatarami, którzy zresztą z zasady jej unikali. Podzielił swoje zgrupowanie na kilka mniejszych operujących samodzielnie oddziałów, zwalczających napotkane czambuły tatarskie. Taktyka ta zaskoczyła Tatarów, okazała się bardzo skuteczna, napotykali bowiem opór w wielu miejscach. W 1667 r. Kozacy i Tatarzy szturmowali bezskutecznie obóz Sobieskiego pod Podhajcami. Otto Forst de Battaglia, jego biograf, pisał: „Sobieski z wcześniejszych czasów znał usposobienie Tatarów i miał dobre stosunki z kilkunastoma ich przywódcami, i znalazł właściwą, potajemną drogę do serca i kasy oblegających". Zawarto więc ugodę, do której Tatarzy byli tym bardziej skłonni, że kozacki hetman Iwan Sitko wtargnął na Krym. Ceną porozumienia było zezwolenie, by Tatarzy wrócili do siebie z łupami i jasyrem (ale zobowiązali się do wypuszczenia jeńców). Niemniej kampania w 1667 r. została uznana za wielki sukces Jana Sobieskiego i przyczyniła się kilka lat później do jego wyboru na króla.

℗© Wszelkie prawa zastrzeżone

Czyj Krym?



Tomasz Stańczyk

Słyszy się głosy, że wojna Rosji przeciw Ukrainie może zakończyć się tym, iż Moskwa zrezygnuje z okupowanych obwodów ługańskiego i donieckiego, ale nigdy z Krymu. Gdyż, jak mówią pożyteczni idioci Kremla na Zachodzie – ale są tacy też w Polsce – nie można upokarzać Rosji. A dla Rosji Krym to perła w koronie. Jakie prawa ma Rosja do Krymu? Takie same jak do Warszawy, Wilna czy Kijowa. Czyli żadne. Krym, ze stolicą Chanatu Krymskiego w Bachczysaraju, tak samo jak obecne stolice Polski, Litwy oraz Ukrainy, dostał się Rosjanom w wyniku podbojów i aneksji.

Gdy powstał Związek Sowiecki, Krym należał do Ukrainy. Rosja swoje rzekome prawa do Krymu – poza oczywiście aneksją w XVIII w. – opiera na tym, że w 1954 r. Nikita Chruszczow przekazał półwysep sowieckiej Ukraińskiej Republice Socjalistycznej. Dla uczczenia 300. rocznicy ugody perejasławskiej. Przypomnijmy: kozacki hetman Bohdan Chmielnicki zdecydował się poddać Moskwie ogarnięte buntem przeciw królowi Janowi Kazimierzowi ziemie ukraińskie Rzeczypospolitej. Carat nie uznawał narodowości ukraińskiej. Gdy powstał Związek Sowiecki, Lenin stwierdził, że idee komunistyczne lepiej będą przyjmowały się, jeśli zostaną przyswojone nie w języku rosyjskim, ale ukraińskim. Jego następca, wielkoruski szowinista, uznał tę politykę – tak jak Putin – za wybitnie szkodliwą. Nastąpiła rzeź wszystkich tych, którzy chcieli pielęgnować tożsamość Ukraińców jako przecież odrębnego od Rosjan narodu.

Owszem, Ukraińców i Rosjan łączyła religia prawosławna, a języki rosyjski i ukraiński były do siebie zbliżone. Ale nic poza tym. Ukraińców i Rosjan dzieliła zaś fundamentalna sprawa: wolność.

Kozacy, Rusini, jak i ich nazywano, a w końcu Ukraińcy – to słowo zostało stworzone, by właśnie odróżnić ludność ziem ukraińskich od Rosjan – zawsze byli niepokorni i chcieli być wolni. A Rosjanie od Iwana Groźnego byli i są wychowywani jako poddani Kremla, ktokolwiek tam by rządził.

Rosja twierdzi, że Ukraińcy nigdy nie stworzyli swojego państwa, że dopiero – niestety – Lenin zgodził się na ukraińską sowiecką republikę. Żałosna propaganda. Ukraińcy ogłosili swą niepodległość w styczniu 1918 r. Ukraińcy nie chcieli mieć nic wspólnego z Rosją. Ukraińska Republika Ludowa walczyła z Rosją bolszewicką, a także z Polską. Fundamentalna różnica była taka, że czerwona Rosja ani myślała uznawać niepodległej Ukrainy. A Polska toczyła z nią walki tylko o granice. Niepodległość Ukrainy została uznana przez Polskę w 1920 r., a wyprawa kijowska Wojska Polskiego przy udziale dywizji ukraińskiej miała wyzwolić ziemie Ukrainy naddnieprzańskiej spod rosyjskiej – tym razem w wydaniu bolszewickim – okupacji.

Wróćmy do Krymu. W 1954 r. Nikita Chruszczow, Ukrainiec, przekazał sowieckiej Ukrainie Krym. Wówczas 70 proc. jego ludności stanowili Rosjanie. Dlaczego? W wyniku kolonizacji po aneksji – to samo działo się w zaborze pruskim, w Wielkopolsce. Tatarzy, którzy w chwili zaboru Chanatu Krymskiego stanowili prawie 90 proc. ludności, topnieli, zabierano im ziemię, emigrowali, byli wywożeni przez Stalina. Dziś na Krymie jest ich tylko kilkanaście procent, ale jednak są! A wraz z Ukraińcami stanowią zapewne 40 proc. ludności Krymu. Półwysep powinien być ukraiński, gdyż nie można akceptować faktu, że kiedyś przypadł Rosji jako efekt grabieży. Czy to w XVIII w., czy w 2014 r. ©℗

eprasa.pl 1924b09a80



Brytyjscy żołnierze wzięci do niewoli na Leros FOT. NAC

1943 r.

Brytyjska klęska

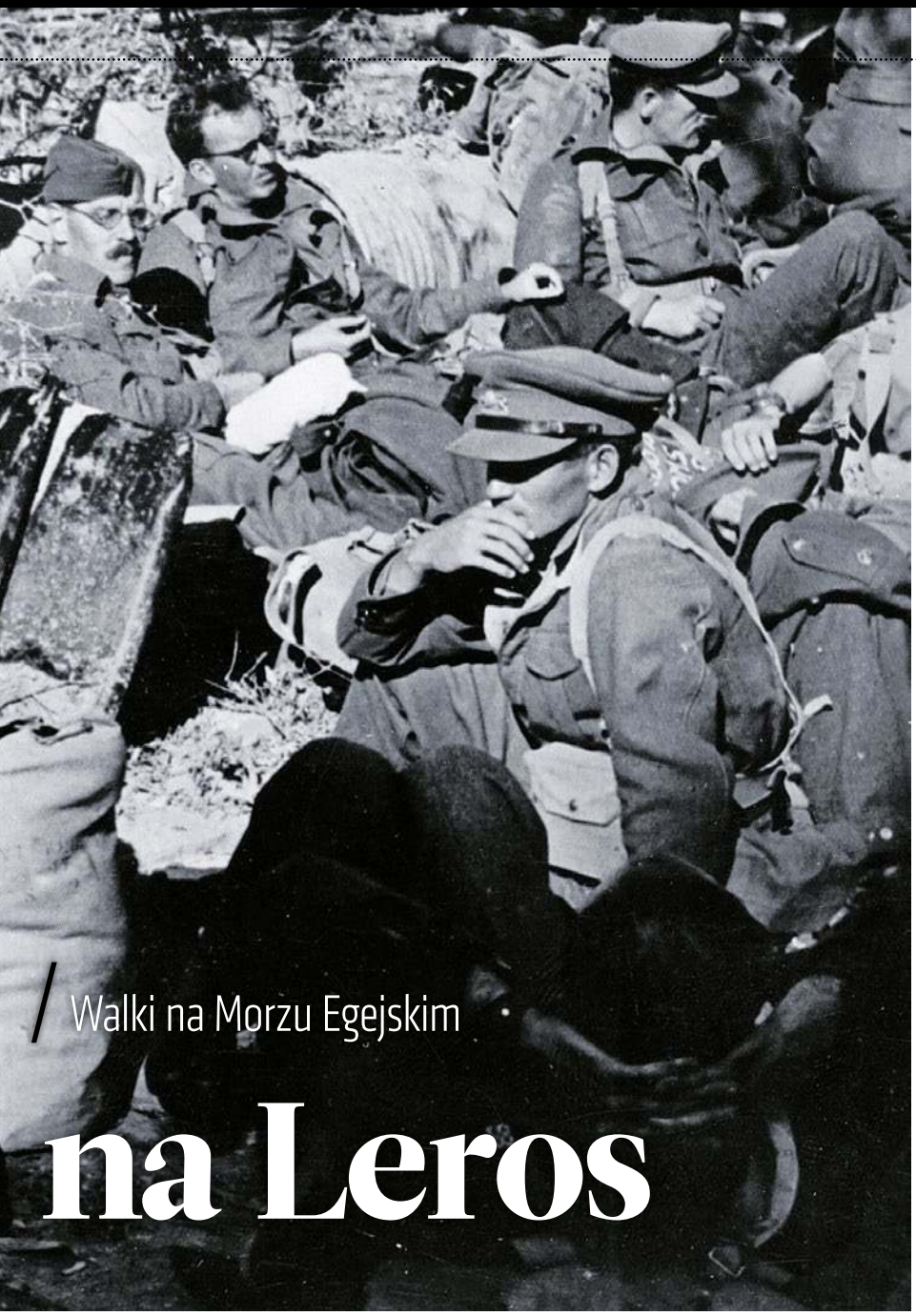


Arkadiusz Karbowiak

Brytyjczycy postanowili odbić Leros z rąk Niemiec samodzielnie, bez pomocy Amerykanów, którzy uważali tę wyspę za zbyt trudny teatr działań. Efekt był katastrofalny – była to ostatnia operacja drugiej wojny światowej, w której Niemcy odnieśli zwycięstwo nad armią brytyjską

Leros to jedna z wysp Dodekanezu, archipelagu położonego na Morzu Egejskim. W kwietniu 1912 r. archipelag został zajęty przez armię włoską. Przejęcie go przez Królestwo Italii potwierdzono w traktacie lozańskim z 1923 r. W czasie drugiej wojny światowej wyspy Dodekanezu odgrywały strategiczną rolę w basenie Morza Śródziemnego, dlatego nietrudno się dziwić, że po kapitulacji Włoch (8 września 1943 r.)

eprasa.pl 1924b09a80



Walki na Morzu Egejskim

na Leros

walczące strony starały się przejąć nad tym obszarem kontrolę.

Szczególną wagę do zajęcia Dodekanezu przykładał Winston Churchill. Brytyjski premier uważał, że jego opanowanie skłoni Turcję do przystąpienia do wojny po stronie aliantów. Drugim powodem chęci zajęcia wysp było ustanowienie tam baz lotniczych. Lądowanie na archipelagu było zresztą przedmiotem rozważań sztabu brytyjskiej armii już krótko po rozpoczęciu wojny.

Opracowanie planu, który otrzymał kryptonim Accollade, powierzono głównodowodzącemu wojsk brytyjskich na Środkowym Wschodzie, marsz. Henry'emu Wilsonowi. Niestety, nie dysponował on dużymi rezerwami. Skorzystanie z pomocy US Army nie wchodziło z kolei w grę – Amerykanie nie chcieli angażować swoich wojsk. Generał Dwight Eisenhower argumentował, że desant spowoduje niepotrzebne rozproszenie sił aliantów.

Pomimo tych trudności Brytyjczycy i tak zdecydowali się opanować wyspy. W celu wzmocnienia potencjału zamierzali skłonić do współpracy armię włoską stacjonującą na Rodos. Brytyjscy wysłannicy na czele z George'em Jellicoe'em przybyli na tę wyspę, aby spotkać się z adm. Inigo Campionim. Brytyjczycy zaproponowali utrzymanie Rodos w rękach włoskich aż do momentu wylądowania na niej Brytyjczyków. Realizacja tej misji nie była jednak prosta, gdyż – obok Włochów – na Rodos od końca maja 1943 r. stacjonowali Niemcy – 7,5 tys. żołnierzy pod wodzą gen. Ulricha Kleemana. Jak się okazało, brytyjski pomysł się nie powiódł. 9 września 1943 r. Niemcy wyparli 39 tys. Włochów z Rodos. Utrata wyspy stanowiła poważny cios. Pomysł opanowania Dodekanezu zaczął się Brytyjczykom sypać, lecz mimo to operacji nie zarzucono.

Tymczasem Adolf Hitler nie zamierzał bezradnie przyglądać się brytyjsko-włoskim posunięciom i pod koniec września 1943 r. na spotkaniu z głównodowodzącym Grupy Armii F na Bałkanach, feldmarsz. Maximilianem von Weichsem, uznał za konieczne odzyskanie kontroli nad Dodekanezem. Rozkaz odbicia wysp otrzymał komendant twierdzy Kreta i dowódca 22. Dywizji Piechoty, gen. Friedrich Wilhelm Müller, znany z rządów twardej ręki na Krecie (po wojnie sąd grecki skazał go na śmierć za egzekucje na kreteńskich cywilach).

Operacja „Eisbär"

Pierwszym miejscem niemiecko-brytyjskiej (z udziałem Włochów) militarnej konfrontacji była wyspa Kos. 13 września 1943 r. wylądowali tam komandosi morscy z SBS (Special Boat Service) i LRDG (Long Range Desert Group) oraz żołnierze z 11. batalionu spadochroniarzy, zajmując port i lotnisko w okolicach miasta Antimachia. Na tamtejszym lotnisku pojawiły się też samoloty SAAF (South African Air Force) i RAF. W sumie oddziały brytyjskie liczyły ok. 1,6 tys. ludzi, wspomaganych przez 3,5 tys. Włochów.

Niemcy operacji lądowania na Kos, do którego doszło 3 października 1943 r., nadali kryptonim Eisbär (Niedźwiedź Polarny). Operacja trwała zaledwie dwa dni – tylko tyle potrzebował Wehrmacht, aby pokonać opór obrońców. Do niewoli dostało się 1388 żołnierzy armii bry-

eprasa.pl 1924b09a80

tyjskiej i 3,5 tys. Włochów. Stu trzech włoskich oficerów, na czele z płk. Felice Leggio, zostało rozstrzelanych na rozkaz Hitlera za stawianie oporu (potraktowano to jako bunt, gdyż w chwili kapitulacji wojska włoskie podlegały Wehrmachtowi).

Po zajęciu Kos Niemcy mogli korzystać z lotniska ulokowanego na wyspie, co stwarzało dla Brytyjczyków spory problem. Luftwaffe dysponowało na tamtym obszarze 215 samolotami. Było to istotne w kontekście zmagań o wyspę Leros leżącą ok. 35 km na północny zachód od Kos.

Siły włoskie rozlokowane na Leros liczyły ok. 5,5 tys. żołnierzy, głównie marynarzy. Ich dowódcą był adm. Luigi Mascherpa, który 13 września odrzucił niemieckie sugestie poddania się Wehrmachtowi. Na Leros znajdowały się liczne baterie artylerii (łącznie 48), choć miały one przestarzałe przyrządy celownicze i zostały umieszczone na odsłoniętych pozycjach, przez co były łatwym celem ataków. Morale włoskich obrońców Leros było bardzo niskie. Dużą część garnizonu stanowili zresztą wyłącznie pracownicy administracyjni.

17 września 1943 r. przybyły na wyspę siły brytyjskie. Za obronę wyspy odpowiadała 234. Brygada Piechoty. Dowodzący nią gen. Francis Brittorous został na początku listopada odwołany, a na jego następcę wyznaczono bryg. Roberta Tinleya. Ten ostatni buńczucznie zapowiadał: „Żaden wróg nie postawi stopy na wyspie, a jeśli tak się stanie, to będzie to tylko jeniec wojenny". Słowa te miały maskować słabość jego armii. Nie ulegało wątpliwości, że siły brytyjskie były dalece niewystarczające do obrony wyspy. Podpułkownik Maurice French uważał nawet, że obrona Leros powinna być prowadzona w centrum wyspy, a nie na całym jej obszarze.

Już od 26 września 1943 r. Leros stała się celem nalotów Luftwaffe. Ataki prowadzone były przez niemieckie bombowce oraz myśliwce, które osłaniały okręty Kriegsmarine. Próby ataku na myśliwce wroga skutkowały nierzadko poważnymi stratami. 5 listopada 1943 r. w okolicach Rodos sześć samolotów Beaufighter z 227. i 47. Dywizjonu RAF zostało strąconych przez myśliwce Me-109 z 8/JG.27 (skrzydło Luftwaffe Jagdgeschwader 27 „Afrika").

Ataki na nieprzyjacielskie okręty inicjowała z kolei Royal Navy. Na początku listopada 1943 r. brytyjski okręt podwodny „Unruly" zatopił stawiacz min „Bulgaria". Z kolei w nocy z 10/11 listopada niszczyciele „Petard", „Rockwood" i polski „Krakowiak" zaatakowały port w Kalymnos, niszcząc niemiecki statek „Trapani".

Niemiecki plan lądowania na Leros nosił kryptonim Tajfun, który zmieniono później na Leopard. Pierwszą próbę zajęcia wyspy podjęto 9 października 1943 r. Niemiecki konwój został wówczas zaatakowany przez brytyjski zespół niszczycieli i krążowników. Niemieckie okręty zostały niemal zmiecione z powierzchni morza. Nazajutrz Niemcy uszkodzili i zniszczyli Brytyjczykom dwa krążowniki.

W cieniu walk toczonych na morzu i w powietrzu Niemcy przygotowywali się do inwazji na Leros. Trzon sił uderzeniowych stanowiły pododdziały 22. Dywizji Piechoty, walczącej wcześniej na froncie wschodnim, a od sierpnia 1942 r. stacjonującej na Krecie.

11 listopada 1943 r. wydano rozkaz do rozpoczęcia operacji desantowej. Siły inwazyjne podzielono na pięć Kampfgruppe (grup bojowych).

Pierwsza grupa bojowa była dowodzona przez ppor. Hansa Schädlicha. W skład grupy wchodziła 1. Kompania Strzelców Obrony Wybrzeża Brandenburg. Jej żołnierze, strzelcy obrony wybrzeża zwani potocznie komandosami morskimi, wywodzili się z jednostki sił specjalnych Abwehry „Brandenburg".

W skład drugiej grupy bojowej, dowodzonej przez mjr. Sylwestra von Salderna (odznaczonego potem za walki na Leros Krzyżem Rycerskim), wchodziły: II batalion 65. Pułku Grenadierów z 22. Dywizji Piechoty, II batalion 22. Pułku Strzelców z 11. Polowej Dywizji Luftwaffe i 2. kompania XXII Batalionu Saperów z 22. Dywizji Piechoty.

Trzecią grupą złożoną z żołnierzy 3. batalionu 440. Pułku Grenadierów z 22. Dywizji Piechoty dowodził kpt. Helmuth Dörr, czwartą, czyli 2. batalionem 16. Pułku Grenadierów z 22. Dywizji Piechoty, kpt. Phillipe Aschoff, a piątą, 1. batalionem 2. Pułku Strzelców Spadochronowych z 2. Dywizji Strzelców Spadochronowych, kpt. Martin Kühne.

W odwodzie znajdowały się III batalion 1. Pułku Strzelców Brandenburg i 15. kompania strzelców spadochronowych 4. Pułku Brandenburg. Wsparcie lotnicze stanowiło 75 transportowych Ju-52, 34 wodnosamolotów rozpoznawczych Arado 196s, 19 bombowców typu Ju-88 i 68 bombowców nurkujących Ju-87 (tzw. Stukasów).



Cmentarz wojenny na Leros

FOT. TOM OATES/WIKIPEDIA

Niemiecka inwazja

Lądowanie na Leros rozpoczęło się 12 listopada 1943 r. wcześnie rano. Niem-

eprasa.pl 1924b09a80



Niemieccy spadochroniarze przed wylotem na Leros
FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

cy ze względu na możliwość operowania z lotniska na Kos mieli bezwzględną przewagę w powietrzu. Pierwszego dnia walk nieudane okazało się lądowanie II/Gren.Rgt.16 w Zatoce Gurna. Zbliżający do brzegów wyspy desant został ostrzelany przez artylerzystów, wobec czego musiał on zawrócić na Kalymnos. W zatoce Vigla nie zeszły zaś na ląd obłożone ogniem oddziały III/Gren.Rgt.440.

Desant powiódł się „morskim" Brandenburczykom z Kampfgruppe Schädlich, choć początkowo wydawało się, że również oni nie zrealizują swojego zadania, gdyż wiozące ich ciężkie kutry motorowe dostały się pod silny ostrzał. Dwa kutry, przewożące 80 żołnierzy, bez problemu dotarły do skalistych brzegów Leros położonych na północny wschód od jednej z zatok wyspy. Trzeciemu przytrafiła się awaria, lecz ostatecznie, zygzakując, dotarł do miejsca przeznaczenia.

Podkomendni ppor. Schädlicha po wejściu na wzgórze Appetici stanęli do walki z włoskimi obrońcami baterii Lago. Walki były zacięte i Brandenburczycy szybko zostali przygwożdżeni ogniem z moździerzy i broni maszynowej, oczekując wsparcia z powietrza. Wkrótce na niebie pojawiło się 12 stukasów, które zbombardowały włoskie stanowiska. Nalot dał możliwość przeprowadzenia szturmu i zdobycia dwóch dział baterii. Brytyjczycy podjęli wprawdzie próbę ich odbicia, ale kolejne kontrataki powstrzymane zostały przez Luftwaffe.

Oprócz Brandenburczyków w Zatoce Grifo udało się jedynie wylądować żołnierzom z Grupy Bojowej von Saldern II/Gren.Rgt 65 i 2/Pi.Btl.22. Ich zadaniem było zdobycie wzgórz na północny zachód od zatoki Alinda. Z początku liczba niemieckich sił desantowych na Leros była niewielka. Sytuacja poprawiła się, kiedy ok. godz. 15 w środkowej części wyspy został zrzucony desant – 470 strzelców spadochronowych (według innych danych 430) z 2. Fallschirm-Jäger-Division. Ich pojawienie się zaskoczyło Brytyjczyków.

Początkowo zakładano, że desant zostanie przeprowadzony w godzinach rannych, ale kilka minut przed zrzutem, ze względu na uchwycenie przyczółku w Zatoce Gurna przez Kampfgruppe Aschoff, samoloty zostały zawrócone. Po południu zdecydowano jednak, że desant musi zostać przeprowadzony.

Spadochroniarze podczas lądowania utracili ok. 10 proc. stanu osobowego, gdyż jeden samolot się rozbił. Po wylądowaniu Niemcy od razu przystąpili do walki, próbując zająć (zgodnie z planem) wzgórze Monte Rechi (Wzgórze 105). W realizacji tego zadania wspomogli ich, desantowani nieco później, żołnierze z 15. kompanii 4. Pułku Brandenburg por. Oschatza. Po ciężkich walkach Wzgórze 105 zostało zdobyte; na nim kpt. Kühne ustanowił stanowisko dowodzenia.

13 listopada 1943 r. na wyspę dotarły kolejne pododdziały 22. Infanterie Division (2. batalion 16. Pułku Grenadierów). Zakończony powodzeniem szturm batalionu na Wzgórze 192 doprowadził do połączenia ze strzelcami spadochronowymi i rozdzielenia znajdujących się na wyspie wojsk brytyjskich.

Od tego momentu zasadniczym celem sił niemieckich stało się zdobycie Wzgórza Monte Meraviglia, gdzie znajdowała się kwatera główna obrońców. Pierwsza próba okazała się nieudana. Nastąpiło przegrupowanie, a ponadto 16 listopada 1943 r. wojska Wehrmachtu na Leros otrzymały kolejne posiłki w postaci 3. batalionu pułku „Brandenburg" dowodzonego przez por. Maxa Wandreya.

Oddziały strzelców spadochronowych, Brandenburczyków i piechurów zaatakowały wówczas po raz kolejny. Porucznik Wandrey z 20 ochotnikami wdarł się na wzgórze od strony wschodniej. Komandosi za pomocą ładunków wybuchowych zaczęli metodycznie wysadzać bunkry, w których bronili się Brytyjczycy. Wtedy do szturmu ruszyły pozostałe jednostki niemieckie. Kiedy żołnierze Wandreya dotarli do bunkra dowodzenia, Brytyjczycy zdecydowali się skapitulować i wywiesili białą flagę. Stało się to 16 listopada 1943 r. o godz. 16.30. Do niewoli dostało się 5,2 tys. Włochów i 3,2 tys. żołnierzy brytyjskich. W walkach na Leros zginęło 246 Niemców, a 162 zostało uznanych za zaginionych. Brytyjczycy stracili 357 żołnierzy. Poległo też 87 Włochów, a 164 było zaginionych. Krwawe zmagania o wyspę Leros zostały zakończone. Była to ostatnia operacja drugiej wojny światowej, w której Niemcy odnieśli zwycięstwo nad armią brytyjską. Tragicznym finałem bitwy o Leros były losy dowódcy włoskiego garnizonu adm. Luigiego Mascherpa. Wzięty do niewoli przez Niemców został wydany w ręce władz Włoskiej Republiki Społecznej (Republica Sociale Italiana). Sąd RSI w Weronie za opór stawiany Niemcom i „zdradę" skazał go, wraz z adm. Inigo Campionim, na karę śmierci. Obu admirałów rozstrzelano 24 maja 1944 r. w Parmie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1924b09a80

Arsenał średniowiecznych Chińczyków



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

W średniowieczu chińska kultura militarna przeżywała rozkwit. Rozwój techniczny i technologiczny wpływał na profesjonalizację sił zbrojnych

Dotyczy to zwłaszcza sprzętu inżynieryjno-oblężniczego, broni niekonwencjonalnej, sposobów walki na morzu. Po podboju Chin przez Mongołów w końcu XIII w. trzonem nowej armii stała się doskonała i liczna kawaleria stepowców, złożona przede wszystkim z łuczników. Ważne miejsce w strukturze zajmowały także oddziały pokonanej dynastii Sung, z których utworzono tzw. nowo przyłączone wojsko (Hsin-fu Chun), będące czwartą częścią całej armii. Hsin-fu Chun to przede wszystkim piechota wraz z artylerią, które z uwagi na wysoką urbanizację Chin rozwijały się szczególnie intensywnie. Żołnierze piechoty walczyli przede wszystkim rozmaitą bronią drzewcową, a za osłonę służyły im pancerze lamelkowe i łuskowe.

Istotną część armii stanowili strzelcy; w powszechnym użyciu pozostawał kompozytowy łuk, ale równie popularna była kusza używana tutaj na długo przed tym, zanim zdobyła popularność w Europie. Istniało wiele typów i systemów naciągu, a wśród nich kusze o zdwojonym łęczysku zwielokrotniającym zasięg i siłę przebicia pocisku. Z czasem pojawiła się też odmiana wielostrzałowa, wyposażona w magazynek. Kusza rozpowszechniona była zarówno w chłopskiej piechocie, jak i w zawodowych oddziałach, gdzie strzelców ustawiano w szeregi i prowadzono ostrzał salwowy.

Nierozerwalnie z Chinami związana jest wczesna broń prochowa, która również występowała pod bardzo różnymi postaciami. Wydaje się, że pierwsze jej militarne wykorzystanie miało miejsce ok. IX w. Jedną z ciekawszych broni były przenośne wyrzutnie pocisków, czyli drewniane kratownice, w których umieszczano strzały zakończone żelaznymi grotami; wystrzeliwano je do celu za pomocą prochu strzelniczego. Używano oczywiście i prostszych konstrukcji, jak choćby miotanych ręcznie pocisków/oszczepów z przymocowanymi na wysokości grotu ładunkami wybuchającymi czy granatów wypełnionych prochem i wyposażonych w zapalniki. Broń tę zastosowano choćby podczas inwazji na Japonię, podczas której w składzie atakujących sił mongolskich znalazł się liczny kontyngent chiński. Interesującym chińskim wynalazkiem były miny, morskie i lądowe, a także oryginalna broń w postaci włóczni z przymocowanymi na końcach cylindrami z ładunkiem prochowym. Używano ich do walki na najbliższym dystansie: podczas kontaktu z wrogiem inicjowano zapłon, w wyniku czego z wnętrza cylindrów wylatywały drobne pociski lub toksyczne substancje. W okresie dynastii Yuan (XIII–XIV w.) w oddziałach pieszych znajdowali się strzelcy wyposażeni w rusznice; zazwyczaj z brązu, ale bywały też żelazne, z wyodrębnioną lufą, komorą nabojową oraz prymitywną kolbą. W XIII i XIV w. potwierdzone jest użycie broni palnej (często wykorzystywano także broń chemiczną w postaci rozmaitych trujących substancji) w trakcie walki morskiej, a właściwie rzecznej, jako że starcia na śródlądowych ciekach wodnych były w Chinach niezwykle częste i wyjątkowe pod względem skali. Na zdjęciu: brązowe działo z I połowy XIV w. ©℗



eprasa.pl 1924b09a80

Sztandar Bajończyków



Polskich ochotników z Francji, pragnących walczyć z Niemcami, skierowano w 1914 r. do Legii Cudzoziemskiej. Tworzenie wojska narodowego nie było wówczas możliwe z przyczyn politycznych. W ramach jednego z batalionów należących do 2. Pułku Marszowego (formowanego na bazie skierowanego na front 1. Pułku Cudzoziemskiego) zorganizowano polską kompanię. Szkolenie odbywało się w Bajonnie, stąd też oddział zapisał się na kartach historii jako Bajończycy. Tu, w Akwitanii u stóp Pirenejów, powstał także sztandar, którego projekt przygotowali artyści Xawery Dunikowski (najsłynniejszy polski rzeźbiarz XX w.) i Jan Żyznowski. Na czerwonym tle widniał biały orzeł bez korony; modernistyczny w formie, ale nawiązujący do tradycji jagiellońskiej. Chorążym został Władysław Szujski, syn Józefa, jednego z najwybitniejszych XIX-wiecznych polskich historyków. W październiku 1914 r. kompania trafiła na front w Szampanii. Szujski poległ, a sztandar miał liczne przestrzeliny po niemieckich pociskach. W maju 1915 r. polska kompania biła się pod Arras. 16 czerwca Polacy stoczyli ostatnią krwawą walkę na pozycji Notre Dame de Loretto. Zdziesiątkowany oddział przestał istnieć. Przetrwał natomiast sztandar. 22 czerwca 1918 r. w Brienne prezydent Francji Raymond Poincaré, podczas uroczystego święcenia znaków bojowych Armii Polskiej we Francji, udekorował sztandar Krzyżem Wojennym (Croix de Guerre) z palmą. Potem, w odrodzonej ojczyźnie, marszałek Józef Piłsudski przyozdobił go Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari. Obecnie sztandar należy do najcenniejszych pamiątek przechowywanych w Muzeum Wojska Polskiego. ©℗



Ki-43 Hayabusa

Jednomiejscowy dolnopłat o całkowicie metalowej konstrukcji zaprojektowano w 1937 r. Był podstawowym myśliwcem lotnictwa sił lądowych Japonii w początkowym okresie walk na Pacyfiku. Napędzany tym samym gwiazdowym silnikiem co jego odpowiednik z floty (słynny Mitsubishi A6M Zero) charakteryzował się doskonałą manewrowością i szybkością, budząc respekt alianckich pilotów myśliwskich. Wadą samolotu było słabe uzbrojenie ofensywne oraz mała odporność na uszkodzenia; pierwsze wersje nie posiadały opancerzonych kokpitów. Do 1943 r. pierwotne atuty Ki-43 nie miały już większego znaczenia wobec coraz lepiej opancerzonych i uzbrojonych samolotów przeciwnika. Egzemplarz prezentowany na zdjęciu walczył w 1943 r. nad Nową Gwineą. Wiosną 1944 r. został zdobyty przez Amerykanów. Obecnie eksponowany jest w Pima Air & Space Museum koło Tucson w Arizonie.

Karabin na czołgi



W latach 1916–1918 Anglicy i Francuzi wyprodukowali przeszło 4 tys. czołgów. Niemcy jedynie 20 i dlatego ciężar walki z wozami bojowymi nieprzyjaciela musiała wziąć na swe barki artyleria. Jednak latem 1918 r. piechurzy kajzera otrzymali nową broń, specjalnie zaprojektowaną do zwalczania czołgów. Tankgewehr wz. 1918 opracowano w zakładach Mausera w Oberndorfie. Jego masa sięgała 17 kg, a długość 170 cm; broń wyposażono w odejmowany dwójnóg. Był jednostrzałowy, dostosowany do potężnego naboju 13,2 x 92 mm opracowanego w firmie Pole z Magdeburga. Pocisk miał rdzeń z utwardzonej stali i wylatywał z lufy z prędkością 790 m/s; z dystansu 300 metrów przebijał 15-milimetrowy pancerz. W warunkach ówczesnego pola walki było to w zupełności wystarczające. Po przebiciu pancerza pocisk kal. 13 mm wlatywał do wnętrza pojazdu i rykoszetując, ranił członków załogi lub niszczył instalację; mógł też spowodować eksplozję zgromadzonej amunicji. Nawet jeśli nie doszło do przebicia pancerza, to siła uderzenia powodowała odpadnięcie nitów łączących płyty, a te działały jak odłamki. Karabiny wz. 1918 przydzielano dwuosobowym sekcjom „snajperskim". Do końca pierwszej wojny światowej wyprodukowano ich 15–16 tys. Na zdjęciu: Tankgewehr i karabin piechoty wz. 1898. ©℗

eprasa.pl 1924b09a80



Jacobo Stuart Fitz-James y Falco, książę Alba FOT. MUSEO NACIONAL DEL PRADO

Pod prąd / Polska i Hiszpania podczas drugiej wojny światowej

Generał Franco a Polska



Piotr Zychowicz

Pakt Ribbentrop–Mołotow i podwójna agresja na Polskę dla hiszpańskiego przywódcy były szokiem. Złowrogą zapowiedzią triumfu bolszewizmu w Europie Środkowo-Wschodniej

Właśnie, z dużym opóźnieniem, przeczytałem książkę Bartosza Kaczorowskiego „Franco i Stalin". Choć ta kapitalna praca – jak sam tytuł wskazuje – dotyczy relacji hiszpańsko-sowieckich, to polski czytelnik znajdzie w niej mnóstwo ciekawych wątków dotyczących własnej ojczyzny. Na temat stosunku gen. Franco i elit przywódczych Hiszpanii do Rzeczypospolitej.

Doskonałym przykładem są początkowe rozdziały książki dotyczące 1939 r. Autor opisuje w nich reakcje madryckiej dyplomacji na wybuch drugiej wojny światowej. Na podpisanie paktu Ribbentrop-Mołotow, agresję niemiecką, a następnie agresję sowiecką na Polskę.

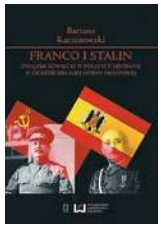
Tu warto wspomnieć o sytuacji, w jakiej znajdowała się wówczas Hiszpania. W kraju tym dopiero co zakończyła się krwawa wojna domowa, w której siły gen. Franco pokonały obóz czerwono-czarnej Republiki. Stronę przegraną wspierał Związek Sowiecki. A gen. Franco – Niemcy i Włochy.

Sprawiało to, że wrogiem numer jeden Hiszpanii – mimo że oba państwa leżały na przeciwległych krańcach Europy – była Sowdepia. A kluczowym sojusznikiem – III Rzesza. Madryt miał wobec Berlina „dług moralny", a także finansowy. Niemcy za pomoc w uzbrojeniu i ludziach (słynny Legion Condor) wystawiły słony rachunek – bagatela 225 mln dol.

Z książki Kaczorowskiego wyłania się dość pozytywny obraz elit frankistowskiej Hiszpanii. Madryccy mężowie stanu w przededniu wybuchu wojny w pragmatyczny i trafny sposób diagnozowali sytuację. A więc przede wszystkim obawiali się europejskiego konfliktu na wielką skalę. Słusznie przewidywali bowiem, że skorzysta na nim „bezbożne imperium" Stalina.

Gdy państwa Zachodu (Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Włochy i Polska) wyniszczą się nawzajem, na gruzy Europy wkroczy Armia Czerwona. I przeniesie niszczycielski płomień rewolucji w głąb kontynentu. Jak się okazało w 1945 r. – gdy pod butem bolszewików znalazła się połowa Europy – przewidywania te okazały się tragicznie trafne.

eprasa.pl 1924b09a80



BARTOSZ KACZOROWSKI „FRANCO I STALIN. ZWIĄZEK SOWIECKI W POLITYCE HISZPANII W OKRESIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ”
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

Zawarcie paktu ze Stalinem 23 sierpnia 1939 r. bardzo poważnie nadszarpnęło wiarygodność i prestiż III Rzeszy w Madrycie. Państwo, które stało na czele paktu antykominternowskiego, państwo, które pomogło Hiszpanii obronić się przed bolszewicką rewolucją, nagle dokonało zwrotu o 180 stopni. I zawarło pakt ze swoim dotychczasowym wrogiem numer jeden – Związkiem Sowieckim.

Choć hiszpańska prasa – ze względu na nacisk niemieckiego sojusznika – pisała o moskiewskim pakcie w tonie dość powściągliwym, to elita polityczna była zniesmaczona. Ambasador Belgii w Madrycie ujął sprawę jasno: dla Hiszpanów układ był „skandalem”. Szef hiszpańskiej dyplomacji Juan Beigbeder ogłosił, że układ Berlin-Moskwa zwalnia Hiszpanię z obowiązku wsparcia III Rzeszy w ewentualnym starciu z Francją.

Kaczorowski w swojej książce przedstawił niezwykle ciekawą, a mało w Polsce znaną postać. Jacobo Stuart Fitz James y Falcó, XVII książę Alba, był ambasadorem Hiszpanii w Londynie. Był to wybitny dyplomata, arystokrata hiszpański, potomek królów angielskich i człowiek obdarzony wielkim rozumem politycznym. I równie wielkimi koneksjami w Londynie i innych stolicach europejskich.

Jak wynika z raportów dyplomatycznych, książę Alba już nazajutrz po jego podpisaniu dowiedział się, że pakt Ribbentrop-Mołotow zawierał tajny aneks. Protokół, w którym totalitarne mocarstwa dokonały podziału Europy Środkowo-Wschodniej. Dla księcia Alby było to skandaliczne. „Antykomunista” Hitler wpuszczał w głąb Europy bolszewików, godząc się na poszerzenie sowieckiej strefy wpływów na Zachód!

Sprawa trafnego rozpoznania przez Hiszpanów zagrożenia, jakie niósł pakt Ribbentrop-Mołotow, skłoniła Bartosza Kaczorowskiego do gorzkiej konstatacji:

„»Mane, tekel, fares« wypowiadane nad Rzecząpospolitą – pisze autor – zostało usłyszane nawet w odległej Hiszpanii, ale nie przez władze w Warszawie, które jeszcze do ostatnich dni przed katastrofą wierzyły, że Sowieci interweniować nie będą. Młode państwo frankistowskie było w stanie dość precyzyjnie określić warunki kluczowego dla losów świata targu zawartego między . z Trzecią Rzeszą a Sowietami. Osiągnięcie to wystawia widzom w Madrycie jak najlepsze świadectwo i boleśnie obnaża skalę zaniedbania, jakie stało się udziałem polskiej dyplomacji i wywiadu w ostatnim tygodniu sierpnia 1939 r.”.

Sad but true. Trudno nie zgodzić się z autorem.

Atak Niemiec na Polskę został przyjęty niezwykle krytycznie przez gen. Franco i elitę Hiszpanii. Madryt ogłosił neutralność („Boże, strzeż Hiszpanię przed kolejną wojną!”) i zaapelował do obu stron konfliktu do opamiętania. Znowu hiszpańscy dyplomaci ostrzegali, że wojna europejska otworzy wrota do Europy przed bolszewizmem.

Aby ratować sytuację, Hiszpania we wrześniu i w październiku podjęła wiele – bardziej lub mniej zdecydowanych – prób mediacji i inicjatyw pokojowych.

Generał Franco już po kilku dniach trwania konfliktu doszedł do wniosku, że polska armia została pobita w polu przez Wehrmacht. Wojna dla Polski była przegrana. Dalsze przedłużanie działań wojennych mogło – według Franco – przynieść tylko jeden skutek. Do akcji wkroczy Armia Czerwona i zajmie wschodnią część Polski. A to oznaczałoby prawdziwy koszmar: „20 mln katolików – pisał Caudillo – zostałoby poddanych komunistom”.

Franco widział tylko jedno wyjście z tej dramatycznej sytuacji. Polska powinna uznać się za pokonaną i rozpocząć negocjacje rozejmowe z Niemcami. Należało zawrzeć zawieszenie broni, zanim bolszewicy zdążą się zmobilizować i wkroczyć na terytorium Rzeczypospolitej. Gdyby tak się stało, Polska straciłaby oczywiście część zachodnich ziem na rzecz Niemiec, ale uratowałaby resztę swojej państwowości i uchroniłaby się przed straszliwym widmem bolszewizmu.

Dziś pomysł taki wydaje się polskiemu czytelnikowi mocno egzotyczny. Jak wiadomo, polskie władze państwowe miały we wrześniu 1939 r. zupełnie inny pomysł. Ucieczka z płonącej Polski do Rumunii, przedostanie się do Francji i „kontynuowanie walki” z bezpiecznego Paryża. Przez kolejne sześć lat naród polski wykrwawiał się w nierównych zmaganiach z okupantem.

Trudno jednak nie wspomnieć, że dokładnie w tym samym czasie z podobną propozycją wystąpił Władysław Studnicki. A w niemieckich kręgach decyzyjnych we wrześniu 1939 r. nie zdecydowano jeszcze, co zrobić z pokonaną Polską. Hitler zastanawiał się nad koncepcją Reststaat, czyli pozostawienia na mapie okrojonej od zachodu Polski. Ostatecznie porzucił tę koncepcję w wyniku zdecydowanego protestu Stalina i wkroczenia Armii Czerwonej 17 września.

Bartosz Kaczorowski ma rację, gdy pisze, że „celem hiszpańskiej inicjatywy było ratowanie Polski przed sowiecką nawałą”. Decydowała tu sympatia do Polski jako kraju katolickiego, o podobnej kulturze i mentalności co hiszpańska. Podkreślano, że tak jak Hiszpania w latach 1936–1939, tak Polska w 1920 r. powstrzymała marsz bolszewików.

Warto wspomnieć, że społeczeństwo Hiszpanii również okazywało Polsce wiele sympatii. Gorzej z prasą, która znajdowała się pod presją niemieckiej dyplomacji. Stąd w madryckich gazetach początkowo zabrakło stanowczego potępienia agresji 17 września. Wśród hiszpańskich polityków atak Stalina zrobił jednak piorunujące wrażenie. Spełniły się bowiem ich najgorsze obawy.

Książę Alba wieszczył, że wojna może się skończyć dalszym marszem bolszewizmu w głąb Europy i stworzeniem czerwonego imperium „od Władywostoku po Ren”. Jak wiadomo, niewiele się pomylił. W 1945 r. sowieckie armie stanęły na Łabie. I pozostały tam na blisko pół wieku.

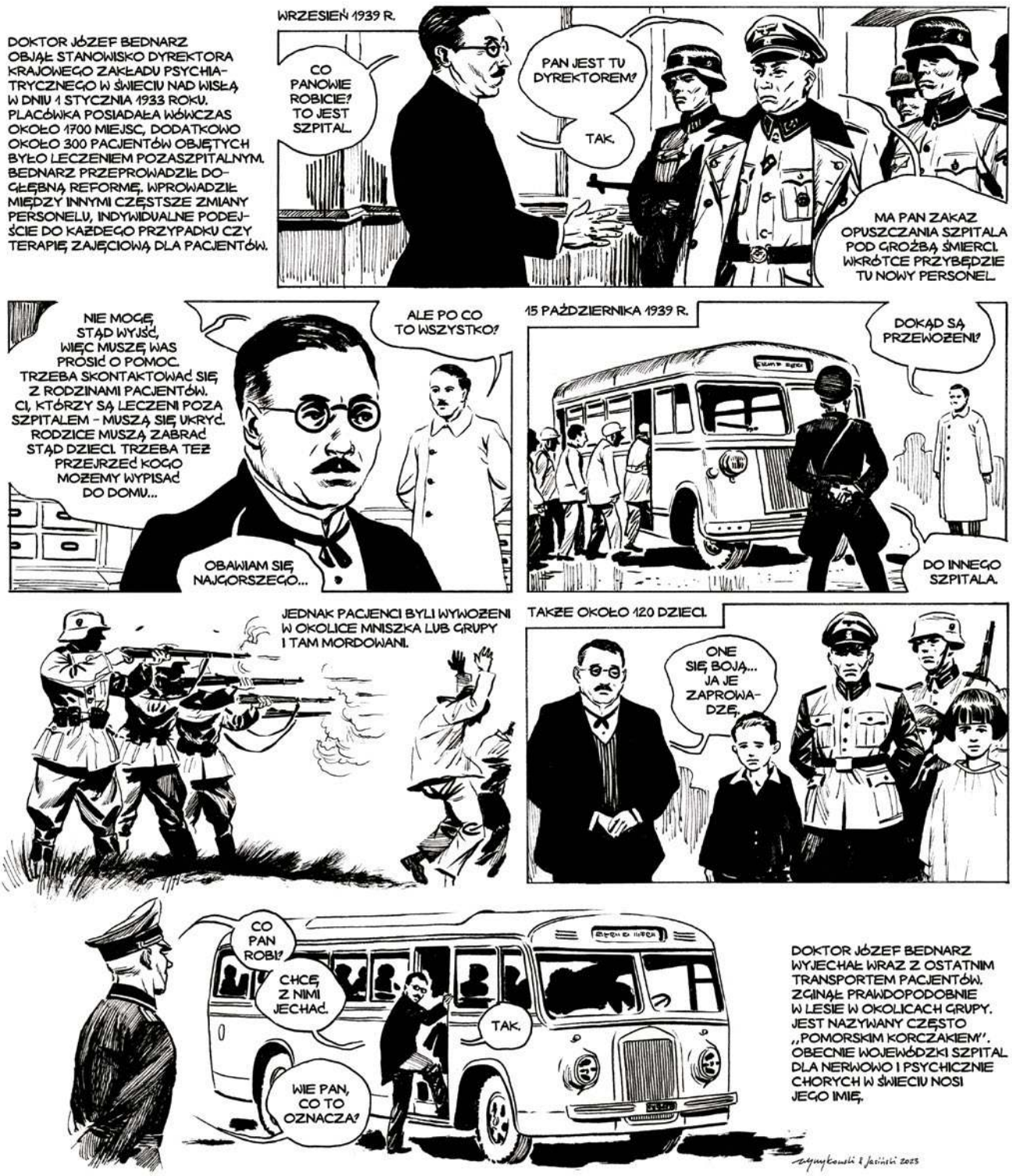
Sympatia Hiszpanów do Polaków nie była bezkrytyczna. Książę Alba zarzucał polskim przywódcom „brak poczucia rzeczywistości”. Wytykał to, że Polska „nie potrafiła uniknąć wojny na dwa fronty i wykorzystać istniejącego wcześniej stanu silnej wrogości między Moskwą a Berlinem, by zyskać sobie poparcie jednej ze stron przeciwko drugiej”. Według niego Józef Beck powinien był podjąć próbę poprawy relacji z Niemcami.

No cóż, w Warszawie podjęto inne decyzje. A efekt jest doskonale znany.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1924b09a80

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



eprasa.pl 1924b09a80

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKI R. ROTH: „PRZYSIĘGNIJ ŻE PRZEŻYJESZ” oraz A. CUBAŁA: „WARSZAWSKIE DZIECI ‘44”



Przysięgnij że przeżyjesz

Ta książka jest spełnieniem obietnicy złożonej bezimiennej więźniarce na Majdanku. Gdy wybuchła wojna, Rachel Roth - wówczas Roma Rotsztejn z Warszawy - miała zaledwie 13 lat. Podobnie jak miliony europejskich Żydów stała się ofiarą nazistowskiego terroru. **„Przyrzekłam, że jeżeli dane mi będzie przeżyć tę gehennę, opowiem światu, jak oni szatańsko znęcali się nad nami”.** Rachel Roth do dziś przechowuje rodzinne zdjęcie zrobione w warszawskim getcie latem 1941 roku. Spośród 21 patrzących w obiektyw osób przeżyła tylko ona. Pozostali - jej mama, dwie siostry i brat, dziadkowie i kuzyni - zginęli w łapankach, transportach do obozów zagłady, w komorach gazowych.

Warszawskie dzieci ‘44

To nie jest opowieść o bohaterskich walkach małych żołnierzy ani dyskusja o tym, czy wolno było im dać broń do ręki albo wysyłać z butelką zapalającą na barykady. Ta książka po raz pierwszy ukazuje, jak dzieci uczyły się żyć w zupełnie nowej dla nich powstańczej rzeczywistości. Jak radziły sobie z przerażeniem, bólem, cierpieniem oraz koszmarnymi wydarzeniami, których były uczestnikami. A także – jak z traumą wyniesioną z powstańczej Warszawy musiały zmagać się do końca życia. Spojrzenie na powstanie oczami dziecka, poznanie jego emocji i dramatów odsłania prawdę o walce pozbawionej heroizmu oraz cenie, którą przyszło za nią zapłacić, by móc żyć dalej.

145 zł

oszczędność 86 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 1924b09a80

Poznaj najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia na polskiej scenie politycznej. Na rozmowy w Telewizji Republika zaprasza Rafał Ziemkiewicz.

REPUBLIKA

Salonik POLITYCZNY

RAFAŁA ZIEMKIEWICZA





Niedziela
11:00

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 1924b09a80